

CORMAC MCCARTHY

STRAŻNIK SADU

PRZEŁOŻYŁ

MICHAŁ KŁOBUKOWSKI

Drzewo powalono i pocięto na części, które rozsypały się po trawie, gdzieś tam tworząc stosy. Krępy mężczyzna miał trzy palce owinięte brudnym bandażem i wzięte w łupki. Był z nim jakiś Murzyn i młody chłopak. Stali we trzech wokół odziomka. Ten krępy odłożył piłę, po czym we dwóch z Murzynem złapali fragment parkanu; wytężali się i stękali, aż udało im się obrócić pień. Krępy przyklęknął na jedno kolano i zajrzał w szczelinę po pile. Najlepiej wpasujmy się tędy, rzekł. Murzyn wziął poprzecznicę i razem z krępym znów zaczęli piłować. Piłowali jakiś czas, aż krępy powiedział: Dobra, czekaj. Jasny gwint, znowuż to samo. Przestali piłować, wyjęli piłę z nacięcia i zajrzeli w głąb pnia. Ano tak, potwierdził Murzyn. Znowuż to samo, no nie?

Młody podszedł, żeby też zobaczyć. O, powiedział krępy. Popatrz tu z boku. Widzisz? Młody spojrzął. Aż potąd?, spytał. Aha, przytaknął krępy. Chwycił skrecony kawałek kutego żelaza – zmaltretowany fragment parkanu – i szarpnął. Żelazo ani drgnęło. Wrosło na skroś w pień, rzekł krępy. Nie damy rady dalej ciąć. Piła i tak dosyć się wyszczerbi na tym starym wiązcie.

Murzyn kiwał głową. Taa, powiedział. Wrosło jak nic. Na skroś w pień.

I

Od pewnego czasu było pusto na drodze, wciąż jeszcze białej i rozprażonej, chociaż niebo na zachodzie już poczerwieniało od słońca. Szedł w pyle wolnym krokiem, a niekiedy przystawał i oglądał wylazący przez dziurę w podeszwie zwitek plastra, chwiejąc się na jednej nodze jak przysadzisty, niezgrabny ptak. Znów obejrzał się za siebie. W oddali na rozżarzonym pasie betonu pojawiła się nieforemna masa, która mozolnie brnęła ku niemu. Pomału rosła, zygzakowata i pokraczna jak za krzywą szybą, na moment zyskała formę i konsystencję furgonetki, a potem przemknęła i zaraz przetopiała się w ten płynny kształt, w którym najpierw się ukazała.

Niezbyt zdecydowanie machnął za nią ręką z podniesionym kciukiem. Wachlarzyki kurzu spieszenie wspięły się na pobocze i osiadły w mankietach spodni.

A jedź se w cholere, krzyknął do przelotnego mirażu. Wyjął papierosy, przeliczył je i schował. Zwrócił głowę ku słońcu. Po zmroku nie będzie szans, powiedział. Bezwietrzna cisza, ani szelestu zakurzonych gazet i papierków od słodyczy, które ukradkiem przytulały się do zrudziałej ściany zielska na skraju drogi.

Przed sobą widział światła stacji benzynowej i jakieś budynki. Może rozstaje, tam gdzie auta zwalniały. Wystawił kciuk w stronę ciężarówki z przyczepą, która minęła go z przeciągłym jękiem, porywając za sobą pył i papiery, a potem patrzył, jak nieco dalej jej pęd zgina drzewa przy drodze.

Chrystusa byś nie podwiózł, co?, zapytał, przeczesując palcami włosy.

Kiedy doszedł do stacji benzynowej, napił się wody i wypalił papierosa. Przy stacji był sklep spożywczy, więc wszedł i zaczął kraść ze śliskim szelestem wśród półek z pudełkami i puszkami, chowając do kieszeni różne drobiazgi: słodkie batony, ołówki, szpulkę przylepca... Wychodząc zza piramidy pudeł papieru toaletowego, zauważył, że sklepikarz mu się przygląda.

Ni masz pan aby, zaczął, ni masz pan... Jeszcze raz omiół wzrokiem wnętrze sklepu, jakby robił pospieszną inwentaryzację ...jakich pompek do kół?

W każdym razie nie na półkach z ciastem, odparł sklepikarz.

Przybysz spojrział na bezładną stertę chleba i ciast, które leżały w upstrzonym przez muchy celofanie, skrycie zabójcze.

Tam, wskazał palcem sklepikarz.

W skrzyni przy dalszym końcu lady leżały podnośniki, pompki, łyżki do opon, a gdzieś tam świder do wiercenia dołów pod słupy telegraficzne.

A, racja, rzekł przybysz. Tera widzę.

Podszedł do skrzyni, powłóczył nogami, i przez kilka minut w niej grzebał.

Nie takich żem szukał, powiedział sklepikarzowi, ruszając do drzwi.

A jakich?, zdziwił się sklepikarz. Nie wiedziałem, że są różne.

Nie, nie, to nie tak, z namysłem powiedział przybysz, stojąc zaledwie o krok od drzwi i pocierając palcem dolną wargę. Wynajdywał na poczekaniu nowy rodzaj pompki do kół. No, rzekł w końcu, tera jest nowy typ, co to nie trza nim dymać w górę i w dół (tu pokazał, jak to się robiło dawniej), bo ma dźwignię, którą się naciska, o, tak (tu zademonstrował pompowanie jedną ręką).

Powiadasz pan, rzekł sklepikarz.

No, przytaknął tamten. Dużo mniej się człek narobi.

Jakim wozem pan jeździsz?, zaciekał się sklepikarz.

Ja? Fordem, nówką z trzydziestego czwartego. Osiem cylindrów. Aż strach wsiąść, a co dopiero jechać...

Tylko że co chwila łapie gumę, tak?

No... nie, pierwszy raz żem złapał flaka. Ha, na mnie już... powiedz pan, daleko stąd do Atlandy?

Więcej jak trzydzieści kilometrów.

No, to będę się zbierał. Do zobaczyska.

Do miłego. Mam nadzieję, że uda się to koło napompować. Pompką byłoby dużo lżej.

Ale drzwi z siatki już trzasnęły i wędrowiec wyszedł. Stojąc na ganku przed sklepem, zastanawiał się, która godzina. Tymczasem słońce mocno się zniżyło. Zagrały cykady, a od płonącego zachodu nadleciała eskadra lelczyków; frunęły wysoko, orząc zmierzch spiczastymi skrzydełkami.

Przy stacji stał jakiś samochód. Wędrowiec przeklął sklepikarza w duchu, a potem zawrócił, przeszedł kilka kroków i napił się wody. Wyjął z kieszeni baton i nadgryzł.

Po kilku minutach jakiś człowiek wyszedł z toalety i minął go, zmierzając do samochodu.

Halo, powiedział wędrowiec. Jedziesz pan do miasta?

Tamten przystanął, obejrzał się za siebie i zobaczył mężczyznę, opartego o beczkę z benzyną.

Aha, przytaknął. Chcesz się pan ze mną zabrać?

No, byłoby dobrze, odparł wędrowiec i podszedł do niego. Córka leży we szpitalu, a ja muszę ją dziś wieczór odwiedzić...

W szpitalu? A w którym?, spytał właściciel samochodu.

Jak to w którym? W tym wielkim w Atlandzie...

Aaa... Ale ja jadę tylko do Austell.

Daleko to?

Z piętnaście kilometrów.

Nie podrzuciłbyś mnie pan taki kawałek, co?

Nie ma sprawy.

Przy wjeździe do Atlanty zobaczył na szczycie piramidy drogowskazów tablicę z napisem

KNOXVILLE 197. Tam właśnie zmierzał. Gdyby go spytano o nazwisko, mógłby się przedstawić jakkolwiek, tylko nie jako Kenneth Rattner, chociaż tak właśnie się nazywał.

W Tennessee na wschód od Knoxville zaczynają się góry, niskie granie i grzbiety pofałdowanych Appalachów,

lo

które wedle swego widzimisię gną i skręcają wybiegające z nich drogi. Na skraju wznosi się Czerwona Góra; z jej szczytu w pogodny dzień widać chłodną niebieską kreskę rozlewiska, która ginie w oddali niczym obietnica.

Późnym latem góra praży się pod niebem z bezlitosnego błękitu. Czerwony kurz drogi biegnącej obok sadu jest jak pył z ceglarskiego pieca. Nie da się go utrzymać w garści. Gorące wiatry pną się po zboczu, nadciągają z doliny, cuchnąc jak nieświeży oddech trojeścią, chlewem, gnijącą roślinnością. Wysokie pobocza z czerwonej gliny wieńczy zwiędły wiciokrzew i uschnięty, zakurzony groszek. Pod koniec lipca chyla się tu łany kukurydzy, spieczone, zeschłe, jakby pokonane. Cała zieleń jest wyblakła i sucha. Gлина pęka i rozłupuje się w bezliku mikrokataklizmów, a tu i ówdzie na zniszczonej ziemi wapienne głązy leżą jak szkółki grzejących się w słońcu delfinów, garbiąc szare żłobkowane grzbiety pod piekielnym niebem.

We względnym chłodzie lasów pleni się z nieubłaganą płodnością dzika winorośl, a dno lasu – zawalone starymi omszałymi pniami, zaludnione dziwnymi, uroczystymi muchomorami, pochylającymi się wśród paproci i kłaczy, żeby odsłonić delikatne wątrobarwne blaszki – ma w sobie coś pierwotnego, niby parujące karbońskie mokradło, w którym czyhają pradawne jaszczury, udając, że śpią.

Na górze wapień tworzy półki i wspina się poszarpanymi skarpami wśród wrytych w ziemię orzeszników, dębów i tulipanowców, które nawet tam, skazane przypadkowym upadkiem nasienia, zapierają się w ryzykownym przechyle.

Pod zachodnią ścianą leży wioska Czerwona Gałąź. Była to zupełnie inna miejscowość w dziewięćset trzynastym, kiedy urodził się w niej Marion Sylder, a także w dwudziestym dziewiątym, gdy rzucił szkołę i na krótko najął się do pracy jako czeladnik stolarski u Zyska Tiptona – klanowego patriarchy, którego majątek składał się z tuzina skleconych naprędce chat, rozrzuconych po najbardziej nieprawdopodobnych zakątkach doliny; chaty te przycupnęły nad uliczkami parowów niczym wielkie zasepione zwierzęta, unieruchomione przez zatwardzenie, a zarazem tchnęły taką nietrwałością i przypadkowością, jakby osadziła je tam cofająca się powódź. Budowano je błyskawicznie, lecz jeszcze przed ukończeniem robót wdawała się zgnilizna, której jakże łatwo ulegały. Gangrenowate pleśnie wżerały się w fundamenty, zanim porządnie przybito dachy. Błoto wpełzało na ściany, a farba odpadała długimi białymi płatami, jakby po kolei zżerała te rudery straszliwa zaraza.

Wynajmowano je smagłym ludziom o zapadniętych oczach; nie należeli oni do kasty metysów ani, ściśle rzecz biorąc, do żadnej innej, odznaczali się zaś tak zatrzważającą rozrodczością, jakby poświęcali życie wyłącznie płodzeniu całych pokoleń obdartych potomków, którzy godzinami przesiadywali na brzegach werand, boski i obszarpani, podobni do ofiar jakiejś okropnej katastrofy, i gapili się na nieszczęsną krainę, a w ich twarzach nie było nadziei, zdumienia ani rozpacz. Przychodzili i odchodzili bez bagażu, jak wędrownie ptaki, a każda następna rodzina niczym nie różniła się od poprzedniej. Zmieniały się tylko nazwiska na skrzynkach pocztowych: nowe gryzmołono nad paroma smugami farby, która unicestwiała wszelki ślad po wcześniejszych mieszkańcach, strącając ich z powrotem w anonimowość, z jakiej na chwilę się wyrwali.

Marion Sylder prawie do końca września owego roku pracował młotkiem i piłą, potem rzucił jednak tę robotę, obeznawszy się z płatwiami i ściągami, a za uskładane pieniądze kupił trochę ciuchów i sprowadził sobie pocztą z Minnesoty wysokie buty za trzydzieści dolarów, po czym znikł na pięć lat. Nie wiadomo, czym się trudnił na wygnaniu, ale z pewnością nie chodził w roboczych łachach i nie machał młotem.

Na przełęczy Czerwonej Góry stała podówczas karczma Pod Zieloną Muchą – pudełkowata, od frontu wysoka, z opadającym ku tyłowi blaszanym dachem. Zbudowana na rusztowaniu z drewnianych pali, wisiała nad przepaścią, a główne drzwi wychodziły wprost na drogę. Jeden narożnik karczmy przybito gwoździami do sosny, wystrelającej z dna przepaści, którą w wietrzne noce niczym kominem ciągnęły ku przełęczy powiewy z całej doliny. Podłoga pod stopami bywalców karczmy tańczyła wtedy pijanego walca, falując i prężąc się z donośnym stękanem. Nieraz cały budynek obłądnie szarpał się w bok, jakby miał zaraz runąć w dół. Bibosze nieruchomieli z przechylonymi w szklankach napojami, karczmą wstrząsało gwałtowne drgnienie, przewracała się jakaś miotła, jakaś butelka, po czym knajpa z wolna wracała do chwiejnej równowagi. Bibosze wznosili szklanki i podejmowali przerwane rozmowy. Póki siedzieli w karczmie, wystrzegali się jakiegokolwiek wzmianki o jej dziwactwach. Była dla nich tak żywa, jak stary okręt dla swojej załogi, i panowała w niej atmosfera właściwa tylko nielicznym lokalom: klimat solidarności, w znacznej mierze wywołany samą ryzykownością położenia. Kołysanie i nieustanne ciche jęki udręczonego drewna stwarzały iście żeglarską iluzję, toteż po każdym gwałtownym szarpnięciu prawie można było się spodziewać, że przez luk w suficie wskoczy brodaty mat i zamelduje o dobrym stanie takielunku.

W środku stał autentyczny, ponoć mahoniowy bar wyratowany w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym z pewnego saloonu w Knoxville. Odśluził potem swoje w pralni, w lodziarni i przez krótki czas w jakimś katakumbowym zakładzie przy drodze do Knoxville, kilka kilometrów od Czerwonej Gałęzi; zakład ten upadł tuż po otwarciu, ponieważ właściciel usiłował znaleźć złoty środek między szwindlem a przebiegłością. Cały bar oprócz dwóch doryckich kolumn z białego marmuru, wstawionych na obu końcach, miał całkiem zwyczajną konstrukcję. Nie było przy nim stołków, a dołem wzdłuż przedniej krawędzi biegł dość

wysoko umieszczony drewniany drążek do opierania stóp, wprawiony w piasty od kół wozów. Na sali rozstawiono cztery czy pięć stolików, a wokół nich zbieraninę zniszczonych krzeseł, skrzynek po mleku i jeden podstępny składany stołek turystyczny. Nocą po zamknięciu karczmy właściciel otwierał tylne drzwi i wymiatał śmieci prosto w zionącą czeluść, słuchając, jak hen w dole szkło roztrzaskuje się o warstwę szkła. Nagromadzone tam odpadki spływały po zboczu kaskadą sięgającą w przepaść nie wiedzieć jak głęboko, pełznącą, rosnącą, nieopisanie różnorodną i bogatą.

Pewnego wieczoru pod koniec marca bibosze zamrugali oczami, oślepieni blaskiem reflektorów, które zatoczyły luk na zakręcie, a potem patrzyli, jak po drugiej stronie szosy staje nowiuteńki dwudrzwiowy ford, lśniący czarnym lakierem. Po kilku minutach do karczmy wszedł Marion Sylder, odziany w przepyszną szarą gabardynę, w spodniach z ostrymi jak noże kantami i skórzanym paskiem, wąskim niczym koniec bicza, w koszuli wojskowego kroju, z trzema zakładkami na plecach. W zębach trzymał smukłą cygaretkę. Ruszył w stronę baru, a na jego karku widać było jasny jak blizna odstęp między opalenizną a włosami.

Jeden but z granulowanej koziej skóry oparł na drążku, wyjął z kieszeni garść srebrnych dolarów i ułożył je przed sobą w równiutki stosik. Na wysokim stołku przy kasie siedział Cabe. Sylder przelotnie spojrzął na monety, po czym podniósł wzrok.

No co jest, Cabe?, spytał. Pijemy czy nie pijemy?

A i owszem, odparł Cabe, gramoląc się ze stołka. Dało mu do myślenia, że przybysz zna jego imię. Jeszcze raz mu się przyjrzał. W rysach mężczyzny stojącego przy barze ukazała się jak widmo twarz zaginionego chłopca.

Czy aby nie Sylder?, spytał. Jesteś Sylder... Marion Sylder, tak?

A myślałeś, że kto?, odrzekł przybysz.

A niech to, powiedział Cabe. To ci dopiero... Gdzieżeś się podziewał? Hej, Bud! Popatrz no. Pamiętasz tego młodziaka? No coś takiego. Kto by pomyślał.

Bud przywłókł się do baru i spojrział na Syldera, a potem uśmiechnął się i kiwnął głową.

No, to daj tym obwiesiom coś do picia, zarządził Sylder.

Ma się rozumieć, zgodził się Cabe. Znaczy się komu?

Sylder zatoczył ręką łuk, ogarniając tym gestem całą mroczną, zadymioną izbę.

Wszyscy tu piją, no nie?

Ha. Pewnie, że tak. Cabe rozejrzał się, nie bardzo wiedząc, jak zabrać się do rzeczy, i nagle w ciasnym pomieszczeniu zabrzmiał jego okrzyk:

Dobra jest, obwiesie! Marion Sylder stawia wszystkim kolejkę. Ruszcie się i bierzcie, co wasze.

Kiedy Rattner doszedł do drogi, przystanął i potarł zapałkę, żeby obejrzeć sobie goleń. W rozkwitłym nagle krążku światła cięcie na nodze wyglądało, jakby wzbierała w nim smoła. Trzy czerwone strużki tworzyły deltę, omijając czarną plamę w miejscu, gdzie nogawka rozmasała krew, a potem znów się łączyły w cienki strumyczek, który stromo spływał w skarpetkę. Rattner upuścił zapałkę i włożył do ust oparzony kciuk.

Nie dość, że rozciął sobie nogę, to jeszcze piekł go obdarty ze skóry łokieć. Po południu zawadził o nisko zawieszony drut kolczasty. Wyrwał z ziemi garść zeschniętego zielska, zgniótł je w palcach i przytknął do niego płonąca zapałkę. Zatrzeszczało, szybko zajmąwszy się ogniem, a on znów podciągnął nogawkę. Starł krew dłonią i patrzył, czy prędko płynie. Zaspokoiwszy ciekawość, przyklepał lepki drelich do rany i z górnej kieszeni wyciągnął portfel. Przysunął go do światła, wyjął zwitek banknotów i przeliczył. Potem rozdarł portfel, rozsypując wizytówki i zdjęcia. Uważnie je obejrzał, podobnie jak wnętrze zniszczonego pugilaresu, po czym kopnął go precz, a pieniądze schował do kieszeni. Ze spalonego zielska została kula spopielenych włókienek, świecących jak rozżarzone druciki. Rozrzucił je kopniakiem, aż buchnęły zamierające iskry. Daleko przed nim blada zorza świeciła pośród nocy jak pierwszy poranny brzask. Wyruszył z Atlanty o dziesiątej... czyli nie mogła jeszcze minąć północ. Znów poklepał się po nodze, posłał kciuk i ruszył w stronę dalekich światła.

Gorący Kąt u Jima – oznajmiał neon w kolorze limonki. Rattner przeszedł kocim zygzakiem między nielicznymi samochodami, zaglądając do ich czarnych wnętrza i jednym okiem czujnie zerkając ku wejściu, przy którym pod kopułą żółtego światła trwał w nieustannym wzlocie wir owadów. Minął ostatni pusty samochód, zbliżył się do drzwi i przy świetle jeszcze raz obejrzał bruzdę na nodze, a potem wszedł do środka.

Widywano, jak dwudrzwiowy fordzik o różnych dziwnych porach rusza spod domu Syldera lub tam wraca, bądź też za dnia stoi w upale przed drzwiami, lśniący i nie na miejscu, harmonijnie umięśniony i jakby zniecierpliwiony niczym spętany rumak. W sobotnie wieczory Sylder zgarniał z pobocza grupki idących do miasta chłopców, ubranych w nowiutkie ogrodniczki, tak jak zbiera się psy gończe rankiem

nazajutrz po polowaniu; niezgrabnie wskakiwali do samochodu i odtąd już milczeli, albo co najwyżej ochryple szeptali między sobą, póki ford nie nabrał szybkości. Sylder czuł na karku ich oddechy, gdy z tylnego siedzenia zaglądali mu przez ramię, stłoczeni jak kurczęta w kojcu. Na dłuższą chwilę zapadała cisza, kiedy patrzyli, jak wskazówka pokonuje kolejne cyfry na szybkościomierzu, kreśląc powolny łuk, póki na ostatniej długiej prostej przed miastem nie zawisnie na moment przy stu trzydziestu. Czasem któryś ośmielał się zapytać. Sylder zawsze ich okłamywał.

Nawet w fabryce nie wiedzą, ile taki wózek wyciągnie, twierdził. Chcą na próbę wywieźć jeden na Saharę.

Przy Gay albo Market Street podjeżdżał do krawężnika i wrzeszczał: Wysiadka! A potem patrzył, jak wyskakują z samochodu niczym cyrkowi klauni – pięciu, sześciu, nieraz aż ośmiu, wszyscy w drodze na widowisko, gospodarscy synowie, którzy za cały dobytek mieli grządkę zwiędłych pomidorów i dwa żarłoczne wieprzki. Odjeżdżał pędem, widząc w tylnym lusterku, jak odprowadzają wzrokiem jego samochód, stercząc na chodniku i kiwając się niby stadko ciekawskich ptaków.

W niedzielę piwiarnie w Knoxville były zamknięte, a ich przeszklone fasady przygaszały i matowiły odświętny spokój, więc Sylder jeździł w góry, żeby zmieszać się z tłumem poza zasięgiem cywilnego i duchowego prawa.

Jack Kurier usta miał niebieskie, a język sinoczarny jak u psa czau-czau. Siedział przy stoliku tuż obok drzwi do Zielonej Muchy i popijał wino jeżynowe z butelki po jakiejś miksturze do nacierania.

Gdzieżeś je zostawił?, spytał go Sylder.

Aaaa... zagulgotał Jack. Tam na górze.

Sam żeś jest tera na górze, powiedział Sylder.

No tam, z naciskiem powtórzył Jack. Przy drodze przez Dolinę Hensona.

Hendersona chyba? Gdzie mniej więcej?

Na czubku góry, jużem ci mówił...

Myślisz, że prawdę gada?, spytał June.

Sylder przeniósł wzrok z powrotem na Kuriera. Jack wpatrywał się w ogromne, złowrogie cygaro, które znalazł w kieszeni koszuli i teraz z pijackim skupieniem turlał po języku.

Taa, odparł Sylder. Chyba że tak.

Mocne, powiedział Jack, odsuwając na odległość wyciągniętej ręki cygaro z dyndającą u spodu pętlą flegmistej śliny. Mocne.

Zaskoczeni żółtym blaskiem reflektorów, zastygli w zdumieniu jak dzikie zwierzęta, może jelenie, w pozach zwiastujących rychłą ucieczkę. Sylder minął ich, jadąc pod górę.

Nie przystaniesz?, zdziwił się June.

Jak będę wracał, odparł Sylder. Zajadę od tyłu, jakby mi było z nimi po drodze. Ani żem pomyślał, że pójdą złą drogą. Tak jak idą, znaczy się przez Sevierville, to im zostało ze czterdzieści pięć kilometrów.

W szparze między siedzeniami tkwił zakręcany słój whisky. Sylder usłyszał przenikliwy blaszany zgrzyt nakrętki, więc wyciągnął rękę po naczynie. Za przednią szybą ćmy majaczyły białą, błyszcząły i prószły miką na szkło. W smugach przednich świateł szalał balet drobnych muszek. Sylder napił się i oddał słój. Pod czarną maską silnik nucił gardłową pieśń spalin.

Sylderowi przypomniały się słowa starego Tiptona: każdy głupi widzi, jaki to idiotyzm, kiedy w

samochodzie tłoki pracują w ten sposób (na ukos, powiedział), bo prędzej czy później muszą z jednej strony przebić blachę na wylot. Powinny chodzić z góry na dół. Pełno takich na ulicach, dodał, jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha, żeś nie ty jeden dał się nabrać.

Przy kamieniołomie zawrócili i z wyłączonym silnikiem bezszelestnie zjechali po stoku. Tylko opony cicho stuknęły na pęknięciach asfaltu. Kiedy tamci dostali się w zasięg reflektorów, zbili się w gromadkę i zeszli do rowu, całkiem jak krowy. Sylder wolno wyhamował tuż przy nich.

Halo, powiedział June prosto w ucho pierwszej z brzegu dziewczynie. Chcecie się zabrać?

Druga stała obok pierwszej. Spojrzały po sobie i pierwsza odparła:

Dziękujemy, chyba mamy radę na piechotę.

Chłopiec trzymał się trochę z tyłu. Sylder widział ponad ramieniem June'a, że nie patrzy na nich ani na kobiety, tylko na samochód.

Daleko idziecie?, dopytywał June.

Znowu spojrzały po sobie. Tym razem odezwała się wyższa.

Jeszcze tylko kawałek drogą, wyjaśniła.

Powiedz jej, że możemy wszyscy razem kawałek się przejechać, podsunął Sylder.

Że co?, spytała ta niska.

A potem odezwał się chłopak i obie zgromiły go wzrokiem:

Jak daleko stąd do Knoxville?

Do Knoxville? June uszom nie wierzył. Knoxville, powiadasz? Nie dacie rady dojść tam na piechotę. To więcej jak trzydzieści kilometrów. Co nie, Marion?

Tamci jęknęli zgodnym chórem. A tymczasem Sylder pokazywał na migi, że June ma wysiąść.

No, dalej, powiedział Tipton. Wsiadajcie. Też tam jedziemy, zabierzemy was.

Po kolei wgramolili się do środka, wpatrzeni w widoczną w świetle lampki sufitowej twarz Syldera, a on witał każde po kolei uśmiechem.

Na rozstajach, nie zwalniając, skręcił w Skoczkę – bardziej stromą z dwóch odnóg. Ta mała między nim a Tiptonem tylko raz pisnęła, a potem już milczała, zasłaniając dłonią usta, gdy po ostrym wirażu mknęła prosto w czerń, a blask reflektorów odbijał się od koron drzew, sterczących pod ostrym kątem ze stromizny. Samochód runął w dół, przystanął na żwirze dolnej drogi i z lekkim poślizgiem skoczył naprzód. Z rury wydechowej ryczały spaliny, a żwir strzelał spod kół i grzechotał w lesie jak kartacze.

Dziewczynka z tyłu jakby cichutko szlochała. Przez kilka minut nikt nic nie mówił, a potem ta mała spytała:

Dokąd ta droga?

W piz...

Do miasta, wtrącił June. To droga do miasta. Jedziemy na skrót.

Miał wrażenie, że przysunęła się troszkę bliżej do Syldera, chociaż mówiła właśnie do niego, Tiptona, obrócona w prawo. Zobaczył, jak Marion dłonią pozieleniała od fosforycznego blasku tablicy rozdzielczej zaciąga ssanie.

Dojechali do pierwszego mostu, zanim silnik zaczął prychać na tyle wyraźnie, że ta mała zauważyła. Za mostem droga znów pięła się w górę, ale Sylder pozwolił autu parę razy szarpnąć, zanim wrzucił dwójkę.

Dziewczyna nie odsunęła nogi. Widział kątem oka, jak pochyla się do przodu, wpatrzona w nieznaną noc. Ćma przemknęła pod przednią szybą i musnęła jej policzek. Jednym obrotem korbki

zamknął okno. Kiedy samochód znowu szarpnął, dziewczyna wzdrygnęła się i spytała, co się dzieje.

Zaczął jej tłumaczyć, że w prądnicy zabrakło wody, ale przypomniał sobie o chłopcu, który siedział z tyłu i nie odezwał się dotąd ani słowem. Ta wysoka z tylnego siedzenia pochyliła się, dysząc Tiptonowi w kołnierz i z ponurą, udręczoną miną wpatrując się w przednią szybę, jakby się zastanawiała, czy nie dać rozpaczliwego susa w czerń nocnego krajobrazu, który przemykał za oknami.

Zatyka się od pary, rzekł w końcu. Na tych wzgórzach silnik się przegrzewa, więc trza stanąć i dać mu ostygnąć.

Mała spojrzała na niego, a potem bez słowa odwróciła wzrok. Widmowy królik zamarł w blasku reflektorów, wybałuszyl białe ślepia i znikł. June mówił coś do niej półgłosem, a ona wciąż patrzyła przed siebie, nie odzywając się ani słowem. Ta z tyłu cofnęła się na siedzeniu, wciąż milcząc. Sylder widział w lusterku kawałek jej głowy, a raczej sam zarys, ciemny i kudłaty jak niedźwiedzi łeb. I wtedy rozpoznał ten zapach. W powietrzu rozszedł się letni odór moczu, stęchle słodki.

Ostro wzięli ostatni zakręt pod sosnowym zagajnikiem i raptem zahamowali przed Murzyńskim Kościołem Baptistów

Oliwnej Gałęzi. Sylder wyłączył silnik.

To by chyba było na tyle, oznajmił.

Otworzył drzwi i już miał wysiąść, kiedy poczuł na udzie dłoń dziewczyny. Znieruchomiał i obrócił się w jej stronę.

Tylko nie on, powiedziała. Nie tamten.

Dobrze, zgodził się. W porządku. Chodź.

Zgasił światła i poszli, unicestwieni w nagłej ciemności.

Marion, ochryple szepnął June. Hej, Marion?

Arthur Ownby patrzył ze swojej werandy, jak przejeżdżają, a potem usłyszał, jak przy górnym odcinku drogi, tam gdzie przystanęli, trzasnęły drzwiczki samochodu. Zaczęło padać. Żółta mgiełka w lesie raptem zgasła. Słyszał ciche głosy, rozlegające się wśród ciepłej nocy jakby tuż-tuż. Wybijał stopą na narożnym słupku werandy rytm starej ballady. Spod okapu śledził ruchy gwiazd. Noc była pełna meteorów, które bombardowały wyniosły garb Czerwonej Góry. Z nieskazitelnego nieba padał deszcz. Na drodze zabrzmiał dziewczęcy śmiech. Arthur Ownby przypomniał sobie, jak w tamten niedzielny ranek siedziała na wysokim koźle furgonu, a on odczepiał orczyk i nagle muł pierdnął mu prosto w ucho. Wbił zwierzęciu dwa palce między żebra, ale nawet nie drgnęło. Starzy ludzie zasiadają się do późna. Arthur Ownby patrzył z werandy. Drzemał.

Drogą nadszedł chłopiec i spojrzał ku chacie, która stała na zboczu, ciemna i jakby opuszczona. Nie widział starca, a starzec spał.

Prawie świtało, kiedy ruszali w powrotną drogę z Knoxville. Na wschodzie szarzał błady ziąb.

Gdzież ją zaciągnął?, spytał Sylder.

June sięgnął po papierosy, zatknięte za klapę chroniącą przed słońcem.

Ale z niej brzydula, niech ją szlag, zaklął. Wiesz, co mi powiedziała?

No co?, zapytał Sylder, szczerząc zęby.

Że jestem najmilszy ze wszystkich chłopaków, co ją kłuli. Kłuli, jak rany Boga.

A gdzie?

Jak to gdzie?

Gdzieś ją zaciągnął? Zeszedł od strony kościoła, ale nie słyszał, jak włąziłeś pod górę. No to gdzieś ją zaciągnął?

A. Do wygodki.

Jakiej wygodki?

Znaczy się do sracza.

Sylder patrzył na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem, bo nie od razu zdołał przyjąć ten fakt do wiadomości, wyobrazić sobie całą scenę. Spytał jeszcze o jedno:

Na stojaka?

Nie, jakby ci to... trochu przysiadła i odchyliła się w tył, a ja... ona... usiłował opowiedzieć June, ale przekraczało

to jego możliwości jako gawędziarza, nie mówiąc już o granicach wyobraźni Syldera.

Znaczy się, ty... Sylder urwał na moment, próbując podsumować zdarzenie. Zerznął ją w sraczu dla czarnuchów, jak siedziała na...

Jasna cholera, przynajmniej jej nie wziąłem w tym cholernym kościele, przerwał mu June.

Samochód zjechał zygzakiem na pobocze i stanął, a Sylder osunął się na drzwiczki w napadzie śmiechu. Po chwili przestał się śmiać i spytał:

Czy to była ta, co...

Tak, niech to szlag, ta sama.

Juhu!, wrzasnął Sylder i wyturlał się z samochodu w mokrą poranną trawę, wstrząsany bezgłośnymi drgawkami.

W stodołastej sali panował półmrok. W wyfroterowanym parkiecie nieco dalej od wejścia odbijały się światła szafy grającej i baru. W długim lustrze za ladą ujrzał zniecierpliwioną własną sylwetkę w obramowaniu drzwi, zgrabnie ustawioną na szczycie piramidy szklanek. Zstąpił z nich i przeszedł po parkiecie, lekko utykając, a potem wgramolił się na stołek w samym rogu.

Barman siedział na obrotowym fotelu i czytał jakieś czasopismo. Starannie je złożył i bez pośpiechu podszedł do przybysza.

Piwo, powiedział Rattner. Na myśl o napitku oblizwał dolną wargę. Barman podszedł do beczki i napełnił wysoki kufel, a potem strzepnął pianę patykiem i podał piwo klientowi.

Rattner wziął kufel do ręki i przechylił go, spuszczać głowę; jego usta poszukały krawędzi kufła i przywarły do niej, białe i tłuste jak pijawki, a pod żółtoszarą skórą szyi kurczowo zadrgały ścięgna, pompując piwo do gardła. Wypił całe, pod koniec unosząc kufel, żeby wysączyć je do ostatniej kropli, a potem pchnął szklankę w stronę barmana, który przyglądał się gościowi z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, jakby obserwował parzące się świnię.

Jak Boga kocham, dobre to było. Taa, chyba wezne jeszcze jedno.

Dziesięć centów, rzekł barman.

Rattner grzebał w kieszeni, aż wyłuskał monetę.

Ma się rozumieć, powiedział.

Barman ostrożnie wziął kufel do ręki i znów nalał do pełna.

Rattnera tym razem nie było przez rok. Przeprowadził się z Maryville do Czerwonej Gałęzi, zamieszkał z żoną i synem w opuszczonej chacie z bali, a po czterech dniach porzucił ją i z dwudziestoma czterema dolarami w kieszeni samotnie ruszył na południe pustym wagonem kolei Louisville & Nashville.

Pewien wypadek w karczmie Pod Zieloną Muchą zesłał mu mannę z nieba.

Tylne drzwi, przez które Cabe po każdej nocy wymiatał śmieci, wychodziły na biegnącą w poprzek budynku werandę, ustawioną na belkach. Belki były przedłużeniem legarów i zostały oszczędnie podparte dwucalowymi deskami,

skośnie umocowanymi pod spodem. W letnie wieczory na werandzie zbierali się bibosze: sadowili się na krzestach lub skrzynkach, które przynieśli z sali, albo przysiadali na wąskiej poręczy w chwiejnej równowadze jak ptaki na grzędzie. Pogoda i termity zmówiły się przeciwko temu zaciszu i w końcu ściągnęły na nie zgubę. W gorącą letnią noc w trzydziestym trzecim do karczmy Pod Zieloną Muchą wszedł Ef Hobie. Ten powrót syna marnotrawnego (po półtorarocznej odsiadce w Krzacastej Górze w Petros za nielegalne posiadanie alkoholu) zwabił wielu życzliwych. Jeden za drugim wychodzili tylnymi drzwiami, żeby zająć miejsca na werandzie. Powszechnie lubiany Hobie monologował, sypiąc anegdotami. Właśnie opowiadał, jak pani Fenner pożyczyła od jego starej dyżurną kość do gotowania zupy, ugotowała na niej groch i ze szczętem ją popsowała, gdy nagle spod podłogi dobiegł ostry suchy trzask. Noc była spokojna i bezwietrzna, ciężka od upału, więc ten niespodziewany odgłos zabrzmiał dziwnie złowieszczo. Rozmowa umilkła na chwilę, lecz zaraz znów ją podjęto.

Rattner wstąpił do karczmy i wyszedł na werandę, ukradkiem, z nieśmiałym uszanowaniem kiwając głową gdzieś poza krąg gości, jakby przypuszczał, że ktoś znajomy tajemniczym sposobem zawisł w ciemnościach za poręczą; oparł się o futrynę drzwi i podniósł do ust butelkę, myszkuje wzrokiem wśród obecnych, a gdy na niego spoglądali, zamykał oczy albo lekko uśmiechając się do siebie, znów szukał spojrzeniem tej zawistej w ciemnościach istoty,

z którą tylko jego łączyła więź: widz, obcy. Rozmowa zawirowała i przycichła, on jednak nie dorzucił od siebie ani słowa, o nic nie spytał, więc niebawem przestano zwracać na niego uwagę. Odszedł od drzwi i usiadł na poręczy przy ścianie.

Rozległ się przeciągły trzask, jakby ktoś wyrывał gwóźdź, a potem znów ostro strzeliło, tak jak to bywa, kiedy drewno ugina się pod naporem. Zapanowała martwa, nieruchoma cisza, a ludzie spojrzeli po sobie z wahaniem. Niektórzy wstali i zaczęli się kręcić po werandzie, wciąż nic nie mówiąc. Popatrywali już ku wąskim drzwiom, jedyemu wyjściu, rozważając w myślach nie tyle liczbę, ile tonaż i objętość zgromadzonych mężczyzn, z troską specjalistów od ruchu drogowego kalkulując osiągalną prędkość i ryzyko powstania zatoru.

Przy trzecim trzasku fragment podłogi wyraźnie się przechylił.

Panowie, rzekł Ef, wstając z miejsca. Widzi mi się, że chyba...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, a przynajmniej nikt już nie usłyszał ani słowa. Rzucili się wszyscy naraz w stronę drzwi, jakby ktoś gwałtownie pociągnął sznurkami grupę marionetek, a ponad wrzawą pierzchających rozlegał się zgiełk legarów, które trzaskały z karabinowym hukiem, pękając wśród hałaśliwych kadencji. Podłoga za plecami uciekinierów opadała długą, wzbierającą falą.

Dopadli drzwi zgraną gromadą i utknęli w nich jak szczelnie wbity kołek akurat w chwili, gdy skraj werandy

urwał się i długim stromym łukiem z niejaką gracją odpadł od budynku.

Od kłębowiska mężczyzn wczepionych pazurami w drzwi zaczęły odpadać pojedyncze postaci w pozach niemego błagania. Jedna za drugą zsuwały się z pochyłości dyndającej werandy, nabierając rozpędu wśród skaczących puszek i butelek, aż wreszcie z przeraźliwym wrzaskiem spadały w czeluść. Niektórzy zdolali uchwycić się poręczy i zawisli na niej, patrząc ze zgrozą, jak ich kompani pędzą obok nich prosto w noc.

Od strony sali Cabe wraz z kilkoma innymi mężczyznami rozpaczliwie usiłował rozplatać zbitą, kłębiącą się w drzwiach masę. W końcu ratownicy uznali, że jedynym wyjściem jest chwycić za dowolną wystającą kończynę i ciągnąć aż do skutku. Wyratowani wchodziłi zatem na pokład bez jednego albo i obydwóch butów, bądź też odarci ze spodni, lub nawet całkiem nadzy, tak jak Hobie, któremu zostało tylko pół koszuli. Ostatecznie futryna drzwi runęła do wnętrza sali, pociągając za sobą spory kawał ściany, a mężczyźni wturlali się, tworząc jedno wielkie kłębowisko ciał i strzaskanego drewna.

Weranda przechyliła się, jeszcze przez chwilę dyndała na sześciocalowej desce, a gdy i ta pękła, wszystko razem przekręciło się z gromkim trzaskiem. Postaci uczezione poręczy stopniowo rozluźniały chwyt, odpadając pojedynczo lub po dwie jak strząsane z gałęzi chrabąszcze i wreszcie całe rumowisko osunęło się w powolnej pantomimie, aby grzmotnąć o dno przepaści.

Tymczasem w karczmie przemoc wisiała w powietrzu. Przerażeni mężczyźni, podrapani, poranieni i obnażeni, głośno dyszelili, złani potem z wolna przemijającej trwogi, rosnącego oburzenia i upokorzenia. Ci, którzy spadli, kolejno wchodziłi frontowymi drzwiami, czerwoni od krwi i gliny, podobni do ofiar jakiejś desperackiej potyczki, toczonej na szable i bez pardonu. W miarę, jak z dołu przybywały posiłki, jasny stał się podział na dwa stronnictwa, rzucili się więc na siebie krwiożerczo i walczyli do późnej nocy.

Kenneth Rattner trzymał się za rozplataną dłoń, kucając w jeżynowym gąszczu pod karczmą, i w cichym oszołomieniu słuchał odgłosów bijatyki i klątw uszkodzowanych. Przyniesiono lampę. Rattner widział, jak jej migotliwy płomień rozświetla ścianę ciernistych chaszczy. Wyjął z kieszeni chustkę i owiązał nią dłoń, zaciągając supeł zębami. Potem ostrożnie wdrapał się po zboczach i ruszył drogą do domu. Grupki mężczyzn biegły z latarniami pod górę na miejsce wypadku, ochryple szepcząc między sobą.

Dostałem robotę, oznajmił kobiecie.

Chwała Bogu, odparła. A gdzie?

W Greenville w Południowej Karolinie, powiedział, pokazując pieniądze. To na bilet kolejowy.

Ale dał jej pięć z trzydziestu jeden dolarów i poszli do sklepu. Kupił synkowi oranżadę, podniósł go i posadził na skrzynce. Chłopiec siedział ze szklanką w dłoniach i patrzył. Pani Eller właśnie opowiadała:

Ten cały Coy Tipton przyszedł tu z rana, a wyglądał, jakby wpadł do kombajna. Powiedział, że trzem albo i czterem ściągnął portki – swoją drogą ciekawam, jakim cudem – a jak zleźli po nie na sam dół, okazało się, że ktoś był szybszy i skradł im portfele. Siedziata przechylona w fotelu na biegunach, wolno wachlując się kościelną broszurą. Złodziejom i pijakom pewnikiem ze sobą po drodze, dodała. Sami się o to prosili.

Mildred Rattner macała bochenki chleba na półce.

Kiedy ci, co tarzają się w grzechu, myślą, że im ujdzie na sucho, rzekła, właśnie wtenczas dosięga ich Jego święty gniew. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Kenneth Rattner pogładził się po sztywniejącej nodze i poruszył stopą. Minęła już północ i ludzie zaczęli się schodzić. Barman, odłożywszy gazetę, nerwowo krążył za bufetem, polewając nowo przybyłym.

Rattner dopił piwo i odstawił kufel.

Hej, kolego!, zawołał. Daj no tu jeszcze jedno.

W sobotnie popołudnia Marion Sylder wstępował do sklepu wyświeżony, w krochmalonym ubraniu khaki albo w ogrodniczkach, podchodził do gablotki i pokazywał pani Eller, które chce skarpetki. Kobieta stawiała pudełko na ladzie, a on brał do ręki jedną parę i pytał:

Ile za te?

Ćwierć, odpowiadała. Stara cena, ciągle ćwierć. Wszystkie tyle kosztują, innych ni ma.

Sylder puszczał ćwierćdolarówkę w płas po szybie, brał skarpetki i siadał przy piecu na skrzynce od mleka. Rozprawiał się najpierw z jedną, później z drugą: zdejmował but i skarpetkę, a potem machał bosą stopą, sięgając ręką do drzwiczek pieca, otwierał je i dwoma palcami wrzucał starą skarpetkę w ogień. Dopiero wtedy wkładał świeżą, sznurował but i zabierał się do drugiej stopy, u której zamiast wielkiego palca miał kikut bez paznokcia. Pracował ostatnio w fabryce nawozów. Koło południa zjadał w kantine zwykły zniżkowy obiad za trzydzieści centów, w tym trzy kromki chleba, które kleiły się do podniebienia, trzy kromki z odciskiem kciuka pośrodku, podane na kawałku woskowanego papieru. Fasola i mięso, ociekające tłuszczem prosto w tłusty sos, który kapał z kartofli, perlista piana tłuszczu na kawie, wszystko nawilżone, jakby tamtejsi stołownicy cierpieli na zanik mięśni przełyku i suche jedzenie więzło im w gardłach. Późnym popołudniem wracał, parkował wóz i przez splekane i zryte gliniaste podwórko, na którym z jedyne go dębu, sękatego i bezlistnego, zwisła stara opona, wchodził do domu z surowego drewna.

Najpóźniej po godzinie wyjeżdżał, umyty i uczesany, zagłuszając jazdą bez tłumika spokojny świegot cykad, ostrożnie toczył się w dół po wyboistym podjeździe, skręcał na szosę i pędził.

Do Happy Hollow albo McAnally Flats. Do Mead's Quarry lub Pennyroyal. Tam gdzie dymiące budy żółcieją światłem naftowych lamp, słodko cuchnąc legalnie pędzoną whisky.

Pił i z rubasznym humorem zalecał się do wsiowych flader, które krążyły po obrzeżach miasta jak zbłąkane sieroty. Najbardziej upodobał sobie te niezgrabne: Wrethę w białym bawełnianym kostiumie, z udami jak baryły. I te za chude. Bezimienną z kościstym tyłkiem, który wbijał mu się w nogę. Na próbę poślinił palec i maznął jej brudną szyję, pozostawiając białą smugę.

W niektóre noce trafiał do karczmy Pod Zieloną Muchą i hulał do upadłego ze starymi opojami – zamożny syn, który wrócił bez gałązki oliwnej, za to z pieniędzmi w twardej monecie i papierach, dający początek erze dobrobytu, utopii fundowanych trunków.

Teraz ledwie wiązał koniec z końcem za tych osiemnaście dolarów tygodniowo, bo dawniej wydawał tyle w jeden wieczór. W sierpniu skończył dwadzieścia jeden lat.

W pierwszy piątek po urodzinach stracił pracę w fabryce nawozów. Aaron Conatser sprowokował go do bójki, więc Sylder stawiał mu czoło – nie żeby jakoś szczególnie go nie lubił, nawet nie czuł do niego wielkiej złości, ale chciał po prostu mieć już to z głowy, załatwione. W całej fabryce jeden tylko Conatser dorównywał mu posturą i od dawna miał ochotę się z nim zmierzyć.

Sylder właśnie klęczał na jednym kolanie, zakładając Aaronowi nelsona, kiedy usłyszał, że chrapliwy oddech tamtego ustał. W sali spedycyjnej zapadła zupełna cisza, a gdy podniósł głowę, zobaczył, że mężczyźni kibicujący bójce już się jej nie przyglądają, tylko patrzą gdzie indziej, i jeszcze zanim obejrzał się za siebie, odgadł, że to pan Petree dołączył do kręgu gapiów. Nie brygadzysta, ani nawet nie kierownik, bo każdy z nich kazałby przerwać bijatykę. Sylder puścił Conatsera i wstał. Conatser też dźwignął się z ziemi, wyciągając szyję jak kogut, który stracił głos, i z wytworną obojętnością schował ręce w tylnych kieszeniach spodni.

Marion obliznął cieknącą z nosa strużkę krwi, poczuł jej słony, metaliczny smak i obrócił się, żeby posłuchać, co powie stary. Ale Petree zrobił w tył zwrot na kwadratowym skórzanym obcasie i

odmaszerował przejściem między

workami, a echo jego głucho dudniących kroków rozchodziło się po posadzce i niosło wśród spiętrzonych worków.

Ci trzej czy czterej, którzy się zebrali, żeby przyjrzeć się bijatyce, w milczeniu rozeszli się, skryli chyłkiem w ciemnych, cuchnących przejściach między stosami worków, mniej bezczelni od szczurów gnieźdzących się pod paletami. Sylder i Conatser stali jeszcze niecałą minutę, mierząc się wzrokiem i ciężko dysząc. Potem Aaron odwrócił głowę i splunął, łypnął przez ramię na Syldera i niespiesznie odszedł ku rampie.

Tuż przed fajrantem brygadzysta z rampy przyszedł z nowiną dla Mariona.

Próbowałem za tobą przemówić, ale nie dał mi dojść do słowa, powiedział.

Sylder nie bardzo mu wierzył, ale tak czy owak wymamrotał jakieś dziękuję i ruszył do biura.

Ty gdzie?

Po wypłatę.

Masz, powiedział brygadzysta. Sylder odwrócił się i zobaczył, że tamten wyciąga do niego rękę z kopertą.

Poszedł do Monka i do jakiejś szóstej czy siódmej wieczór pił piwo, po czym wrócił do domu. Przed ósmą spakował do starej tekturowej walizki trochę ciuchów i niedługo później z ponurą miną siedział za kierownicą fordzika, podczas gdy reflektory otwierały przed nim noc, a wąski pas asfaltu oznaczony numerem sto dwadzieścia dziewięć odwijał się pod kołami jak plaster ze szpulki. Zrobił postój w garkuchni na obrzeżach Chote, wypił dwa ciepłe piwa z

kubków do kawy i kupił papierosy. W górach droga była wąska i zwirowana, więc na zakrętach wpadał w poślizg. Nagle pośrodku drogi stanął na wysokich łapach ryś o ślepiach jak latarnie, który raptem sprężył się i wzleciał na niewidzialnych sznurkach nad wysokim poboczem. Górzysta kraina ciągnęła się całymi kilometrami, nieważka i bezludna, a droga biegła zakosami przez mroczne lasy, pełne sowych dziupli, nietoperzych jaskiń i wiedźmich sabatów.

Kopcił bez przerwy, raz po raz zamykając przednią szybę, żeby przypalić nowego papierosa od niedopałka, i w blasku ich zespolenia wpatrywał się we własną gębę tonącą w cieniu, lecz odbitą w szkle pomarańczowym reliefem, patrząc, jak świetlny punkcik przygasa na wydechu, a potem wolno pnie się po mrocznym zwierciadle niczym słońce, nie wiedząc czemu wschodzące nocą. Znow otwierał okno, żeby wpuścić wilgotny strumień powietrza, a niepotrzebny już pet leciał łukiem nad maską i zaraz zmiatało go na bok szybkim czerwonym zakosem. W Blairsville zatankował do pełna i już później się nie zatrzymywał. Widział, jak za równiną u podnóża czarnego stoku góry księżyc kędzierzawi rzekę, zbrojąc płycizny kolczugą, aż świetliste węże mkną stadami pod prąd po dźwięczących głazach. Przez szparę pod przednią szybą wpadało chłodne wilgotne powietrze.

Do Atlanty dotarł po północy, ale nie wjechał do miasta. Zatrzymał się przy zajezdzie tuż przed opłotkami i przez

kilka minut siedział w aucie, raz po raz zaciskając powieki. Przed wejściem stały jeszcze trzy lub cztery samochody, słabo połyskujące w łagodnym świetle neonu.

Przeszedł przez wachlarz ciem, kłębiących się pod żółtą lampą nad drzwiami, i dalej za próg. Ponad głowami tancerzy zobaczył w lustrze za barem własne odbicie: zapadnięte oczy, groźną minę. Uświadomił sobie, że jest nieludzko zmęczony. Minąwszy rząd ustawionych pod ścianami wysokich łóż, dotarł do baru, gdzie zamówił i wypił cztery czyste whisky. Poczł się trochę lepiej. Siedział nad piątą whisky, kiedy od strony parkietu dobiegł go brzęk tłuczonego szkła; obrócił się i zobaczył, że dwaj mężczyźni z

butelkami w rękach czujnie krążą wokół siebie. Jakiś olbrzym dźwignął się ze stołka przy końcu baru, bez pośpiechu przedarł się przez gęstniejący tłum gapiów, chwycił obu awanturników za paski u spodni i wyprowadził indyjskim fokstrotem za drzwi; bez sprzeciwu stąpali na palcach, trzymając w opuszczonych dłoniach beużyteczne flaszki.

Juhu! Patrzcie, drepcą jak indory!, zawołał jeden z siedzących przy barze. Wykidajło wrócił znużonym krokiem, bez uśmiechu, i z powrotem wtopił się w cień. Sylder wypił do dna i przez kilka minut wpatrywał się w zmętniałe twarze. Właściwie nie był na rauszu, tylko czuł, jak falami spływa z niego zmęczenie. Chyba nawet minęła mu już wściekłość. Po paru minutach wyszedł na dwór, zastanawiając się mgliście, po co w ogóle przyjechał w to miejsce i dokąd się wybiera. Piątego grudnia trzydziestego trzeciego roku w Luizjanie i gdzie indziej skończył się popyt na jego pracę.

Wyszedł w cichy mrok i ruszył po żwirze, odrobinę utykając na nierównym gruncie. Podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki.

W fosforycznym świetle, które zdawało się bić nie tyle z lampki sufitowej, ile od twarzy nieznanego, zastygł, rozganiając dłonią powietrze zmacone otwarciem drzwiczek. Tamten patrzył na niego z miną uprzejmą, bez wyrazu, a Sylder zaczął szukać nie tyle przyczyny czy wytłumaczenia, ile skojarzenia z jakimkolwiek racjonalnym doświadczeniem, które pozwoliłoby mu zrozumieć, skąd nagle w jego aucie wziął się ten człowiek, jakby powołało go do istnienia samo otwarcie drzwi i zapalenie lampki.

Usta nieznanego rozciągnęły się i zastygły w powolnym, paskudnym rozziewie, a głos zapytał wyteżonym tonem, o oktawę wyższym niż u większości mężczyzn, w błagalnym rejestrze:

Jedziesz pan na Knoxville?

Sylder z wolna wypuścił powietrze z płuc.

Co robisz w moim wozie, do wszystkich diabłów?, wychrypiął.

Siedząca postać miała w sobie coś ohydneho, więc nie umiał się przemóc, żeby brutalnie ją szarpnąć, tak jak nie dotyka się własnego ramienia, kiedy narobi na nie ptak.

Z otwartych ust padły słowa:

Zobaczyłem rejestrację, okręg Blount, a ja właśnie stamtąd, z Maryville. Pomyślałem, że może jedziesz pan w tamtą stronę. Pilnie potrzebuję podwózki... jestem chory.

Mówił lepkim tonem, ze spojrzeniem utkwionym w pasku Syldera, jakby przemawiał do jego brzucha. To nie żadne przeczcucie radziło Marionowi pozbyć się nieproszonego gościa, lecz głęboka, niewzruszona pewność, że stoi w obliczu zła i ma obowiązek bronić przynajmniej swojej własności przed tym człowiekiem, który już się usadowił za kierownicą jego samochodu.

Fakt, żeś chory, powiedział. Bierz dupę w troki i zjeżdżaj.

Dziękuję, kolego, odparł tamten i odsunął się w stronę prawych drzwiczek, jakby bez pomocy narządów ruchu jechał po szynach. A potem znów znieruchomiał.

Sylder ze znużeniem oparł głowę o dach. Wiedział, że nieznanomy wcale go źle nie rozumiał.

Takem też se myślał, że nie odmówisz pan swojakowi, powiedział intruz. Pan z Maryville? Mieszkam zara obok, jestem z Florydy...

Sylder wolno usiadł za kierownicą, czując, że jeżą mu się włosy na karku. Spojrzał na sąsiada.

Musiałbym cię wysadzić własnymi rękami, powiedział cicho, nie mogąc się przemóc, żeby go dotknąć. Wsunął kluczyk do stacyjki i włączył silnik. Czuł straszliwą potrzebę czystości.

Niezły wózek, z podziwem rzekł nieznanomy.

Skręcając na zryty koleinami podjazd, a potem na szosę, Sylder pomyślał: Ma skurwiel gadane. Będzie głądził i głądził.

Tamten natychmiast potwierdził jego przypuszczenie, mówiąc:

Bardzoś mnie pan poratował, kolego. Wiesz, ciężko znaleźć podwózkę w nocy.

Rano, mruknął Sylder, ze złością wrzucając dwójkę.

...zwłaszcza że mało co jeździ, a jak już, to ludziska nie wezną człowieka, choćby...

Oj, pomyślał Sylder. Nie trza było zmieniać biegu.

Kątem oka widział kolano, podciągnięte na siedzenie auta: nieznajomy usadowił się po przekątnej i bacznie go obserwował.

Moja matka też ciężko chora, dostała...

Dłoń Syldera ukradkiem przeniosła się z kierownicy na drążek skrzyni biegów i przycupnęła na niej jak ptak. Wskazówka szybkościomierza pięła się w górę przy wtórze szumu silnika.

...doktor każe se płacić więcej jak...

Lewą stopą wcisnął sprzęgło. Teraz. Pod jego stuloną dłonią drążek skoczył podstępnie i zadrgał w miejscu, gdzie przed chwilą było kolano pasażera.

...więc jestem wdzięczny, ciągnął ten ostatni jednostajnym tonem, lekko się kołysząc z nogą założoną na nogę w wygodnej, zadomowionej pozie.

Sylder wysunął łokieć za okno i wsłuchał się w pęd wiatru, wyboisty rytm otwartej rury wydechowej i tłuste

mlaskanie czarnej szosy pod kołami, usiłując się uwolnić od tego nieznośnego głosu.

Nie przejeżdżały żadne inne samochody. Sylder prowadził niemal w transie, a nie milknący, natrętny głos wpędzał go w jakieś oszołomienie, w niedowład zmysłów, zwiastujący... co? Trochę się wyprostował na siedzeniu. Sąsiad nie spuszczał go z oka, chociaż ani razu wprost na niego nie spojrzał.

Ty skurwysynu, pomyślał Sylder. Miał wrażenie, że pojechał aż do Atlanty specjalnie po to, żeby odwiedzić tego typu z powrotem do Maryville. Bolały go plecy. Chyba zem zwariował, pomyślał, szukając po kieszeniach papierosów. A jak nie, to ten skurwiel i tak doprowadzi mnie do szału. Wytrząsnął papierosa z paczki i od niechcienia wsunął dwoma palcami do ust. Paczkę trzymał w drugiej ręce, opartej o górną część kierownicy. Zakład, że nie dam rady, powiedział sobie w duchu. Że nie dosięgnę. Prawa dłoń, którą przed chwilą wetknął sobie papierosa do ust, popęzła w stronę paczki, żeby ją schować. Była już w połowie obwodu kierownicy, gdy tamten głos zapytał, nieoczekiwanie czysty i pełen nadziei:

A jakbyś mnie pan tak poczęstował... Pasażer pochylił się i wyciągnął rękę, nie czekając na odpowiedź. Wyszły mi jakiś czas temu i nie mam...

Sylder zachichotał, wyprostowaną ręką podając mu paczkę.

Jasne, powiedział. Częstuj się pan.

Odczekał kilka sekund, słuchając szelestu papieru, aż pasażer wyciągnie papierosa. Poczul, że tamten się waha i spogląda na niego. A potem paczka wróciła.

Dziękuję, kolego, rzekł nieznajomy.

Sylder czekał. Tamten już się nie odzywał, także czekając. Sylder z bolesnym rozmysłem wyjął zapałki. Kolanem podparł od spodu kierownicę, z wystudiowaną powolnością wydłubał z pudełka zapałkę i potarł nią draskę. Osłaniając dłońmi płomyk, zapalił papierosa, po czym wyrzucił dogasającą zapałkę, tak że przeleciała mu nad łokciem i wypadła przez trójkątne okienko prosto w wartki nurt powietrza, potem zaś ujął oburącz kierownicę, z rozkoszą wypuszczając dym, a zapałki schował do kieszeni. I znów czekał.

Słuchaj, kolego, nie dałbyś mi... O, dziękuję, bardzo dziękuję.

Zapałka skrobnęła i trzasnęła. Sylder kontemplował odbitą w przedniej szybie twarz sąsiada, widoczną

ponad geizerkiem płomyka, całą w oranżach i czerniach niczym oblicze z jakiejś miedzianej ikony, maskę o spuszczonej powiekach, nie zagadkową ani nieprzeniknioną, tylko odartą z wszelkiego znaczenia i wyrazu. Na mgnienie utkwił wzrok w drodze, a pasażer przez ten czas podniósł oczy i popatrzył na jego odbicie w szybie, więc gdy Marion znowu w nią spojrział, przez chwilę mierzyli się wzrokiem ponad czarą światła jak dwaj wrodzy wodzowie po przeciwnych stronach ogniska podczas pertraktacji; trwało to zaledwie

ułamek sekundy, a potem nieznajomy stulił usta jak karp i wessał się w papierosa, wciągając płomyk.

Palili, a upalna noc przelewała się po nich gęstym syropem. W ciemnej szybie, przez którą przetaczała się droga, papierosy wznosiły się i opadały nad łagodnym, zielonym brzaskiem tablicy rozdzielczej jak dalekie semafony.

Zatrzymał się w Gainesville, żeby zatankować, chociaż nie było potrzeby, i poszedł do toalety, zabierając kluczyki. Pasażer został w samochodzie. W toalecie Sylder wypalił papierosa, chciwie się zaciągając, i pstryknął petem do muszli. Ochlapał sobie twarz zimną wodą i wyszedł na dwór, zapłacił stacyjnemu o sennym spojrzeniu i wsiadł do auta. Pasażer siedział w tej samej pozie, co przedtem. W wilgotnym powietrzu unosiła się dyskretna, lecz niewątpliwa woń świeżego tytoniowego dymu.

Świt. Pola dymiące spod ławic mgły, drzewa białe jak kości. Szare zarośla, jakby metalicznie twarde wśród porannej wilgoci. Po przedniej szybie mknęły paciorki wody, więc Sylder włączył wycieraczki, a potem patrzył, jak opadają w powolnym geście błogosławieństwa, i właśnie przecierał szybę grzbietem dłoni, gdy prawa tylna opona głucho eksplodowała, miękko klapnęła o asfalt i auto stanęło.

Dopiero po fackie zdał sobie sprawę, że pasażer mógł wcześniej chwycić rączkę lewarka, ale odczekał, aż on

sam wyciągnie lewarek spod auta i mu go poda, każąc schować do bagażnika. Umysłowił też sobie, że tamten o ułamek sekundy pomylił się co do tego, ile jemu, Sylderowi, potrzeba czasu, żeby się schylić i uderzeniem nadgarstka wcisnąć dekiel z powrotem w felgę. Choć więc nie widział, co się dzieje z tyłu, ani nie dostał żadnego sygnału ostrzegawczego, zdążył zrobić półobrót i już zaczynał się prostować, gdy lewarek trafił go w ramię, przygważdzając do boku samochodu. Coś grzmotnęło tuż obok jego głowy w boczny płat nadwozia i ten moment także zapamiętał, ale dopiero później zorientował się, że musiała to być podstawa lewarka. Za drugim razem też nie zrobił uniku, lecz osunął się po drzwiach, kiedy tamten z rozmachem uderzył z boku (teraz Sylder już go obserwował), wybijając w blasze szczerbatą dziurę. Marion siedział na ziemi z głową opartą o drzwi, z ręką bezwładną jak złamane skrzydło i patrzył w górę – jeszcze bez oburzenia, tylko ze zdumieniem – na pochyloną nad nim postać. Lecz gdy pasażer wyrwał trzonek lewarka z przedziurawionej karoserii, Sylder podniósł rękę i mając wrażenie, że robi to bardzo wolno, położył dłoń na lewarku i tym samym powolnym ruchem zacisnął wokół niego palce. Pasażer spoglądał na niego z góry, a Marion w stopniowo wzbierającym świetle, które gromadziło się i zawisało między połyskiem lakieru auta a blednącym pyłem drogi, dostrzegł w jego twarzy strach, wryty w nią i wrośnięty jak fizyczna ułomność. Trwali tak przez kilka sekund – jeden na ziemi, drugi pochylony nad nim –

i trzymali lewarek za oba końce, jakby znieruchomieli, podając go sobie z ręki do ręki. A potem Sylder wstał, wciąż tym lunatycznie spowolnionym ruchem, jak gdyby sam czas był już na wyczerpaniu, i zobaczył, że napastnik obraca się z mozołem, jakby poruszał się w cieczy gęstszej niż woda, z męceńską powolnością. I wtedy lewarek padł skosem na ziemię, posłuszny dogorywającym siłom grawitacji, i

wolno odbił się od drogi, wymknąwszy się Marionowi z ręki, nagle ciężkiej jak ołów, która uniosła się sztywnym łukiem, a palce rozcapierzyły się niczym obnażone kocie pazury i wbiły w wątlą szyję przeciwnika. Ten próbował rzucić się do ucieczki, ale nie oddalał się ani o milimetr, jak w koszmarnym śnie.

Nie wiedział, czy sam runął twarzą w dół, czy to tamten upadł, pociągając go za sobą. Leżeli na drodze, pasażer nosem w pyle, a Sylder na nim, przez chwilę nieruchomi jak odpoczywający kochankowie. Sylderowi przy każdym oddechu przebiegał skosem z ramienia do płuc jakby prąd, który pozbawiał go tchu. Nie przestając ścisnąć dłońią gardła tamtego, przesunął się nieco wyżej i szepnął mu na ucho:

No i co nic nie gadasz, skurwielu? Zapomniałeś języka w gębie?

Trząśł jego głowę, ale pasażer nakrył ją obiema dłońmi i wyglądał, jakby bez reszty pochłonał go widok kamyczków nawierzchni. Sylder rozluźnił palce i przesunął nimi wśród fałd jego szyi, aż sięgnął krtani. Pasażer przez kilka minut nie reagował, a potem nagle przekreślił się na bok, splunął Sylderowi w twarz i spróbował się wyrwać. Sylder potoczył się razem z nim, a kiedy tamten leżał na wznak, przygwoździł go i siadł na nim okrakiem. Ręka zwisała mu bezwładnie ze złamanego barku niczym powróż. Przesunął się do przodu i podłożył pasażerowi nogę pod głowę. Wyglądał przy tym jak zwalista pielęgniarka opatrująca rannego. Wepchnął potylicę leżącego w zgięcie własnej nogi, wyprostował rękę, po czym całym ciężarem i siłą docisnął szyję pasażera, którego bezkostna, zdawałoby się, twarz kilkakrotnie drgnęła, nie zmieniając jednak wyrazu: była wciąż tą samą gumiąstą maską trwogi, niemą i niczego nie pojmującą. Żuchwa raz po raz opadała, ale nie jak na zawiasach, tylko jak gruda odpadków, wstrętnych resztek, rozsypująca się i osuwająca powolnymi fałdami na rozcapierzoną dłoń Mariona, który po chwili zdał sobie sprawę, że pasażer próbuje go ugryźć, i wydało mu się to tak zabawne, że parsknął chrapliwym śmiechem. W końcu tamten położył mu dłonie na ręce, a ich opuchnięte palce, pełzające po jego dłoni i nadgarstku, przypominały oseski oposa, które Sylder kiedyś widział, ślepe i różowe.

Długo tak go trzymał. Całkiem jakby człowiek wyciskał ropnia, pomyślał. Po pewnym czasie pasażer spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko bulgot. Sylder przyglądał mu się z fascynacją, wręcz zahipnotyzowany, patrząc, jak tamten mruga powiekami i wywala język. Potem rozluźnił chwyt, a pasażer wytrzeszczył oczy.

O Jezu, wysapał. Panie Jezu, tylko mnie puść.

Sylder pochylił się i z twarzą przy jego twarzy powiedział półgłosem: Lepiej poproś kogoś, do kogo masz bliżej. I wtedy poczuł swój bark, widząc, że tamten właśnie tam patrzy. Kiedy wgniół mu kciuk w tchawicę, zapadła się jak uschłe sitowie. Pasażer zdołał podnieść rękę i z zamkniętymi oczami zaczął go bić po twarzy i piersi. Sylder też zamknął oczy i wtulił twarz w ramię, robiąc unik przed coraz gwałtowniejszymi ciosami, które po chwili jednak spowolniały, aby wreszcie całkiem ustać. Kiedy Sylder podniósł powieki, pasażer gapił się na niego jak sowa, a z otwartych ust wystawał mu koniuszek języka. Marion rozluźnił chwyt i wtedy palce same mu się skurczyły, zwijając się w szponiastą łapę, podobną do martwego pająka. Usiłował ją rozewrzeć, ale nie mógł. Jeszcze raz spojrział na leżącego mężczyznę i oto czas ruszył z miejsca, nadrabiając straty, żeby przywrócić wskazówkom wszystkich zegarów właściwe położenie.

Tamten nie żył może od kwadransa. Sylder chwiejnym krokiem podszedł do samochodu, usiadł na stopniu nadwozia i bez zmrużenia patrzył w mosiężne oko słońca, ocieżałe i nierzeczywiste nad czerwonymi wzgórzami, póki nie stracił przytomności.

Ranek. Leżąc z policzkiem w pyłe drogi, patrzył z perspektywy dziecka, więc lewarek wydawał mu się potężny jak obalone drzewo, a na dalszym planie zwrócony twarzą ku niebu mężczyzna przypominał spokojnego olbrzyma,

który ułożył się do snu. Kamienie na drodze rzucały długi cień, a pierwsze ptaki dawały już głos.

Właśnie zaczął ciągnąć ciężkie zwłoki w gąszcz sorgo i sumaka, gdy z tyłu za którymś zakrętem rozległ się warkot silnika. Przystanął, a potem zawrócił w stronę samochodu, usiłując biec. Jedną ręką włókł za sobą trupa i potykał się już w połowie drogi, czując, że nie ma szans zdążyć, że się przeliczył. Gdy zatem dotarł do samochodu, nawet nie otworzył drzwi, tylko upuścił brzemię, przykucnął nad nim i trzymając się spodniej strony stopnia nadwozia, wbił stopy w pachy nieboszczyka i wepchnął go pod wóz do trzech czwartych długości, brzuchem w górę. Akurat wtedy jakaś ciężarówka wyjechała zza dalekiego zakrętu i przyłapała go w chwili, gdy z trudem dźwigał się na nogi.

Słońce stało już dość wysoko. Z pasa sosen po drugiej stronie równiny opadały wstęgi mgły, podobne do bagiennych gazów wznoszących się w parnym powietrzu, a wrony pochrząkiwały, jak to z rana. Sylder wyskoczył spod samochodu, wyprostował się i zaczął od niechcienia zacierać podeszwą ślady, które pozostawiło wleczone po ziemi ciało, i właśnie wtedy ciężarówka stanęła obok jego forda. Wiedział, że się zatrzyma, i zdążył już sobie pogratulować roztropnej decyzji, bo gdyby wsadził trupa do auta, tamci by go spostrzegli i narzucili się z pomocą, widząc jego... Jego bark: obrócił głowę, dwie twarze wyglądające z szoferki zamazały mu się przed oczami, a kiedy spojrział w dół, zobaczył na swoim ramieniu wielką plamę krwi, a z przodu koszuli drugą, już zaschniętą i trochę poczerniałą. Wciąż się wpatrywał w tę krew, bliski mdłości, gdy z ciężarówki padło pytanie:

Pomóc wam jakoś?

Nie od razu uniósł głowę, bo po pierwsze sparaliżował go ból w zmiażdżonym ramieniu, który rozszalał się nagle, jakby głos z szoferki spuścił go z uwięzi, a po drugie nie uszła jego uwagi ironia sytuacji. Ale po chwili podniósł wzrok i spojrział prosto w dwie pary oczu, przyglądających mu się z ciekawością i współczuciem, a zarazem z miłym spokojem, którego nie mógł zmącić nawet widok zakrwawionego człowieka.

Ciężarówka stała po drugiej stronie drogi, a on patrzył na tamtych dwóch, odgradzony od nich otwartą pokrywą bagażnika, więc chociaż za chwilę miał użyć liczby mnogiej, pomyślał: Oni go nie widzą. Nie umiał jednak wybiec wyobraźnią zbyt daleko w przyszłość i nawet kiedy było już po wszystkim, nie potrafił prześledzić w głowie obu możliwych wariantów rozwoju sytuacji. Stwierdził w duchu, że tamci tak czy owak wysiedliby z szoferki, a on w żaden sposób nie mógł temu zapobiec. Powiedział zatem: Mielimy małą kraksę. A jednocześnie pomyślał: No tak, oni tak czy owak wysiądą. Te sukinkoty będą musiały wysiąść i porządnie się przypatrzeć.

Drzwi po obu stronach szoferki w jednej chwili otworzyły się jak zardzewiałe skrzydła, a potem zatrzasnęły z grzechotem szyb bez uszczelek. Wysiedli dwaj mężczyźni, ojciec i syn: starszy był gruby, czerwony i pomarszczony, a młodszy wyglądał jak jego wyższy i szczuplejszy sobowtór. Z niewyczerpanie, wręcz bezdennie cierpliwymi minami obeszli forda od tyłu. Sylder wolno się obrócił, omiatając wzrokiem całą scenę i usiłując zobaczyć okiem postronnego widza posępnie sterczące spod auta stopy, dziury wydarte w bocznym płacie i w drzwiczkach, wgniecenie w miejscu, w które trafiła podstawa lewarka, i wreszcie sam lewarek, porzucony na drodze...

Mocno żeś pan oberwał?, zagadnął go kierowca ciężarówki.

Nie, mruknął Sylder. Tamten nie patrzył na niego, tylko na samochód.

Co się stało?, spytał.

Wóz wziął i spadł, wyjaśnił Sylder. Lichy lewarek zarwał się i mnie przygniotło.

Kopnął trzonek lewarka, któremu właśnie przyglądał się kierowca ciężarówki. Wziął i się zarwał, no nie, powiedział ten ostatni. Ha! Z takim żelastwem trza uważać jak z odbezpieczoną spluwą, zawsze to mówię. A jak tam koleżka? dodał, kiwając głową w stronę zwróconych ku niebu stóp.

No właśnie, pomyślał Sylder. Ciekawe, co u niego. A potem rzekł do starszego z dwóch mężczyzn: Nic mu nie jest. Tyle że jak wóz spadł, to urwał się tłumik. Jak tylko go z powrotem przydrutujemy, będzie galant.

Szofer zaczął go obchodzić łukiem. Sylder zastąpił mu drogę.

Wiesz pan, co moglibyście zrobić?, spytał.

No?

Wziąć dupę w troki i zmyć się stąd, pomyślał Sylder, a głośno powiedział: Zawieźlibyście mnie do Topton, do lekarza. Ręka krwawi jak jasny gwint.

Pewnie, odparł szofer. Chyba trza tak zrobić. Paskudnie wygląda ta rana. Wsiadaj pan.

Ojciec i syn zawrócili w stronę ciężarówki, a Sylder ruszył za nimi, jakby ich zaganiał. Podeszedł do szoferki, zaczekał, aż starszy wsiądzie, a potem przykleknął na jedno kolano i głośno powiedział do trupa:

Słuchaj, ci goście zabiorą mnie do lekarza w Topton. Dojedź, jak już skończysz tą dłubaninę... Właśnie żeś skończył? Wstał i obrócił się twarzą do szofera, który usiadł tymczasem za kierownicą i włączył silnik. Słuchaj pan, powiedział Sylder. On już prawie skończył, więc mnie zawiezie. Jedźcie, damy se radę... Mówiąc to, myślał: No, jedźcie już. Co was tu trzyma?

Hmm, mruknął szofer i pochylił się w stronę Syldera ponad synem, który właśnie wsiadał, wytrzeszczając oczy i milcząc uparcie. Na pewno nie trza wam pomóc?

Poradzimy se, oświadczył Sylder, już machając im ręką na pożegnanie. Wielkie dzięki.

Ni ma za co, odrzekł tamten. Cofnął się w głąb szoferki, a chłopak skinął głową. Zazgrzytały biegi i silnik zgasł, cichnąc nagle w błękitnym bezruchu pękniętego dnia.

Sylder wsłuchiwał się w męczeńskie obroty rozrusznika i myślał: Boże. Jakbym zgadł. Ten zasrany złom nie da rady ruszyć...

Ale w końcu ruszył. Silnik kilka razy zakaszał, nim wreszcie zagrzechotał i zaniósł się niskim rykiem. Znowu zgrzytneły biegi i ciężarówka pojechała, wzbijając tylnymi kołami fontanny kurzu, aby prawie natychmiast zniknąć za zakretem.

Nie zauważyli dziury, stwierdził w duchu Sylder. Widać w ogóle jej nie zauważyli. A potem nasunęła mu się myśl: A nawet jakby zauważyli, to skąd by, do diabła, wiedzieli, jak dawno zrobiona?

Zawrócił w stronę tyłu samochodu, mocno się chwiejąc i kolebiąc, aż zatoczył się na tylny zderzak i runął do bagażnika, uderzając złamanym barkiem o zapasowe koło. Przesiedział kilka minut w oszołomieniu i o mało znów nie stracił przytomności.

Trza stąd wrywać do wszystkich diabłów, powiedział, kręcąc głową i chwiejnie dźwigając się na nogi. Jedną ręką opierając się o chłodną karoserię, dowlókł się do drzwi i przykucnął nad sterczącymi spod samochodu buciorami. Przez chwilę je przeklinał, a potem złapał za ścięty obcas i zapierając się nogą o stopień nadwozia, zaczął wyciągać zwłoki. Kiedy pokazała się głowa, starał się nie patrzeć, później jednak dał za wygraną i dokładnie się przyjrzał. Wyłażące z orbit oczy nadawały twarzy wyraz upiornego zdziwienia, a język wciąż sterczał spomiędzy zębów. Sylder powlókł trupa w stronę tyłu samochodu, chwycił go za kołnierz

koszuli, podniósł i wrzucił do bagażnika. Tylko nogi zwisały nad zderzakiem, więc je zgiął i jakoś upchnął. Podniósł lewarek i też go tam cisnął, a potem spuścił klapę, poszedł do stacyjki po kluczyki i

zamknął bagażnik.

Noc. Górskie wąwozy grały psimi głosami, zawisającymi żałobnym trenem w coraz chłodniejszym powietrzu. Wśród pierzastej ciszy polatuchy szybowały z drzewa na drzewo nad głową starca, który siedział na spróchniałej kłodzie i niespokojnymi stopami deptał jadowite krzewinki sumaka, słuchając, jak gdzieś w dole Zwiad i Tęgi biegną przez ciemne płaskocie. Łowił uchem szybki chlupot wody, kiedy psy niczym duchy przeprowały się przez potok, i trzask gałązki albo szurgot liścia, które tajemniczym sposobem docierały do jego uszu, choć psy gończe były o ponad pół kilometra niżej, a potem znów ten przeciągły zew tropicieli, dobyty z obwisłych gardeł.

Kiedy Sylder przekręcił kluczyk, a potem chwycił klamkę i uniósł pokrywę, zaskoczył go odór, który zionął na niego z bagażnika spienionym tchnieniem rozkładu. Nie zdążył nawet się cofnąć, zanim podeszła mu do gardła fala wymiocin, więc charcząc i zataczając się, odszedł w gąszcz krzaków i młodych drzewek, a w końcu padł na kolana, skręcany paroksyzmem suchych torsji. Po chwili skurcze ustały. Długo siedział, czując zieloną cierpkość żółci w ustach i zawrót w głowie, próbując wpoić sobie przekonanie,

że ma siłę wrócić do samochodu i zrobić to, co trzeba. Wstał i wypalił papierosa.

Z dołu nadciągała po zboczu niesiona stygającym powiewem woń wiciokrzewu. Grały rzekotki i cykady. Lelek. I raptem ujadanie psów, które zapędziły na drzewo zwierzynę. Znowu rwało go w barku, a gips zaczął wrzynać się w pachę. Wciąż nie mógł głębiej odetchnąć. Zawrócił w stronę forda, który odcinał się wśród konturów pni i gałęzi niczym pasące się nocne zwierzę o masywnej, krowiej sylwetce. Przy tylnym zderzaku na próbę pociągnął nosem, z determinacją sięgnął ręką w plugawą ciemność i złapał za nogę. Cofnął się z głową odwróconą w bok i usłyszał szorstki szmer, gdy brzemię wysunęło się z bagażnika, aby z łoskotem runąć na ziemię. Powłókł je wzdłuż parawanu zarośli, minął samochód i przeszedł jakieś trzydzieści metrów, a może więcej, zanim przystanął, żeby odpocząć. Wydawało się teraz lżejsze. Resztę drogi do zbiornika przebył już bez postoju, za to później zabrakło mu tchu. Leżał w trawie, cichy i spokojny, czekając, aż przestanie go rwać w barku, i trzymał trupa za nogę; bał się, że jeśli ją puści, więcej jej nie dotknie. Wrócił mu oddech, więc dźwignął się trochę na łokciu, nie czując bólu, tylko własną dłoń zaciśniętą na zropiałym ciele. W końcu wstał i trzema długimi krokami doszedł na skraj zbiornika, wlokąc trupa i mówiąc do niego niemal histerycznym tonem: Skurwysynu! Ty parszywy skurwysynu!

Puścił jego nogę, postawił mu stopę na żebrach i z całej siły pchnął go za krawędź zbiornika: nieboszczyk spadł i tylko ręce przez chwilę łopotwały mu jakby w geście sprzeciwu, zanim runął do zapleśniałej wody.

Wracając na dół, Sylder dwukrotnie zjechał z drogi. Kiedy za drugim razem przecinał kępę octowca, jeden pęd wplątał się w zderzak i odtąd sterczał jak proporzycyk. Jakaś gałąź przez okno smagneła go w policzek aż do krwi. Nie zauważył, że ma otwarty bagażnik, póki na szosie nie wyprzedziło go jakieś auto, a wtedy zmusił się, żeby zwolnić, i zdał sobie sprawę, że nie widział we wstecznym lusterku świateł tamtego wozu.

Starzec patrzył ze swojej kłody, jak oddalające się światła przemykają przez las. Kiedy znikły, z kieszeni kurtki wyjął fajkę, nabił i zapalił. Minęło nieco czasu, odkąd psy zagnały zwierzę na drzewo, więc nie ujadaly już tak niecierpliwie. Wypalił fajkę do końca, wystukał popiół o kłodę i sztywno wstał,

macając palcami zakrzywiony kozi róg, który zwisał mu z szyi na rzemieniu. Nisko na wschodzie zaczynał pięć się przez chmury czerwony księżyc – krzywy uśmiech, odłamek muszli zwisający ze smągłego cygańskiego ucha. Starzec podniósł róg. Jego chrapliwy ryk rozległ się pośród górskich zboczy, powtarzany wielokrotnym echem, uciszając nocne ptaki, nakazując milczenie żabom w rzeczce, roznosząc się po całej dolinie, aż przycichł w niej i przez mgnienie trwał, wąły i czysty niczym nuta dzwonu, zanim noc znów rozbrzmiała psim kanonem, bolesnym

zawodzeniem widmowych ogarów oplakujących własny zgon. Z górnego odcinka wąwozu dobiegło ostre ujadanie Zwiada i Tęgiego, po czym oba gończe znów ruszyły w dół strumienia. Starzec opuścił róg i zachichotał, a potem zaczął schodzić wypłukanym przez wodę żlebem, przekraczając niecki o brzegach obrośniętych sitowiem, jakby szedł po schodach, ostrożnie, przy każdym kroku lekko skręcając się w biodrach. Podpierał się hikorowym kijem, który dawno temu wyciął i ociosał w kształt ośmiokątnego graniastostupa, a w górnej części wyrzezał dla ozdoby czarnoksiężskie znaki – nosate księżyce, gwiazdy, ryby o dziwnej, plejstoceńskiej urodzie. W blasku wschodzącego księżyca kij lśnił świeżą bielą jak wnętrze przekrojonego na pół jabłka.

Dwudziestego pierwszego grudnia trzydziestego szóstego roku w karczmie Pod Zieloną Muchą wybuchł pożar, który mimo zimna i późnej godziny zwabił spory tłum gapiów. Cabe zdołał uciec z kasą i w ostatniej chwili pozwolił pierzchającym gościom wynieść tyle towaru, ile tylko udźwigną, więc gdy rozgrzał ich ogień oraz podawane z rąk do rąk butelki i dzbany, powstał iście świąteczny nastrój. Tylna ściana w ciągu kilku minut zupełnie odpadła i z głośnym poszumem poszybowała spiralą w przepaść. Następnie załamała się kalenica, toteż blaszany dach zapadł się do wewnątrz, a jego krawędzie odwinęły się od ścian, jakby były z folii. Płomienie ogarnęły tymczasem cały budynek, z parowozowym poświstem strzelając w górę i błyskawicznie wsysając w wyjący strumień powietrza niedopalone deski, które potem spadały wirującym ruchem, znacząc noc ogniście czerwonymi wstęgami, aby roztrzaskać się w głębi kanionu lub na drodze, i rozpędziły widzów w dwie strony: jedni uciekli przed niebezpieczeństwem na północ, a inni na południe. Buchający wkoło żar pomarańczowił im twarze, upodabniając je do lampionów z dyni. W końcu szczudlaste

podpory nie wytrzymały i fasada z sykiem odjechała od drogi, powolnym łukiem wychyliła się ponad przepaść, jeszcze zakotwiczona u pnia sosny, aż przemogła kruszące się pale i skoczyła jak o tycze w środek przepaści, zanim podłoga się wyrzusiła, a cała budowla razem z dachem i ścianami zgrabnie zwinęła się wokół domniemanej osi i runęła prosto na dno.

Wciąż jednak płonęła, wytwarzając taki żar, że przygniecione nią szklane wysypisko stopiło się i zlało w falistą, żłobkowaną taflę z otorbionymi okruchami szerniałego złomu, inkrustowaną kapslami od butelek. Leży tam do dziś jako ostatni ślad po unicestwionym zabytku, spływając stromym fałdem doliny niby jakiś niewytłumaczalny fenomen archeologiczny.

II

Kuląc się późnym rankiem na niskiej gałęzi brzoskwini, starzec patrzył, jak słońce olśniewająco odbija się w przysadzistej metalowej cysternie na szczycie góry. Znalazł trochę brzoskwiń, chociaż sad zniszczył przed dwudziestu laty, kiedy owoce obrodziły nad podziw, a nie było komu ich zerwać, więc nocą trzask

przeciążonych gałęzi niósł się po dolinie jak szaleństwo dalekich burz. Starzec tak to właśnie zapamiętał, bo uwielbiał burze.

Cysterna stała na wysokich nogach, otoczona parkanem z czerwonymi tabliczkami, które starcowi nie od dziś dawały do myślenia. Co pewien czas odkrawał plasterk brzoskwini. Owoce były małe i twarde, ale miał mocne zęby. Oparł stopę na gałęzi, na której siedział, i zaczął wolno ostrzyć nóż o znoszony do gładkości czubek buta. Następnie poślinił kępkę włosów na przedramieniu i wypróbował ostrze. Zadowolony z wyniku, sięgnął po kolejną brzoskwinię i ją obrał.

Kiedy zjadł owoc, wytarł nóż o mankiet, złożył i schował do kieszeni, a potem przeciągnął luźnym rękawem po

ustach. Zszedł z gałęzi i ruszył pod górę wśród ruin sadu, lawirując między starymi, szarymi konarami i co pewien czas przystając, żeby popatrzeć na dolinę, czarne pręgowane pola i mrugające w słońcu dachy. Wyszedł na drogę i skręcił w prawo. Buciorzy cicho kłapały w czerwonym pyłe, a workowate, wypchnięte na kolanach spodnie kłębiły mu się wokół nóg, jakby miały własną wolę i cel.

Szedł drogą wzdłuż sadu, czerwoną i cichą w porannym słońcu; biegła zygzakiem z grzbietu góry, ocieniona w tym miejscu koronami jabłoni, które – choć sękaty i przemarznęte – sprawiały jednak wrażenie zadbanych i nie rosły pod nimi żadne chwasty. Nieco wyżej boczna dróżka wiodła między drzewa, cętkowana cieniem, z rosnącą w koleinach cienką jak włosy trawą. Prowadziła do betonowego, wpuszczonego w ziemię zbiornika, w którym mieszano dawniej środki owadobójcze. Od sześciu lat pełnił on rolę grobowca, a starzec doglądał go i strzegł. Przechodząc teraz obok niego, przypomniał sobie, jak szedł pod górę z wąwozu, niosąc czterolitrowe wiadro, kiedy zza zakrętu wyszło dwoje dzieci, sięgających mu nieco powyżej pasa. Na jego widok przystanęły i dopiero gdy podszedł do nich z wiadrem, zobaczył, że wytrzeszczają oczy z przerażenia i dyszą jak po biegu. Gotowe były czmychnąć, więc się uśmiechnął, powiedział: *Jak się macie, i że piękna pogoda. A one stały na drodze, sprężone i gotowe do ucieczki jak parka dzikich stworzeń; dziewczynka miała na nogach jaskrawe żyłki zadrapań po kolczastych chaszczach, a obojgu usta zniebieszczały od jagód. Kiedy starzec ich mijał, mała zaczęła chlipać, a chłopiec, który trzymał ją za rękę, szarpnął nią, żeby się uspokoiła, sam zaś stał prawie na baczność, ubrany w ogrodniczkę i pasiasty sweterek. Ustąpili na skraj drogi i obrócili się, patrząc, jak przechodzi.*

Już miał ich minąć, ale zwrócił się półprofilem w ich stronę i zagadnął: Znaleźliście miejsce, gdzie są dobre jagody?

Chłopiec zadart ku niemu głowę, jakby dopiero teraz go zobaczył, i łamiącym się głosem powiedział coś, czego starzec nie rozumiał. Dziewczynka przestała trzymać fason i rozbeczała się na całego, więc spytał:

No, no, siostrzyczko, co ci się stało? Coś nie tak, złotko? Zgubiłaś wiaderko na jagody? Mówił do nich w ten sposób, a po chwili chłopiec też zaczął się trochę mazgać i wspomniął o czymś, co widzieli w zbiorniku. Starzec przez kilka minut nie mógł zrozumieć, co to za zbiornik, ale wreszcie się połapał i rzekł:

No to chodźcie i mi pokażcie. Co by to nie było, chyba nie może być takie znowuż straszne.

No i poszli pod górę, chociaż dzieci wyraźnie się wzdragaly, a kiedy skręcili w drogę do zbiornika, chłopiec stanął. Wciąż trzymał dziewczynkę za rękę i już nie płakał, tylko patrzył na starca. Powiedział, że dalej nie pójdzie, ale niech starzec sam idzie i zobaczy. Arthur Ownby kazał im więc poczekać, zapewniając, że wszystko w porządku.

Najpierw ujrzał wiaderka: jedno się przewróciło i jagody wysypały się na trawę. Kilka kroków dalej zaczynał się betonowy zbiornik i starzec już z pewnej odległości poczuł lekki smrodek, kwaśny... trochę jak zwarzone mleko. Wszedł na spękaną obmurówkę i spojrzął w wodę –

kosmatą zieloną tafłę, spokojną, muśniętą światłem. Z jednego narożnika sterczały patyki i zarośla. Fetor się wzmógł, poza tym jednak nie działo się nic szczególnego. Starzec przeszedł brzegiem zbiornika. Niżej na zboczu między jabłoniami wrzeszczały sójki, migocząc wśród gałęzi. Był już dość późny ranek i robiło się ciepło. Arthur Ownby obszedł połowę zbiornika, ostrożnie stąpając po wąskim murku z kruchego betonu. Potem zawrócili znów przelotnie spojrzeli na wodę. I wtedy to coś jakby na niego skoczyło: spod prześwietlonej słońcem, gnijącej wody wynurzała się zielona twarz o obleśnym wyrazie, z pustymi oczodołami i zielonym bezcielesnym uśmiechem, a ciemne włosy wzbierały za nią jak wodorosty.

Zachwiał się na krawędzi zbiornika, a potem z cichym jękiem odszedł na bok i oburącz przytrzymał się drzewa, usiłując pohamować skurcze żołądka. Nie wrócił, żeby jeszcze raz spojrzeć. Podniósł z ziemi wiaderka i poszedł w stronę drogi, lecz dzieci już tam nie było, a on nie wiedział, jak je zawołać. Po chwili krzyknął: Hej, mam wasze wiaderka...!

Lekki wiatr odwracał liście jabłoni, a cień jastrzębia przemknął po drodze i rozsypał się na jeżynowym żywopłocie. Dzieci nie było. Przeszedł drogą pod górę i w dół, ale znikły bez śladu.

Kiedy wrócił po trzech dniach, to coś wciąż tam było i wedle wszelkich oznak nikt inny tamtędy ostatnio nie

przechodził. Składanym nożem ściał mały cedr, żeby zasłonić tę szkaradę przed ludzkim wzrokiem.

Wciąż jeszcze tam była, a raczej to, co z niej zostało mimo upływu lat i zmiennej pogody. Starzec poszedł dalej drogą, brnąc w rozpalonym pyłe.

Słońce stało już wysoko, prześwietlając całą poranną zieleń, aż wyglądała jak plankton w morzu złota. Mimo późnej wiosny zdążył wyschnąć tylko pył na drodze, a zwieszające się nad nim z obu stron listowie dopiero w pełni lata miała pokryć warstwa czerwonego talku. W porannej ciszy wszystkie dźwięki były wyraźne i równie odległe: szczekanie psa w dolinie, wysoki, przenikliwy okrzyk kołującego jastrzębia, szelest jaszczurki wśród zeschniętych liści na poboczu. Raptowny podmuch wiatru z cichym poświstem obrócił i zgiął łodygę sumaka, a w lesie śpiewał wodnogłósy drozd...

Starzec skręcił w ścieżkę biegnącą wzdłuż skalnej ostrogi i mimochodem wyciął kijek, żeby torować sobie nim drogę w miejscach, gdzie zagradzały ją ogromne pajęczne sieci, rozpięte od drzewa do drzewa, zroszone i lśniące jak pasma ciągnionego szkła. Gdy je strącał, spadały z lepkiem szepcąc, a po rozdartych, dyndających niciach pierzchały pająki. Kiedy wyszedł na wysoki łysy pagórek z widokiem na dolinę, przystanął i zaczął uważnie się rozglądać, niczym wędrowiec, który wychynawszy zza grzbietu wzgórze, pierwszy raz widzi nieznany krajobraz. Po lewej sosny i cedry tłoczyły się na zboczu góry smugą ciemnej zieleni, uciętej drogą, dalej zaś było pole i chlew z bali, przypominający zrujnowaną chatynkę osadnika, z dziurawym dachem, z którego osuwały się gonty. Przez liście drzew żelaznych widać było cynkowy poblask dachu kościoła i fragment szalunku z desek, które od słońca i niepogody przybrały papierowoszary odcień gniazda os. Hen w dali wznosiły się długie fioletowe karby Dymnych Gór.

Jakbym był młodszy, powiedział do siebie starzec, to bym się przeniósł w tameczne góry. Znalazłbym czystą strugę i zbudował se z bali chałupę z kominkiem. A pszczoły robiłyby mi czarny górski miód. I nikogo nie byłoby mi trza.

Zaczął schodzić po stromym zboczu. Ale niegościnnie bym nie był, dodał.

Ścieżka zbiegała z południowego stoku aż do szosy. Bita droga prowadziła w lewo, w głąb stromego wąwozu. Starzec poszedł nią, mijając położony nieco wyżej las na zboczu, pełen kapiącej wody i chłodu. Po niecałym kilometrze droga skręciła pod górę, wyłaniając się z lasu i przecinając pole kukurydzy, z którego wzbily się dwa gołębie i z poświstem skrzydeł uleciały nad rzeczkę. Za polem, z dala od drogi,

stała chatka z desek o końcach pozadzieranych jak rozczochrane włosy, zszarzała do koloru blachy. Właśnie tam zdążył starzec, trzymając kij na ramionach jak nosiłki z wiadrami wody, i machając beczynnymi dłońmi.

Na stoku przed chatą poniewierały się najrozmaitsze rupiecie: obręcze od beczek, pęknięte ostrze siekiery, strzępy drucianej siatki, wyszczerbiona kamionka... drobne starocie wgniecione w błoto. Leżał tam też nakrapiany rdzą kocioł, którego starzec już nie używał. Przy werandzie brakowało pierwszego schodka, więc musiał się podeprzeć kijem, żeby się wspiąć. Frontową ścianę chaty pod dachem werandy porastał zielony grzyb; znużony starzec usiadł na podłodze, oparł się plecami o tę zagrzybioną ścianę, wyprostował nogi i rozpiął kołnierz. Było wilgotno i chłodno. Dom stał przodem ku północy, a za nim wznosił się zadrzewiony stok, więc śnieg zalegał na podwórku dłużej niż w większości obejść.

Wiosną górę pokrywała nieokiełznana zieleń, wzbierająca aż pod niebo. Zawsze stawało się to nagle. Któregoś ranka po prostu była już wiosna, a jej bujny aromat przesycił powietrze. Starzec wdychał gęste ziemne wonie, wspominając inne wiosny, inne lata. Mglisto rozmyślał nad tym, jak pamięta się zapachy... Bo przecież inaczej niż widoki. Jeszcze pamiętał odór piżma, chociaż ostatnio czuł go przed czterdziestu laty. Nie zapomniał, jak pierwszy raz doleciał go ten osobliwy słodki zapach, kiedy pewnego ranka schodził Krótkim Potokiem, paulownie były białe i jakby zimne, a z potoku dymiło. Działo się to wczesną wiosną, pod koniec sezonu traperskiego, a on właśnie schwytał starego samca o rudym futrze, wielkiego jak kot. Powietrze zgęstniało od odoru piżma, który kojarzył się z czymś innym, ale z czym, tego już starzec nigdy nie doszedł.

Długo drzemał, przysypiał. Późnym popołudniem nad przełęczą zaczęły gromadzić się chmury, a zza węgła

werandy nadciągnął świeży powiew, który lekko zakołysał zwieszonymi z okapu tykwami.

Zbudził się, nim spadł deszcz. Coraz chłodniejszy wiatr owiewał mu twarz i studził krople potu na czole. Usiadł prosto i potarł szyję. Parka przedrzeźniaczy kołowała wśród górnych konarów klonów, a potem zawisła na niebie i wtedy na ubitym błocie poniżej domu rozprysły ciemnymi plamkami pierwsze krople deszczu, jakby same sobą zaskoczone w zielonożółtym upale popołudnia. Na podwórku i drodze zafalował płaski cień, zanim wspiął się na ścianę góry jak gdyby w nagłym pośpiechu. Deszcz wzmógł się, narastając w oddali wraz z wiatrem i skrapiając drzewa za rzeczką srebrzystą zielenią. Starzec patrzył, jak przez pola nadciąga ulewa, tarmosząc trawę i czerniąc najpierw kamienie na drodze, a później błotniste podwórko. Wodny pył spryskał mu policzki. Słychać było tańczące na dachu gonty.

Woda przelała się w końcu przez krawędź jedynej rynny, przymocowanej drutem do dachu werandy, i spadła przezroczystym wachlarzem, a krajobraz zmętniał i zafalował. Od zacinającego deszczu pociemniał skraj werandy. Starzec wyjął tytoń i drżącymi dłońmi skręcił równiuteńkiego papierosa. Wiatr ustał, a on siedział z głową opartą o zielone deski i patrzył, jak błękitny dym staje w powietrzu pod warstwą wodnej mgiełki. Po pewnym czasie ulewa zelżała, a na dworze zaczęło się ściemniać; niebo nad górą już poczerniało i została na nim tylko wąska rafa słabnącej szarości, a kiedy i ona znikła, zapadła noc, przecinana staccatem dalekich błyskawic. Starzec poczuł chłód i gotów był wejść do domu, gdy raptem od strony góry dobiegł głośny trzask, a on podniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak nakryta metalową kopułą cysterna na szczycie rozświetla się i drży w szalonej aureoli blasku. Zgrzytnęło, jakby ktoś paznokciami drapał łupkę, a wtedy starzec zadygotał, mrugając oczami. Jeszcze przez chwilę w źrenicach płonął mu białym żarem obraz rozświetlonej cysterny, lecz gdy znów spojrział w jej stronę, wizja przemieła, on zaś stał w ciemnościach, wokoło szemrał deszcz, sącząc się

przez korony drzew, a cienka strużka wody spływała z dachu i rozpryskiwała się w kałuży. Pomachał sobie ręką przed oczami, lecz nawet jej już nie widział.

Wstał i zamrugał oczami. Daleko za górą zamigotał drucik błyskawicy. Z mroku powoli wyłaniał się narożny słupek werandy i sama weranda. Starzec zobaczył, że pies wyłazi zza jej krawędzi, węszy i otrząsa wodę z cuchnącej sierści, kłapiąc uszami i dzwoniąc obrozą. Ogar wszedł na werandę, stukając pazurami o deski, i obwąchał mu spodnie.

Gdzieżeś ty bywał, stary?, zapytał go pan. Pies otarł mu się o nogę, ale starzec odepchnął go stopą, mówiąc: Idźże, Zwiad. Pies odszedł i ułożył się pod ścianą. Starzec potarł sobie kark, przeciągnął się i wszedł do domu.

Wnętrze było zatechłe, piwnicznie wilgotne. Trafił po omacku do stołu w kącie pokoju i zapalił lampę naftową,

a wtedy nędzne meble wyskoczyły z cienia w krąg żółtego światła. Poszedł do kuchni i tam również zapalił lampę, po czym wyjął z pieca talerz fasoli i brytfannę suchego chleba kukurydzianego. Usiadł przy stole i zjadł zimną kolację, a kiedy skończył, wyszedł na dwór z garścią sucharów i rzucił je psu. Deszcz prawie ustał. Ogar połknął suchary i spojrzał na pana. Siatkowe drzwi zatrzasnęły się i zgrzytnęła zasuwka, a padający na werandę kwadrat światła zwęził się i zgasł. Starzec więcej się nie pokazał. Pies złożył łeb na łapach i spod zmarszczonego czoła zasmuconymi ślepiami wpatrzył się w noc.

W snach starca buszowały koty, więc marnie sypiał. Bał się, że przyjdą w nocy wyssać zeń wątle tchnienie. Kiedyś obudził się i zobaczył, że kot patrzy przez okno, jak on śpi. Trzymał potem na podłodze przy łóżku nabitą strzelbę, ale z czasem tego zaniechał i teraz już tylko leżał, nasłuchując ich głosów. Bardzo często odzywały się dopiero późną nocą, gdy jeszcze czuwał, a w uszach lekko mu dzwoniło od długiego nasłuchiwania. Potem z jakiejś ciemnej rozpadliny na zboczu góry rozlegał się wysoki, drżący wrzask. Dawniej Arthur Ownby podbiegał w takich razach do okna i spoglądał na wzgórze, na sylwetki sosen w niskim siodle nad Rozwidlonym Potokiem, które przypominało olbrzymią katedrę o gotyckich iglicach... Lecz teraz już tylko leżał w szarej pościeli i słuchał. W nocy niewiele sypiał, więc cały był obolały i połamany, bo raz po raz ucinął sobie drzemkę

a to na krześle, a to oparty o kłodę albo drzewo lub wyciągnięty na werandzie.

Kiedy był mały, w jego rodzinnym Tuckaleechee mieszkała w skromnej chatce pewna mulatka, dawna niewolnica. Twierdziła, że przyjechała do miasteczka, bo nie było tam prócz niej żadnych czarnuchów, no i wyczuwała tamtejsze prądy i znaki. Nosiła na szyi woreczek z ciemiernikiem, a chłopiec zobaczył ją kiedyś na drodze i wcale się nie przestraszył, bo był jeszcze całkiem mały. Kazała mu wystawić język i pokropiła go u nasady trzema kroplami krwawnika, odmawiając nad nim zaklęcie, żeby miał dar widzenia. Powiedziała, że nocami chadzają po górach człekocice o wielkich, płonących ślepiach, nie zostawiając śladów nawet na śniegu, chociaż w letnie wieczory wyraźnie słychać ich wrzaski.

Człekocicy nie widać, powiedziała, ale jeśli masz dar widzenia, dojrzysz to, co pospólstwo prześlepi.

Powtórzył to matce, a ona przytknęła mu do czoła krzyż panajezusowy i długo, żarliwie się modliła.

Starzec leżał na wznak, słuchając, jak serce szamocze mu się w piersi i szeleści powolny, równy oddech. Zeszłej jesieni obudził się w nocy i znowu go zobaczył, czarnego w jaśniejszym kwadracie okna, z pyskiem przekreślonym białym znamieniem w kształcie odwróconego skrzydła mewy. Okno całkiem poczerniało, w pokoju robiło się coraz ciasniej, a białe znamię zbliżało się i rosło. Sięgnął ręką w dół i chwycił strzelbę za lufę, ale zaraz ją obrócił, odwiódł

kciukiem kurek i z powrotem go spuścił. Huknęło... Zapamiętał, jak lufa plunęła pomarańczowym

płomieniem i rozszedł się przenikliwy swąd spalonego prochu, a jemu dzwoniło w uszach i bolał go bark w miejscu, w które uderzyła kolba. Wstał i pokuśtykał do stołu, ciągnąc strzelbę za ciepłą lufę, znalazł zapalną, potarł ją i zaświecił lampę. Kiedy szedł w stronę okna, światło migotało, rzucając na ścianę chude cienie, igrając po niskim suficie i bieląc pajęczyny. Podniósł wyżej lampę. Deski nad oknem były roztrzaskane na czyste drzazgi barwy miodu. Odtąd nie trzymał strzelby przy łóżku, tylko w kącie za stołem.

Długo leżał, nie śpiąc. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy słabe echo okrzyku zza rzeczki i pola, ale nie dałby głowy. Drogą przejechał samochód, a on zaczął się zastanawiać, co to za jeden, ale kiedy już umilkły cykady, zdrzemnął się.

Między ścięgniemi jej szyi głęboki, dymnobłękitny dół. Pod papierową skórą zarysy drabiniastych kości, niczym pręgi, zstępujące rzędami w dekolt sukienki. Kiedy przetykała, oczy spuszczone nad robótką mrugały jak u ropuchy. Powieki pomarszczone niby łupiny włoskich orzechów. Szpakowate włosy ciasno ściągnięte na kształt hełmu z cynkowego drutu. Lekko się bujała, bujała. Fałdźiste zakole spódnicy zwieszało się jak kotara z boku fotela i miękko zamiatało podłogę. Siedziała przed wygasłym kominkiem, obszywając dziurki od guzików w koszuli z wełnianych resztek. Z połączanej ramki, ozdobionej wolutami, mierzył ich wzrokiem kapitan Kenneth Rattner o mięsistej twarzy, w zawadiacko zsuniętej tuż nad prawą brew pełnomorskiej czapce, z podwójnymi belkami insygniów spowitymi światłem – żołnierz, ojciec, duch.

Siedząc między dwiema lampami, wyglądała, jakby odprawiała rytuał, jak zakonnica odmawiająca różaniec. Chłopiec patrzył potem z kuchennej przybudówki, bo miała blaszany dach, a tymczasem zerwał się wiatr i zawiewał deszczem po blasze z przeciągłym, rozdzierającym poszumem dartego jedwabiu. A on przewracał kartki czasopisma, które czytał już tyle razy, że teraz ledwie rzucał na nie okiem, głównie zaś patrzył, jak drży naftowy płomień, a polerowana obręcz pieca, wypalona w pawie odcienie brązu, miedzi i fiołkowego błękitu, zmienia wzory, pokrywając się spiralami i zygzakowatymi ściegami *bargello*. Kiedy pomachał ręką wokół szkła lampy, niebieskie puszkę nad piecem zgięły się wpół.

Siedzenie w kuchni miało i tę dobrą stronę, że człowiek z gzymsu nad kominkiem nie mógł już mu się przyglądać. Po pewnym czasie chłopiec odłożył czasopismo, obrócił się na krześle i usiadł z łokciami na oparciu, wypatrując w oknie błyskawic. Hen nad Ślimaczym Wąwozem rysowały niebo cienkimi szczelinami, ale nie grzmiało. Padał tylko deszcz i wiał wiatr.

Zdawało mu się, że pamięta ojca. A może to tylko matka o nim opowiadała... Pamiętał jakiegoś mężczyznę, ale sam już nie wiedział, czy to był ojciec, czy ktoś inny. Ojciec zniknął, kiedy przenieśli się z Maryville. To akurat chłopiec pamiętał: przeprowadzkę.

Dom zbudowany był z ręcznie ociosanych bali. Szpary wypełniono gliną, a ciężkie krokwie umocowano drewnianymi kołkami. Na poddaszu stały dawniej krosna, ale po kawałku zużyły je na opał. To ogromne urządzenie z grubo ciosanego drewna pod warstwą kurzu miało świeży żółty odcień, który krokwie nadal zachowały. Latem w dziurach po dyblach, które dawno temu skurczyły się podczas suszy i wypadły na podłogę, gnieździły się osy. Wyfruwały na gorący strych i z brzękiem leciały obok jego łóżka w stronę okna, a potem przez dziurę w rogu szyby prosto w słońce. Na szerokich deskach ulepiły sobie gniazda grzebaczce, lecz matka pewnego dnia zdrapała je wszystkie. Na poddaszu mieszkały jeszcze świrdrzyki i kołatki. Chłopiec nigdy ich wprawdzie

nie widział, ale był pewien, że są, bo na podłodze i na belkach pod okapem gromadziły się tu i owdzie miękkie stożki drzewnego pyłu, który czasem osypywał się w pajęczyny, zamieniając je w ciężkie żółte płachty, grube jak muślin i tak zakurzone, że niczego nie było przez nie widać.

Dom był wysoki i surowy, z niewieloma oknami. Niektórzy twierdzili, że jest najstarszy w całym powiecie. Pogoda i czas pozostawiły ślad tylko na gontach dachu: szerniałe, popękane deszczułki o zwiniętych brzegach wyglądały, jakby nadtrawił je niegdyś pożar, który nie wiedzieć czemu ominął resztę domu, ten bowiem był nienaruszony, wzniesiony ze starannie dobranych, sezonowanych bali. Ugięły się one wprawdzie i wypuczyły, aż wydawało się, że trzymają się wyłącznie dzięki podpierającym je z obu końców kominom z gliny i rzecznych kamieni, ale dom był mocny i osiadły w ziemi, więc nie skrzypiał nawet przy najsilniejszym wietrze.

Nie płacili za niego podatku, bo nie figurował w rejestrze sądu okręgowego, ani za ziemię, bo nie była ich własnością. Nie płacili też czynszu, ponieważ, formalnie rzecz biorąc, nie istniał nikt, kto mógłby rościć sobie prawa do domu lub działki, tak jak z formalnego punktu widzenia nie istniał sam budynek. Płacili tylko Oliverowi Hendersonowi, który trzy razy w tygodniu rozwoził mleko, a przy okazji dostarczał im wodę.

Kamienna cembrowina studni w zarastającym podwórku gąszczu chwastów i sorgo dawno już się rozpadła, a kamienie zaległy wyschłe dno warstwami, między którymi spoczywały kości pogrzebanych nieszczęśliwym przypadkiem królików, oposów, kotów oraz innych czworonogich pechowców.

Nie wiedział tego na pewno, tylko się domyślał, bo kiedyś wiosną zobaczył w studni młodego królika, ale bał się po niego zejść. Codziennie przynosił mu zieleninę i zrzucił na dno, aż pewnego dnia spuścił w otwór garść liści sałaty, które sfrunęły z trzepotem i część z nich przykryła zwierzątko, lecz ono ani drgnęło. Odszedł i jeszcze długo potem widział królika wśród kamieni na dnie studni, przysypanego sałatą.

Skończyła już robotę, odstawiła jedną lampę na gzyms kominka i zapatrzyła się w nią, przyciskając do piersi trzymaną w rękę koszulę. Stała tak chwilę, a potem odwróciła się i zobaczyła, że on przygląda jej się przez ramię. Oboje dotknięci byli światłem, rozdzieleni wąskimi drzwiami, w których trwał mrok. Chłopiec nie widział jej oczu i udał, że patrzy na coś innego, zanim znów odwrócił się do okna i deszczu.

Synku, powiedziała.

Tak, mam.

Kładź się spać.

Tak, mam, powtórzył, nie ruszając się z miejsca.

Łóżko ci aby nie zamokło?

Nie, mam.

Na pewno zamokło, bo zawsze zamakało, kiedy padał deszcz, nawet jeśli nie zacinał. Przyjemnie pachniało stęchlizną, dostatecznie wychłodzone, żeby warto było przykryć się kocem. Owego lata chłopiec przeprowadził się na przyległą do kuchni werandę. Gdy w pewien niedzielny wieczór matka była w kościele, zniósł łóżko na dół i położył się, zanim wróciła, a kiedy stanęła w drzwiach, wchodząc do domu, zaczął głęboko oddychać. Później słyszał, jak nuci pod nosem, zmywając w kuchni naczynia, i nigdy ani słowem o tym nie napomknęła, tylko kazała mu wynieść dwa pudła butelek i puszek, które wyrugował z kąta. Weranda była od wysokości ludzkiej talii w górę osłonięta siatką. Kiedy już trochę poleżał w łóżku, dostrzegał w ciemnościach nawet żółędzie wśród gałęzi dębów na podwórku. W niektóre noce przychodził gończy pies, wielki i chudy, i patrzył na niego przez siatkowe drzwi, a chłopiec mówił do psa, który stał nieruchomo na dworze, wysoki w barkach i jakby dwuwymiarowy, a potem zniknął i

słysząc było, jak człapie, idąc przez podwórko, i podzwania obrozą.

Wyciągnął łóżko z kąta, odwinął róg narzuty i pomacał poduszkę. Przewrócił ją na drugą stronę, wyjął spod pachy koc i rozpostarł go na łóżku, a potem sam się położył. Była to ostatnia noc tamtego lata. Zasnął, słuchając metalicznego stukotu kropli o dach. Deszcz ściekał po blasze i płynął rynną, a chwilami zacinał, targany wiatrem, aż drobna mgiełka spryskiwała chłopcu twarz, przenikając przez wydymającą się siatkę. Dęby kołysały się niespokojnie, szepcząc przestrogi, szszsz...

Do rana deszcz ustał, a w powietrzu czuć było chłód i dym. Chłopiec skwitował to uśmiechem, bo wciąż czekał, a zmienna pogoda i pory roku zastępowały mu zegar. Zdarzały się jeszcze ciepłe dni, ale to mu nie sprawiało różnicy. Rankami w koronach czerwonych dębów widywało się sójki. Wróciły także szpaki i całymi stadami obsiadały drzewa, gnąc gałęzie. Miały ciemne pióra o metalicznym połysku, a głosy ochryple melodyjne jak zardzewiała huštawka. Czasem dreptały po ziemi, aż podwórko falowało czernią, a chłopiec wybiegał, jednym kłaśnięciem w dłonie płoszył je i patrzył, jak eksplodują ku słońcu łopoczącą, wrzaskliwą hordą, wzbijając tuman liści i śmieci.

Minęły pierwsze tygodnie września, ale pogoda się utrzymała i nie chwycił mróz. Na rękach występowały mu żyły. Naciskał je, a potem unosił pięść i czuł, jak miękkimi rurkami płynie krew.

Mocował się z czasem i miał wrażenie, że wygrywa. Matka w dwa dni zawekowała to, co zostało z ogrodu, i suszyła mu głowę, żeby przeniósł łóżko z powrotem na strych, zanim się przeziębii. Padało, a staw krwiście poczerwieniał. Raz po południu złowił okonia pod wierzbami, tam gdzie woda miała niecałe trzydzieści centymetrów głębokości, wypatroszył go i wziął do ręki maleńkie, jeszcze bijące serduszko.

Jego łóżko wciąż stało na werandzie. W owym czasie wieczorami nie mógł usiedzieć w domu. Wychodził po kolacji i wracał, kiedy była pora kłaść się spać, a potem znów się wymykał, ledwie matka zasnęła, i łąził ciemnymi drogami obok chat i domów z żółto podświetlonymi w jasnych oknach ludźmi, niemo i tajemniczo gestykulującymi...

Pewnej nocy, idąc przez pole, natknął się na dwie zmagające się w trawie postaci, przy księżycu w pierwszej kwadrze nagie, białe i rozszalałe jak ryby wyrzucone na brzeg. Poszedł dalej. Tamci dwoje go nie zauważyli. Kiedy dotarł do drogi, puścił się biegiem, głośno tupiąc po asfalcie, aż podeszwy stóp zaczęły go palić i kłuć. Biegł, póki nie zapiekło go w piersi. Na podwórku Stiefela poniżej rozstajów rósł wielki tulipanowiec. Chłopiec wspiął się na wał porośnięty wypielęgowaną trawą i skulił w cieniu pnia niczym zbiegły złoczyńca, a przy każdym oddechu czuł się, jakby węgle orały mu płuca.

Długo tam siedział, patrząc, jak w całej dolinie jedno po drugim gasną światła. Dźwięk głosów z bliska, natarczywych w akustycznym nocnym powietrzu, trzaskanie drzwiami, śmiech... Układające się do snu obozowisko, gaszenie ognisk, przy których radzono... W jaskiniach przy świetle pochodni sejmiki łotrów i czarowników grzechotały starymi, suchymi kośćmi, smętne i głodne.

Wytropisz go. Jak już urośniesz. Znajdziesz tego, kto ci zabrał tatusia. (Pamiętaj: zjadła, już postarzała twarz, nachylona tuż nad jego własną, słodkokwaśny chuch...)

A jak ja dam radę?, spytał z płaczem.

Tatus by wiedział jak. Bogobojny był z niego człek, chociaż rzadko chodził do kościoła... Bóg wskaże ci drogę, chłopcze. On nigdy nie opuszcza tych, co w niego wierzą. Módl się, to cię poprowadzi. On... Przysięgnij, chłopcze.

Przedramię drętwiało mu z bólu... czuł drżenie matki poprzez jej zaciśniętą dłoń...

Przysięgam, powiedział.

Nigdy nie zapomnisz.

Nie.

Aż do śmierci.

Aż do śmierci.

Tak, rzekła.

Aż do...

Ja też nigdy nie zapomnę, powiedziała, jeszcze raz na chwilę ściskając palcami jego rękę i pochylając nad nim ogromną twarz. I on, syknęła, też nie zapomni.

...śmierci...

Toteż nigdy nie zapomniał. Z ciemności dobiegły dźwięki bandzo, próbne akordy... sygnał... jaka wiadomość? Dawne miłości na nowo skonsumowane, choroba, płacz dziecka. Teraz już cisza w domach. Spoczynek. Nawet dla tych, którzy i przez najdłuższą noc nie zdążyliby odpocząć. I cisza, gdy muzyka pierzchała w sączącym się bursztynowym ciepłe niezliczonych snów, zgładzonych w palenisku, upiornych i nieruchomych... Na drugim końcu świata jeszcze trwa ranek, a on jest znużony. Chyląc trawę niczym smutek, rosa podążyła za nim do domu i zapieczętowała drzwi.

Pogoda była bez zmian, wciąż padało. Dni snuły się szare, zamglone, a nocami kapało i pryskało z drzew. Na stawie pojawiły się butelki. Pewnego ranka patrzył, jak leniwie pływają, i łowił na wędkę, siedząc na wapiennej półce przy górnym końcu stawu. Później przepłynął skifem jakiś mężczyzna, odpychając się drągiem we mgle, a chłopiec widział, jak tamten zatrzymuje się przy tych butelkach, które skaczą i podrygują, szarpie za żyłkę i wyciąga ją z wody, żeby zdjąć rybę z haczyka. Mężczyzna spostrzegł chłopca i skinął mu głową, więc chłopiec się odklonił. Skif opłynął cały górny koniec stawu i zawrócił w zupełnej ciszy, zakłócając jedynie łoskotem drąga o rufę.

Parł teraz przed siebie, a dni ustępowały aż nastały chłody. Wciąż sypiał na werandzie i dzień po dniu śledził drzewa obnażające się na podwórku, budząc się w czerwonym świetle, pod ogromnym przysadzistym słońcem wkliniowanym w przełęcz wśród rozplamionych klonów. Węszył w powietrzu, okutany zatechłym kocem. Przez siatkę seplenił słaby wietrzyk, wilgotny i przydymiony, ale nie niósł jeszcze żadnych nowin.

Czekał. W krwawiącym z wolna październiku patrzył, z pozoru odrętwiały i sennooki jak ropucha, mając nerwy sprężone i zestrojone niczym zaczajony kot.

Wracając wieczorem ze sklepu, zobaczył ją na drodze, a ona uśmiechnęła się i powiedziała: Hej. Skinął głową i poszedł dalej, słysząc za sobą chichot dziewczyn. Widział ją pierwszy raz od schyłku lata.

Szedł wtedy przez pole Saundersa nad rzeczkę, niosąc na ramieniu domowej roboty niewód z workowego płótna, tak jak włóczęga dźwiga tobołek. Zauważył ją dopiero, gdy się odezwała. Stała z podbródkiem opartym na dłoniach złożonych na czubku słupka. Wyglądała, jakby trwała w tej pozycji od wielu dni, czekając na niego z niezmierną cierpliwością.

No, pomyślał, za młoda jest, żeby to była jej ziemia, znaczy się nie może mnie stąd przegnać, chociaż taka z niej duża dziewczucha. Odpowiedział więc na jej powitanie: Cześć.

Jesteś John Wesley, co?

Miał już odpowiedzieć: Tak, pszepani, ale rzekł: Ano tak mi na imię.

Odsunęła się od słupka i podeszła bez pośpiechu, spacerkiem. Miała na sobie bawelnianą sukienkę we

wzorek, zapinaną z przodu jak roboczy kitel, opiętą na brzuchu i rozkotysanych piersiach, więc między guzikami widać było białą skórę i różowy jedwab. Wyrwała jakieś zielsko i zaczęła je pogryzać, z ukosa przyglądając się chłopcu, gdy tak stała przed nim, przeniósłszy ciężar ciała na jedną nogę, z wypiętym biodrem.

Co robisz?, spytała.

Tak tylko się kręcę, odparł.

Kręcisz?

No. Więcej nic.

Trąciła kamień czubkiem pantofla.

A z kim kręcisz?

Z nikim. Sam ze sobą.

Jej sutki pod tkaniną odznaczały się jak monety. Patrzyła, jak on patrzy. Nie powinnaś kręcić sam ze sobą, powiedziała, uśmiechając się kącikami ust i psotnie mrużąc oczy.

Kto mi broni?

Ja. I pastor.

Muszę się zbierać, powiedział.

Chcesz jeszcze trochę sam ze sobą pokręcić?

Ruszył dalej, a ona szła z nim ramię w ramię. Gdzie idziesz?, spytała.

Nad staw, powiedział.

A po co?

A na ryby.

Na ryby Będziesz łowił? Przecież ni masz kija.

Mam nad stawem, powiedział. Schowany

Nie nosisz kija ze sobą?

Nie.

Zachichotała.

Szli wolnym krokiem, o wiele wolniejszym niż jego zwykłe tempo. Zamilkła, więc po chwili spytał, dokąd idzie.

Ja?, zdziwiła się. Nigdzie nie idę. Tak tylko się kręcę.

A z kim będziesz kręcić?

Ha!, roześmiała się. Ciekawys, co?

Wcale nie. Nic mi do tego, z kim kręcisz.

Szedł dalej, patrząc to na drzewa, to na niebo.

Nosisz w tym ryby?

Niby w czym?

Wskazała palcem płócienny niewód. No, w tym, powiedziała.

Aaa, w tym. Nie, to tylko niewód. Muszę złapać trochę minogów, zanim pójdę nad staw.

Nie zostawiła go samego. Brodząc pod prąd i szturchając brzeg trzonkiem niewodu, widział, że idzie równo z nim albo przystaje i patrzy. W miejscu gdzie zrzędł gąszcz wiciokrzewu, zeszła nad samą rzeczkę, zdjęła buty i wierzgnęła stopą w wodzie, kiedy akurat przechodził obok. Gdy spojrzął za siebie, stała w rzeczce po kolana, zadartszy spódnicę i zatknąwszy jej rąbek za gumkę majtek, a uda miała niewiarygodnie białe na tle mknących brązowych fal, kiedy niepewnym krokiem weszła w nurt, pochyłona, aż jej się zakotysały piersi. Zrównała się z nim i ochlapała go wodą.

Nie wiesz, jak mi na imię, co?, spytała.

No, niech ci będzie, powiedział. To jak masz na imię?

A co cię to obchodzi?

Nic mnie nie obchodzi, przecież sama...

No to po co się pytasz?

Ty... ja wcale... urwał. Pierwsza żeś się spytała, czy...

Uanita, powiedziała. Jak już koniecznie chcesz wiedzieć. Uanita Tipton. Mieszkam o tam. Niewyraźnym gestem wskazała drugi brzeg rzeczki, na którym za spustoszonej przez schyłek lata polem kukurydzy stał w kasztanowym zagajniku dom o poplamionych ścianach i zielonym blaszanym dachu. Chłopiec skinął głową i znów zajął się niewodem. Miał za mało pływaków, więc minogi wciąż mu czmychały górą. Ale i tak nałowił pół tuzina i wrzucił do puszki, którą uwiązał sobie u pasa.

Lubisz tą robotę?, usłyszał z tyłu jej pytanie.

Obrócił się i spojrzał na nią. Stała na kamieniu, złączywszy nogi. Tył sukienki wpadł do wody, więc zamókł i pociemniał.

Masz pijawkę, powiedział.

Że co mam?

Pijawkę, powtórzył. Przyssała ci się do nogi.

Spojrzała w dół i zobaczyła tuż pod swoim kolanem grubą brązową pijawkę, a na mokrym goleniu różową wstążeczkę krwi. Zastoniła dłonią usta i znieruchomiła, przyglądając się pijawce, całkiem sporej jak na rzeczną, chociaż jeziorne bywały dużo większe. Stała i patrzyła, więc po chwili spytał:

Nie zdejmiesz jej?

Dopiero to ją ruszyło. Spojrzała na niego i zaczerwieniła się. A niech cię szlag, zakłęta. A niech cię weźnie... ty... niech cię porwie, co chce.

Do diabła, przecie ja ci żem jej nie przystawił.

Zdejm ją! A niechże cię! Boże... zdejmiesz ją wreszcie?

Podszedł do niej z głośnym chlupotem. Kiedy tak stał po pas w wodzie, a ona na kamieniu, widział jej uda aż do miejsca, do którego sięgała zatknięta za gumkę majtek spódnica. Chwył palcami pijawkę (próbując coś niecoś podejrzeć, a zarazem nie podglądać, bliski zawrotu głowy, roztrzęsiony), oderwał ją w końcu i rzucił na brzeg za plecami dziewczyny.

Nie powinnaś wchodzić na bosaka, powiedział.

Przez chwilę czuł, że nawet już jej się nie boi, ale teraz pamiętał tylko to, jak potem biegł. To obfite ciało i majtki, i że jakimś sposobem trzymała go w wodzie stopami za kołnierz, póki się nie wyrwał, aż trzasnęła rozdarta koszula, i z pluskiem nie ruszył przez rzeczkę z powrotem do brzegu, stamtąd zaś przez pole Saundersa, chlustając z puszki wodą i minogami, a w ręku wciąż trzymał ten swój mały głupi niewód i w butach chlupała mu woda.

Powiedziała coś do tej drugiej i znowu zachichotały. Poszedł dalej w stronę domu, niosąc chleb, a twarz mimo chłodu płonęła mu w blasku niskiego październikowego słońca. Kiedy wszedł przez werandę, zobaczył, że jego łóżko znikło. Matka była w kuchni. Położył bochenek na stole i poszedł na poddasze, głucho dudniąc butami po schodach mocowanych na wangach, aż wstąpił w omotany pajęczynami mrok pod spadzistym dachem, gdzie stało jego łóżko ze świeżą pościelą.

Ostatnio wczesnym rankiem nad stawem kłębiła się gęsta, zimna mgła, w której kwakały niewidzialne kaczkę. O wschodzie słońca dolina oszklona była krystaliczną bielą, w powietrzu zaś wisiał pikantny

aromat dymu z pieców, a potem również z ognisk, przy których kobiety z długimi drewnianymi łopatkami gromadziły się wokół kotłów.

W chustach i czepcach wyglądały jak elfy, jak zgromadzenie trolli gotujących wywary. Nadeszły pierwsze dni mrozu, zimne i dymne, pełne świńskiego kwiku, przecinane niekiedy dalekim ogarzym zewem gęsi lecących na południe wąskimi szewronami, które na horyzoncie spłaszczały się w pojedyncze kreski i wreszcie znikaly. A on rąbał drwa, z samego rana wychodził do coraz wyższych sągów świeżych sosnowych polan, oszronionych i lśniących w porannym mrozie jak kliny zamrożonego miodu. Trudził się przy nich, pracował, a dni mijały. Przez ten czas zdążyłby pogrzebać podwórko pod drwami, spiętrzonymi na wysokość dachu.

Gdyby żył, powiedziała mu pewnego wieczoru, niczego by ci nie brakło. Chociaż wyszedł z wojny jako kaleka z tą platynową blaszką we głowie i tak dalej, nie wziął rządowej renty, za dumny był na to. Od nikogo nie chciał jałmużny, nawet od rządu. Żywiciel był z niego co się zowie, niech Pan Jezus ma go w opiece.

Tak, dodała, z powątpiewaniem patrząc na syna. Chłopinka z ciebie jak pół niego, a i tak dasz se radę.

W piecyku trzaskał ogień, malując delikatnym odcieniem wiśni boczną ściankę, aż w starym żelazie ukazały się pęknięcia, podobne do rozkraczonych cienkonogich pajaków.

Cicho kołysała się w fotelu, jakby to kołysanie było ponurym, żmudnym zadaniem, wykonalnym nawet nie dzięki cierpliwości, tylko nadziei. Jak gdyby w jakiejś mgliście majaczącej przyszłości fotel miał wzbić się w niebo, unosząc ją ku chwale. Siedziałyby wtedy, zapalczynie spokojna, i może wsunęłyby stopy pod szczebel podnóżka, zebrawszy wokół siebie fałdy spódnicy.

Nuciła coś wysokim nosowym głosem, odlegle przypominającym buczenie letnich pszczół. Węgle prychały, osiadając z niespiesznym szelestem. A ona się kołysała. I tak nadeszła zima owego roku.

Sylder patrzył przez znużony posuw wycieraczki, zgarniającej wodę z szyby, jak w świetle reflektorów tańczą krople, odbijając się od czarnej nawierzchni. Gdzieś z tyłu znów zatrąbił klakson, tym razem głośniejszy, natarczywiej. Nigdy nie próbowałem tego numeru w deszcz, pomyślał Marion. Dał gaz do dechy i patrzył, jak wskazówka mozolnie zmierza do setki, zanim odpuścił przed kolejnym zakrętem. Muszę zdążyć, zanim wjadę na górę, powiedział sobie, bo jak nie, to będę chodził o kulach. Znaczący się trzeba to zrobić na rozstajach.

Oślepiające światło błyskawic stwarzało iluzję groźnej bliskości, a na drodze pojawiały się spieszne kształty, skaczące z rowu lub z drzewa w dziwacznych, groteskowych konfiguracjach. Widma mgły smętnie wznosiły się z nawierzchni, aby rozdrzeć się o maskę lub przednią szybę na zwiewne strzępy. Jeszcze jeden zakręt. Tylną szybę wypełniła czerń, zaraz jednak wypełznął z ciemności nieubłagany blask reflektorów, sunąc omackiem po zboczach na lewo od Syldera i wydobywając z mroku już to zarośla wirginijskich sosen, już to powrozy wapienia, rozciągnięte w żółtą ścieżkę niczym rząd uspiionych owiec. Kiedy ford wjechał na szczyt wzgórza, reflektory znikły i znów zatrąbił klakson.

Mogę wziąć szeroki zakręt, pomyślał z nadzieją. Droga wyglądała jak polana olejem. A potem na nic nie było już czasu, z niego zaś zostały same nerwy i mięśnie, nad którymi nie panował, i tylko przyglądał się wszystkiemu z boku. Wjechał w zakręt prawie siedemdziesiątką, jeśli wierzyć szybkościomierzowi,

zobaczył, jak sklep mruga kwadratowymi oczami, szarpnął kierownicą w lewo i na moment zaciągnął ręczny.

Potem nic już nie widział. Poluzował ręczny i wyprostował kierownicę. Ale nie zdołał dość ostro nią szarpnąć, więc przód auta zamiast skręcić, wpadł w poślizg. Po chwili koła ruszyły i w świetle reflektorów przepłynęła iglastą strugą trzoda drzew, jakby spadała na złamanie karku z samej krawędzi świata, a sklep znowu wyłonił się z ciemności, wtopiony w powierzchnię zielonego fryzu, i przemknął po łuku, oślepiająco biały, niewiarygodnie wydłużony. I jeszcze raz to samo: drzewa i budynek przeleciały długą mętną smugą, grzmotnęło go w bagażnik i usłyszał trzask, jakby złamał się suchy patyk, a potem zagrzechotała fontanna tłuczonego szkła. Światła znieruchomiały, zwrócone w dół drogi, a on wrzucił dwójkę i zajęczały opony, pełznąc naprzód, kiedy auto policyjne skoczyło przed nim przez wzgórze. I wtedy koła wgryzły się w nawierzchnię i odjechał, trąc mimochodem, lecz rozmyślnie i zręcznie, o zderzak tamtego wozu. Za nim sklep przechylił się, aż jeden ze słupków ganku do połowy schował się w oknie, a sam ganek obsunął się, żaloszny i skruszony w dudniącym deszczu.

Sylder trzasnął zapalką o tablicę rozdzielczą i zaciągnął się papierosem. *Adiós, John*, powiedział, a potem cicho zanucił: *Zmył się, farciarz jaki, w długą dał z Kentucky... Lekko się przy tym kołysał, poddając się ruchowi auta, które nizało kolejne zakręty.*

W sierpniu znalazł na górskiej drodze pustułkę, skuloną w pyle, z rozpostartym jak wachlarz, obwisłym skrzydełkiem. Patrzyła na niego bez złości ani strachu, ale twardo, nieustępliwie. Obserwowała go, gdy do niej podchodził, a potem odwróciła głowę, kiedy sięgnął po nią ręką i podniósł ją z ziemi, czując, jaka jest ciepła i rozedrgana w jego dłoni, i już nie patrzyła na niego, nie poruszyła się, tylko niewzruszenie spoglądała w dolinę jastrzębimi ślepiami o zimnym połysku, a wiatr mierzwił jej pióra na szyi. Zaniósł ją do domu, ułożył w pudełku na strychu i przez trzy dni karmił mięsem i pasikonikami, póki nie umarła.

W sobotę pojechał z panem Ellerem do miasta i z workiem w ręce przyglądał się z wysokości szoferki starej ciężarówki mijanym polom, a potem domom, coraz to gęstszym, i wreszcie sklepom i stacjom benzynowym, mostowi na rzece i widocznej za nim sylwetce miasta na tle gorącego porannego nieba.

Jak chcesz wrócić?, zapytał pan Eller.

Jakoś wrócę, odparł. Mam coś do załatwienia.

Stał jedną nogą na stopniu nadwozia, a drugą na jezdni przy rogu Gay i Main Street. Bierz, powiedział pan Eller,

pochylając się nad siedzeniem i wyciągając rękę do chłopca.

Co?

No bierz.

Mam pieniądze, powiedział. Dam se radę.

No bierz, niechże cię, nalegał mężczyzna, potrząsając dłonią, w której trzymał ćwierćdolarówkę. Za nimi zatrąbił klakson.

Dobra, ustąpił chłopiec i wziął monetę. Dziękuję, to na razie.

Trzasnął drzwiami i ciężarówka odjechała, a pan Eller podniósł jeszcze rękę na pożegnanie; chłopiec pomachał mu, widząc przez tylną szybę tylko jego potylicę, przeciął jezdnię i ruszył chodnikiem w stronę gmachu sądu, wszedł po marmurowych schodach i przestąpił próg.

Jakaś kobieta siedziała przy biurku tuż za progiem i wachlowała się plikiem formularzy. Przez kilka

minut stał, rozglądając się po holu i czytając tabliczki nad drzwiami, aż w końcu spytała go, po co przyszedł.

Podniósł torbę. Ja po nagrodę za jastrzębia, wyjaśnił.

Aha, powiedziała. Chyba trzeba z tym iść o, tam.

Znaczy się gdzie?

Tam, powtórzyła, wskazując korytarz.

Dziękuję bardzo, powiedział.

Przy biurkach za długim kontuarem siedziały inne kobiety. Postać chwilę, aż któraś podniosła się z krzesła, podeszła do niego i zagadnęła:

Tak?

Podniósł nędzny woreczek i położył go na kontuarze. Z przepoconego, pomiętego wylotu worka buchał gęsty odór, który przebijał się nawet przez stęchły zapach starego budynku. Urzędniczka spojrzęła na zawiniątko podejrzliwie, a potem z niepokojem, bo poczuła ulatujący z niego fetor. Dwoma palcami lekko dotknęła różowego wylotu worka i zaraz cofnęła rękę. Chłopiec przechylił worek, aż na lśniący blat wypadła cuchnąca zawartość, nad którą wzbił się komin z piór. Kobieta cofnęła się i popatrzyła, zanim rzekła, nawet nie podejrzliwie czy choćby pytająco, lecz tylko po to, żeby utwierdzić się w swojej urzędowej roli:

Czy to jastrząb?

Tak, psze pani, potwierdził. Młodziak.

Rozumiem.

Raptownie się odwróciła i stukając obcasami, znikła za barykadą z zielonych szaf na dokumenty. Po kilku minutach wróciła z bloczkiem druków, przystanęła przy kontuarze w pewnej odległości od chłopca i zaczęła wypełniać formularz, maczając pióro w jednym z kałamarzy. A on czekał. Kiedy skończyła pisać, wyrwała kartkę z bloczku, podeszła bliżej i podała mu ją. Podpisz przy iksach, poleciła. A potem idź z tym do kasy. W tamtą stronę korytarzem, dodała, wskazując kierunek. Podpisał się w obu zaznaczonych miejscach, oddał jej pióro i już zaczął odchodzić, ale przywołała go z powrotem.

Czy mogłabym cię prosić, rzekła, marszcząc nos i z obrzydzeniem wskazując palcem pustułkę, żebyś mi go schował z powrotem do worka. Tak też zrobił. Delikatnie trzymając w palcach karteluszek i machając nim, żeby atrament wysechł, poszedł odebrać nagrodę.

Wyszedł otwartymi drzwiami, przez które wiatr wdzierał się do holu i harcował z kartkami na tablicy ogłoszeń, ciepły wiatr w letnie przedpołudnie, nasycony wonią kasztanowców, obracający na kamiennych schodach kłębki sadzy. Chłopiec trzymał w ręku starannie złożonego we czworo dolara. Kiedy wyszedł na schody, złożył go jeszcze raz na pół, w kwadracik, i wcisnął między miedziane nity przy kieszonce ogrodników, tej na zegarek. Przyklepał ją i poszedł chodnikiem, mijając osmolone drzewa, posągi i upozowany, wiecznie zapatrzony przed siebie pomnik, aż znalazł się na ulicy.

Grała orkiestra. W miejskim skwarze falowały wymęczone wersje starych hymnów wojskowych. Brzmiały piskliwie i jakby z oddali. Spędzone w jedno miejsce samochody trwały w migotliwym półśnie pod chmurą spalin, a na skrzyżowaniu stał policjant w rozkroku, trzymając z tyłu w obu dłoniach pałkę.

Przeszedł przez jezdnię i nagle muzyka zagrała głośniejsz, jakby gdzieś otworzyły się drzwi. Kiedy dotarł do rogu, zobaczył, jak nadchodzą ósemkami i dziesiątkami, uroczystą falangą w znoszonych drelichowych mundurach bordo, które nawet z pewnej odległości wydawały się liche i wyświecone, słońce wydobywało zaś z instrumentów matowy połysk. Na czele niewielkiej grupy maszerował kapelmistrz w cylindrze i z batutą, a czterej chorążowie wznosili drzewca proporczyków niemrawo powiewających na wietrze. Za

nimi wśród ciżby muzykantów dwie tuby sunęły jak balony, komicznie podrygując nad głowami maszerujących i bekając na żabią nutę w chybionym kontrapunkcie ze zdyszczanym jazgotem reszty instrumentów. Za orkiestrą pęzła karawana autokarów, a z ich okien trzepotało i furkotało mrowie chorągiewek.

Patrzył, unoszony i naciskany przez tłum ludzi, pocących się w cienkich letnich ubraniach – labirynt kształtów i barw, w tym tylko do siebie podobnych, że wszyscy mieli pod pachami ciemne plamy, gdy tak wyciągali szyje, wspinając się na palce i podnosząc do góry dzieci. Maszerujący mijali ich pod baldachimem skwaru, spoceni i jak gdyby zdesperowani. Chłopiec widział, że bliższy z dwóch tubistów ma czerwoną twarz o dzikim wyrazie, jakby się bał, że jeśli choć na chwilę przestanie dąć, tuba okłapnie, spadając na głowy kolegów. Sunęli potężnym dreszczem dźwięków, w ślad za nimi zaś nadszedły autokary, wlokąc się na niskim biegu i puszczając kłęby mglistego niebieskiego dymu, a w ich oknach roily się chorągiewki, proporce, transparenty i drobne twarzyczki. Wzdłuż autokarów rozwieszono długie papierowe wstęgi, na których wielkie czerwone litery zachęcały do życia w Chrystusie i trzeźwości, oznajmiając zamiar głosowania przeciwko diabłu, ilekroć zechce on ubiegać się o jakikolwiek urząd. Autokary przejeżdżały jeden za drugim, a w ich oknach dziecięce dłonie machały wielobarwnymi chorągiewkami widzom, którzy niemrawo ocierali sobie chusteczkami szyje i twarze. Na jezdnię padła

niczym postrzelony ptak niebieskożółta tekturka z napisem: Nie rozpijajcie mi tatusia, wysliznąwszy się z dziecinnej rączki, która teraz wczepiła się w krawędź okna. Jadący z tyłu autokar rozłupał i zmiażdżył patyk, a na tekturce odcisnął się bieżnik opony.

Muzyka raptem umilkła i został tylko tłum, niespokojnie drepzczący w miejscu przy akompaniamencie niespiesznego pomruku autokarów. Ku powszechnemu zakłopotaniu z wolna znieruchomiały chorągiewki i plansze, jakby ktoś umarł. Autokary sunęły naprzód, póki ostatni, z którego okien drobne twarzyczki wyzierały z godną uchodźców powagą, nie minął gapiów i nie wjechał na most, opuszczając miasto. Tłum rozpełzł się po ulicach, pomału rzędząc, a jezdnią potoczyły się samochody i rozdzwoniły tramwaje.

Chłopiec wciąż stał na chodniku i jakby dopiero teraz zobaczył miasto, parujące i rozchwiane w upale, nagie dziwaczne gmachy, piętrzące się ponad nowymi fasadami ze szkła i kafelków, strzelające wwyż ceglane kolumny, ozdobione fantastyczną rozmaitością detali. Widział żłobkowane lub pokryte arabeskami łuki i nadproża, filary w kwaciaste wzory, schodkowate szczyty, okna w wykuszach nad rzeźbionymi w kształt stóp wspornikami, głowy bezimiennych zwierząt, pompejańskie figury... Tu i ówdzie wśród gargulców i żabek widniały spowite wieńcami daty ukończenia budowli. Na wysokich gzymsach drzemały rzędy gołębi, a z chodników falami wznosił się upał. Chłopiec jeszcze raz poklepał złożonego dolara i ruszył wzdłuż Gay Street. Kiedy

dotarł do Strandu, przystanął i pomacał ćwierćdolarówkę, oglądając fotosy reklamujące sobotni seans. Potem skręcił w lewo i poszedł na rynek. Na rogu jakiś mężczyzna wrzeszczał niezrozumiale, wymachując postrzępioną biblią. Obok stała staruszka wprzeżona w akordeon, niema i cierpliwa jak koń pociągowy. Chłopiec przeciął jezdnię, przechodząc za plecami gapiów, którzy stali półkolem. Mężczyzna przestał wrzeszczeć, za to odezwał się akordeon i oboje zaśpiewali na smętną, chwiejną nutę zachrypniętymi wysokimi głosami przy dźwiękach instrumentu skrzypiącego jak organy parowe. Idąc w cieniu domu towarowego na drugi koniec placu, mijał ogorziałych wieśniaków, którzy wyglądali spomiędzy swoich wózków i ciężarówek, przycupnięci na skrzynkach, i staruchy o twarzach jak suszone owoce, zapadniętych głęboko w kapturzaste czepce, kosmatych, pobrużdżonych i krzywozębnych niczym maski wyrzeźbione z łupin kokosa. Mijał tych obdartych prowincjuszy, którzy kupczyli płodami ziemi, targując się o towar

ułożony na stareńkich pojazdach. Stały one w długim szeregu tyłem i skosem do krawężnika, wyładowane owocami i warzywami, jajkami i jagodami, słojami miodu, skrzynkami orzechów, wiązkami korzeni i ziół od sasafrasu aż po sadziec, a także istną orgią kwiatów czy innych roślin w doniczkach. Mijał wystawy szewskich warsztatów, a na nich zakurzone stopy tandetnego obuwia, i sklepy z odzieżą, gdzie w sieniach gęsto wisały na żelaznych wieszakach używane płaszcze. Mijał skrzynie skarpet i pończoch i mięsny targ, na którym

szynki i klatki piersiowe dyndały na hakach jak złoczyńcy, a w szklanych gablotach na kwadratowych tacach z porcelany leżały stopy mięsa, upstrzonego białymi plamami i trychinami, kawałki wątroby koloru gliny chwiały się nad fosami pełnymi wodnistej krwi, stała cała taca mózgow, a tu i ówdzie rozrzucono mięsne okrawki niewiadomego pochodzenia.

Szedł wśród mężczyzn w strojach roboczych, a także ślepców i kalek, jeżdżących na wózkach lub chodzących o kulach. Mijał zwalone na chodnik worki z mąką i ptasią karmą i sprzedawców otówków, którzy w niezmordowanych dłoniach wystawiali na pokaz swój towar, przechodził obok straganów, kojców i okienek, w których sprzedawano tytoń już to krojony, już to w prymkach, pęczkach lub woreczkach, i puszczonej albo szkockiej tabaki, fajki; zapalniczki i mrowie tajemniczych drobiazgów, aż po albumy z pornograficznymi obrazkami. Mijał kawiarnie buchające aromatem palonej kawy, który mieszał się z wyziewami smażonego mięsa i innych woni, tworząc koktajl nie do nazwania.

Pod obwieszoną żarówkami markizą kina Kryształ stała grupka wieśniaków, wpatrzonych w przestrzeń. Omijając wzrokiem kasę i siedzącą w niej pod tabliczką z napisem: Dorośli 25, dzieci 11, wyraźnie zmęczoną kobietę, oglądali film przez szparę w kotarze. Tętent kopyt i huk wystrzałów słyhać było aż na ulicy. Chłopiec nie zdołał nic zobaczyć między głowami gapiów ani ponad nimi, więc poszedł dalej przez plac i stanął przed wystawą udekorowaną

przedmiotami z drewna i metalu, wśród których rozpoznał tylko kilka pospolitych narzędzi. Zastonił ręką oko przed odbitym od szyby blaskiem i wtedy w półmroku wnętrza dostrzegł je: wisały na gwoździu wbitym w ścianę. Sprawdził, czy wciąż ma dolara, i wszedł, głucho stukając obcasami w ciemną, olejowaną podłogę. Wkroczył w atmosferę ciężką od zapachów skóry i żelaza, smaru, nasion, przeszedł pod dziwnymi przedmiotami zwisającymi z haków w suficie, mijając beczki gwoździ, aż dotarł do lady. Wisały na łańcuchach, drapieżne i pradawne wśród szorów i uprzęży, pił kabłąkowych i siekierzysek. Sprzedawca wszedł za ladę i zajął się mężczyzną, który od niechcenia obracał w palcach mosiężną klamkę. Obaj poszli na zaplecze i znikli w półmroku, schylając się pod frędzlami skórzanych pasków. Po kilku minutach spomiędzy półek wychynął siwowłosy pan, który przechylił się przez kontuar, spoglądając z góry na chłopca.

Co byś chciał, synu?, zapytał.

Po ile te? Chłopiec wskazał niezdecydowanym ruchem przestrzeń za plecami sklepikarza, jakby w całym pomieszczeniu nie było żadnych towarów prócz tego, co go interesowało. Pastki... Te tam, pastki.

Sklepikarz obrócił się.

Pastki? Chyba sidła.

Tak, psze pana.

No, niech pomyślę, odparł sklepikarz. Który rozmiar?

O te, wskazał palcem chłopiec. Jedyne.

Sklepikarz wpatrywał się w matowe metalowe kształty, jakby dopiero co je zauważył. Wyglądało na to, że

zastanawia się nie tyle nad ceną, ile nad tym, skąd się wzięły w jego sklepie. Tak, powiedział w końcu,

zdejmując jedną sztukę i kładąc ją ukośnie przed chłopcem na ladzie. Rozprostował łańcuch, jakby pokazywał klientowi zegarek albo jubilerskie cacko.

Chłopiec dotknął gładkiej naoliwionej powierzchni talerza, spustu, szczęk i sprężyny.

Po ile?, spytał jeszcze raz.

Trzydzieści centów.

Trzydzieści centów, powtórzył chłopiec.

Taniej wychodzi na tuziny. Bo tuzin jest po trzy dolary.

Chłopiec zastanowił się.

Znaczy się dwadzieścia pięć za sztukę, tak?

No.... powiedział sklepikarz. Dwanaście i trzy... cztery za dolara... Zgadza się, po dwadzieścia pięć centów.

Kupiłbym tuzin, oświadczył chłopiec, ale nie mogę wziąć całego naraz za jednym zamachem. Nie dałoby się tak zrobić, żebym dzisiaj wziął cztery, a resztę kiedy indziej?...

Mężczyzna przyglądał mu się przez jakąś minutę, a potem rzekł z uśmiechem: Chyba by się dało. Oczywiście musiałbyś podpisać zobowiązanie, że kupisz cały tuzin, żebym mógł ci dać cztery po cenie hurtowej.

Chłopiec skinął głową.

Sklepikarz sięgnął ręką w górę i zdjął z gwoździa jeszcze trzy sztuki. Kiedy kładł je na ladzie, gniewnie brzęczały łańcuchami. Wyjął spod kasy stary bloczek formularzy zamówień i przez chwilę coś w nim pisał, zanim wyrwał dwie

kartki i podał jedną chłopcu. Podpisz no tutaj, powiedział, wręczając mu pióro.

Chłopiec wziął je do ręki i już gotów był się podpisać.

Lepiej najpierw przeczytaj, ostrzegł go sklepikarz.

Przeczytał więc, odcyfrowując wysokie wąskie litery:

Ja, niżej podpisany, niniejszym zobowiązuję się nabyć 8 (słownie: osiem) sidła Victor nr 1 w Składzie Towarów Gospodarskich i Domowych przed 1 stycznia 1941 roku po 25 centów za sztukę.

Podpisano

Chłopiec złożył u dołu swój autograf i oddał pióro sklepikarzowi. Ten wziął podpisany oryginał i podał chłopcu kopię.

Masz, to dla ciebie, powiedział. Chłopiec złożył kartkę na pół, wyjął z kieszonki dolara i rozpostart go na ladzie. Sklepikarz wziął banknot i z dźwiękiem dzwonka schował go do kasy.

Czekaj no, zapakuję ci, rzekł.

Wyciągnął z rolki arkusz papieru do pakowania, owinął nim sidła i przewiązał sznurkiem. Chłopiec zważył paczkę w dłoniach.

Niedługo przyjdę po resztę, obiecał.

Wyszedł prosto w oślepiające słońce, w rosnącą ciżbę ludzi, naglony życzliwym uśmiechem starszego pana.

Leżały wciśnięte za krokiew, wciąż w tym samym papierze, przewiązane sznurkiem. Rankiem piętnastego listopada

wstał wcześniej, przeszedł po lodowatej podłodze poddasza, wsunął rękę w szparę i wyciągnął je. Wrócił do łóżka i usiadł na nim, czując przez zakurzony papier ich kształt. Rozsupłał sznurek i wysypał je na koc.

Nastawił wszystkie po kolei, a potem zatrzasnął, dotykając kciukiem dolnej szczęki, aż skakały mu w dłoni, zwierając się z wściekłym brzękiem. Po pewnym czasie powiesił je na gwoździu nad łóżkiem i zszedł na śniadanie.

Cały dzień spędził nad rzeczką, brodząc w stalowej wodzie, grzebiąc wśród uschłych pędów wiciokrzewu, zapamiętując tropy i odchody, ścieżki i nory. Zamoczył rękaw aż po łokieć, kiedy zanurzył rękę, żeby wymacać podwodną jamę, a palce stóp zdrętwiały mu w przeciekających butach z cholewami. Wracał do domu skostniały i drżący, ale zdążył zastawić wszystkie cztery potrzaski.

Kiedy nazajutrz rano cichaczem wymknął się z domu przez przybudówkę i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, na wschodzie tuż nad ziemią dopiero mając pierwszy brzask, wyczerniając zza szarych grzbietów wzgórz, a nad górą jeszcze wisiał zimny krąg księżycy. Dęby stały czarne i nagie, a oszronione liście na podwórku z cichym, szklistym trzaskiem pękały pod stopami. Ruszył na przełaj przez las w stronę pola Saundersa, które w mglistym chłodzie pierwszych przebłysków dnia było blade od szronu, oblodzone żdzbla trawy przypominały zaś cienkie kosteczki. Mgła lizała skalne ławice, a wrony szły na sztywnych łapach ku

przeciwnemu skrajowi pola, na którym wierzby wytoczyły koryto rzeczki. Kiedy przechodził przez płot, poczuł lodowaty dotyk drutu niczym draśnięcie w opuszkę kciuka. Wrony czmychnęły na ugiętych skrzydłach w stronę kępy szarych cedrów. Przeciął pole, przelał przez drugi płot, teraz już blisko rzeczki, minął podnóże góry i wyjętą w pień kukurydzę, leżącą w milczących, zmasakrowanych szeregach tam, gdzie jeszcze niedawno pożywiały się gołębie. Słyszał już furkot i szmer wody, a potem wyszedł na wysoki brzeg, z którego biegła w dół ścieżka piżmaków: smuga ubitej gliny, zahartowanej przez mróz, z odcisniętymi śladami pazurków. Niżej w wodzie czyhał jego potrzask. Ruszył w górę rzeczki po wapiennej półce, na której tłoczyły się pobrażki, a fale kołysały rukiew. W tunelu wiciokrzewu leżały zdeptane trzcinny i żdzbla trawy, a nad drugim potrzaskiem pływał splątany snop łądyg białego zielska. Dwa pozostałe zastawił w niewielkiej odległości od siebie tuż pod mostem, przez który biegła szosa, lecz w tamte także nie wpadł żaden gładkoszerstny piżmak. Rzeczka gadała, płynąc przez zielone kamienne grotty i skały, wijąc się i wirując pod białymi korzeniami topoli, spomiędzy których raki spoglądały oczami na szypułkach. I jeszcze słońce czerwieniejące na zboczu góry, wzlot i pikowanie polującej pustułki, poranne pająki haftujące na kanwie. Ale w jego sidłach nie szamotał się ani jeden piżmak.

Po pięciu takich porankach wyciągnął jedno sidła i przeniósł je pod most. Były tam świeże ślady na łasze mułu,

więc zastawił potrzask na płyciźnie, przez którą często przechodziły szczury. Rankiem dwa dni później sidła leżały w rzeczce, wyciągnięte na środek, a w dolnej części szczęk tkwił pazur. Chłopiec od nowa zastawił pułapkę, a nazajutrz godzinę przed świtem był już nad rzeczką z latarką.

Mlecznoblade światło powiodło starca przez pole ku rzeczce i dalej na górę, aż wstąpił w czarną ścianę cienistych sosen i wspiał się na dolne partie zboczy, między żelazne drzewa, brodate, ociekające winoroślą orzeszniki, dęby i krzywe podeschnięte topole. Niecałe pół kilometra od rzeczki minął biały pieniek po zrąbanym niedawno drzewie dzikich pszczoł i mały koślawy wiąz, a potem cicho jak kot ruszył pod górę w ażurowym cieniu liści, które poruszały się na tle nieba, targane wietrzykiem. Światło przeprowadziło go przez wyrosły latem gąszcz bluszczu, wiatrołomy i wapienne głązy. Minął też lej, przy którym na wysokim urwisku spośród trylobitów, rybich szkieletów i muszli skostniałych starożytnych skorupiaków sterczał wielki kamienny kieł.

Szedł stromą ścieżką nieco w prawo, aż wydostał się z ostatnich gęstych zarośli na górską drogę, ciężko dysząc. Przystanął i oparł się na kiju, wtedy zaś pierwsze skośne promienie księżyca podświetliły wierzchołek góry, kąpiąc go w wodnistym srebrze, a pył na drodze zalśnił jak mika. Po lewej, w odległości niecałego kilometra, na końcu drogi

była zawrotka, dalej zaś parkan, a za nim cysterna. Szlak do zbiornika starzec miał po prawej, w odległości zaledwie kilku metrów. Stał na drodze i słuchał, jak jego własny oddech wlatuje wśród ciszy. Patrzył jakby z ogromnych wyżyn, a niebo zdawało się rozpościerać w dole nieskończonym bezmiarem, migocząc w półmroku niby folia i płynnie przechodząc w cień niepewną poświatą, która spowijała drzewa.

Dawno, dawno temu w letnie wieczory chodził z chłopakami z sąsiedztwa trzy kilometry do sklepu po cukierki i cygara. Wracali potem nagrzanymi od słońca, opustoszałymi drogami, gadając i paląc. Pewnej nocy poszli na skróty obok jakiegoś domu i zobaczyli przez okno kobietę rozbierającą się do snu. Koledzy zawrócili, żeby jeszcze popatrzeć, ale on nie chciał, więc go wyśmiali. Przypomniał to sobie teraz jakby z żalem, wspominając inne takie noce, kiedy powietrze było ciepłe jak oddech, a księżyc żył. Ruszył drogą w dół ku ścieżce wiodącej do sadu i zbiornika, żeby jeszcze raz spojrzeć.

Księżyc – opasły lawirant – wznosił się wyżej, zanim starzec minął kępę kolcorośli i wszedł do sadu, w którym poczerniałe konary rzucały na ścieżkę płaskie jak papier cienie, a czerwona kałuża księżyca sunęła, dotrzymując mu kroku: przemykała z gałęzi na gałąź, nasiąknięta wodą i niemal kolista, czujna jak on sam. Wyprzedzały go własne stopy, odcieśnione i obce, płynąc przez prążkowane cienie, a trawa koloru wapna z szelestem kłoniła się i łamała

jak cicho pękające szkło, odstaniając drżące, świetliste spody źdźbeł, zajmując się bladym blaskiem i zaraz mknąc w mrok. Prócz kontrapunktu cykad słychać było tylko ten szelest.

Kiedy droga skręciła i ukazała się polana wraz z niewyraźnym zarysem zbiornika, starzec przystanął. Zagajnik był jakby przesycony starożytną aurą, okryty upiorną, a zarazem pełną rewerencji ciszą. Starzec poczuł w sobie wznoszący się chłód, i o mało nie zawrócił. Mocniej uchwycił kij i postać jeszcze chwilę, zanim wyszedł na polanę i zbliżył się do zbiornika, pokonując własny opór, jakby prowadził opieszale dziecko ku bladoszarej betonowej smudze, wyciągniętej w trawie niczym obalony posąg. Wszedł na nią i spojrzał w czarny, geometrycznie wryty w ziemię kwadrat basenu.

W ubiegłych latach nieraz odwiedzał to miejsce, ale nigdy nocą. Przychodził każdej zimy i wycinał cedr, który miał służyć za wieniec i okrycie; żywicznie urzęsione gałązki zieleniły się aż do późnej wiosny, zanim poraził je skwar, a nawet wtedy zachowywały kształt, jakby odtworzono je w matowej miedzi. Trzeba było całego roku zmiennej pogody, żeby utrzcć z nich aromatyczną próchnicę, ta zaś rozpuszczała się potem w nagromadzonej w zbiorniku deszczówce, nadając jej garbniczy odcień mocnego trunku, ciemny jak blenda uranowa, którym – jak wyobrażał sobie starzec – dawno już zabarwiły się leżące w basenie zrobaczywiałe kości. Śledził te zjawiska, był bowiem obserwatorem pół roku oraz ich dzieł. Tuż przed najbliższą Gwiazdką zamierzał wyciąć siódmy z kolei cedr i liczył, że może na tym skończy się jego długie czuwanie przy zwłokach.

Stał więc, patrząc w dół, i wszystko było mniej niesamowite, niż się spodziewał, a otaczający go półmrok wydawał się niemal opiekuńczy. Stwierdziwszy, że z tego miejsca przynajmniej częściowo ogarnia zbiornik wzrokiem, usiadł nawet na betonowej krawędzi i zamachał nogami. Z kieszeni ogrodników wydobyl fajkę, nabił ją tytoniem z woreczka i zapalił, mocno ssąc cybuch i patrząc, jak dym w świetle zapalki jaśnieje na tle nocy. Wyciągnął rękę z zapalką nad zbiornik i spojrzał w dół, lecz nie dostrzegł nawet rdzawych wierzchołków cedrów, a gdy zapalka dopaliła się i sparzyła go w kciuk,

upuścił ją do wody.

Niczego już nie było. Nieboszczyk powstał i odszedł. Żadne widmo nie oplakiwało porzuconych szczątków. Po najbliższej ścianie biegł skosem w dół półkwadrat światła, w którym starzec widział plamy mchu i grzyba na bladym betonie, podobne do kontynentów z pradawnego atlasu. Nic więcej. I nagle ze zbiornika dobiegł wśród ciszy pojedynczy krótki plusk – cichy, nieznaczny, jakby niepewny chlupot.

Starzec wstał i cofnął się, a potem obrócił i potruczał ścieżką z powrotem tym swoim osobliwie człapiącym krokiem, ni to biegnąc, ni to idąc, i dziwacznie wymachując kijem.

Wróciwszy na drogę, zwolnił kroku; dyszał chrapliwie i ścisnęło go w piersi.

Szedł pod górę, aż dotarł do poręby. Ujrzał z niej między cienkimi, podświetlonymi drzewkami stok spływający niczym wodospad, który jak gdyby roztrząskiwał się gdzieś w dole, i żółte otworki w całunie nocy, przekłute światłami z chat i domów – ciepło i życie, palące się równym płomieniem wśród kapryśnych świetlików. Zaszczekał pies. Starzec przysiadł na pięcie, opierając kij o ramię, i przesiał przez palce garść ciepłego piachu. Od doliny wiał lekki wietrzyk.

Z prawej strony, zza ostatniej kępy drzew, której czarna sylwetka wieńczyła pagórek, dobiegł przeciągły jęk opon na zakrętach. Po chwili noc rozdarł warkot silnika. Samochód nadjechał przez przełęcz, zanosząc się urywanym wyciem. Hen w dole pojawiły się cienkie wiązki światła. Zatoczyły łuk i po wydartych z mroku drzewach przemknęły cienie, a potem dwie świetlne smugi pobiegły wzdłuż drogi i nagle ukazał się mały czarny samochód, pchający przed sobą dwa świetliste pasy. Błyskawicznie zjechał po pochyłości i z przenikliwym, z wolna cichnącym skowytym gum wślizgnął się z powrotem w ciemność na zakręcie u podnóża góry.

Starzec dostał skurczu w zgiętych nogach, więc wstał i spróbował je rozruszać. Stanął na jednej i zrobił kilka płytkich przysiadów, a potem pełny skłon i w tej pozycji spróbował wyprostować nogę (sędziwy gimnastyk o północy na szczycie góry), ale chociaż stał na tej sprawniejszej, szło mu niesporo, bo był już za stary. Od lat nie mógł zrobić tej sztuczki, stojąc na drugiej nodze, skrzypiącej jak zeschnięta uprząż. Tkwił w niej śrut, nad kolanem i wyżej – prawie tam (pamiętał, jak lekarz wskazał palcem ostatni niebieski otworek), gdzie mężczyzna z pewnością nie powinien zostać trafiony. Po latach noga zaczęła słabnąć. Głowa też, pomyślał i wyprostował się. Jeszcze raz omiół wzrokiem dolinę i ruszył dalej.

Od strony Czerwonej Gałęzi znów dobiegło szczekanie psa. Odpowiedział mu drugi i trzeci, a ich ujadanie i skowyt niosły się po całej dolinie, aż odezwał się ostatni – cichy i daleki jak echo. Żaden nie zawył przy Skoczce ani w dole, nad Rozwidlonym Potokiem, tam gdzie mieszkał starzec. Pomyślał, że Zwiad już się ułożył do snu pod podłogą domu, stary i kulawy, z poszarpaną, na wpół bezwłosą skórą, upstrzoną zaskorupiałymi, łuskowatymi jak grzbiet jaszczurki łysinami. Zwiad miał brzuch zszyty igłą z nitką i postrzępione uszy, gdzieniegdzie rozdarte aż do nasady, a fałdy skóry z czoła tak nisko spadały mu na oczy, że musiał zadzierać łeb, aby cokolwiek zobaczyć, więc gdy szedł, sprawiał dociekliwe wrażenie, jakby wiecznie podążał za niosącym się w powietrzu cudownym zapachem. Rosły nawet jak na gończego, silny za młodu, skończył wszak już siedemnaście lat. Starzec kupił go jako szczenię, dając w zamian popsutą strzelbę.

A teraz dreptał przed siebie, rozmyślając i machinalnie złobiąc kijem bruzdę w pyłe drogi, aż dotarł do zawrotki na jej końcu i do pagórka, za którym wykarczowano drzewa i gdzie nie rosło już ani jedno źdźbło. To jałowe miejsce tonęło w nocnej poświacie, zmiennej i migotliwej jak morze, a doły po wykarczowanych drzewach na nagiej bulwie góry były ciemne jak kratery Księżyca. Przy samym krańcu tego księżycowego pejzażu wznosiła się cysterna, niczym ogromna srebrna ikona, opasła, gładka i złowroga. Kiedy doszedł do otaczającego ją płotu, zatrzymał się, oparł kij o siatkę i

wczepił się w nią palcami. Za siatką nic się nie ruszało. Wielka kopała stała beznamiętna, ogromna, na pozór starsza nawet od ziemskiego pyłu, od skał, jakby sama wydała je na świat i teraz podziwiała własne dzieło, czysta, lśniąca zimnym połyskiem, zdolna odczuwać bezdenną pogardę.

Dość długo tak wisiał, wczepiony w płot, może ponad pół godziny. Nie ruszał się, tylko co pewien czas lizał zimne romby metalowej siatki.

Zanim wrócił do domu, księżyc się zniżył. Starzec nie pamiętał, jak zszedł z góry. Lecz dom majaczył przed nim w mroku, z każdym krokiem nabierając wyrazistszych konturów, a on czuł, że przybywa z bardzo daleka, niczym lunatyk, który mógł bezwiednie i bez najmniejszej szkody przemierzyć rozległe, niebezpieczne tereny.

Kiedy skręcił w ścieżkę, jakiś cień zawirował tuż obok jego kolan i bezszelestnie pierzchnął w noc.

W kącie frontowego pokoju stał stary drewniany kuferek. Starzec zdjął z niego papiery i ubrania, a na podłodze tuż obok postawił lampę. Odsunął pękniętą zasuwkę i podniósł wieko. Przetrzęsnał zawartość, co pewien czas

przerywając to zajęcie, żeby obejrzeć jakiś przedmiot: mosiężny zegarek, ważący może z dwieście gramów, parę stalowych ostróg dla bojowego koguta, rewolwer kalibru 0,32 na naboje bocznego zapłonu, z kolbą w okładzinie z rysunkiem sowej głowy, pękniętą z tyłu, tak że bębenek obracał się gładko jak beczka w wodzie. Przekartkował naręcza starych katalogów i spisów. Znalazł nabój do strzelby ósemki. W końcu wydobył kwadratowe pudełeczko ozdobione rysunkiem kaczek w locie i postawił je na podłodze obok lampy. Spuścił wieko kuferka, aż płomień zamigotał, a na ścianie zachwiał się czarny upiór, pochylony nad katafalkiem.

Lampę oraz pudełko zaniósł do kuchni i postawił na stole. Wyjął z szuflady zakrzywiony nożyk do mięsa i sprawdził na kciuku, czy ostry, jeszcze bardziej wyciągnął szufladę i zanurzywszy w niej rękę, wyłowił zniszczony szary kawałek steatyty. Naostrzył na nim nóż, od czasu do czasu na próbę podgalał się sobie przedramię, póki nie uznał, że już więcej ostrzyć nie trzeba, po czym schował osełkę do szuflady i otworzył pudełko. Leżało w nim dwanaście jaskrawo czerwonych rurek z woskowanej tektury, a kiedy ustawił je rzędkiem na blacie, splotki z matowego mosiądzu przybrały w świetle lampy pomarańczowy odcień. Wybrał jedną i lekko naciął nożem u podstawy, na styku tektury z mosiądzem. Przyjrzał się uważnie i pogłębił nacięcie, obracając przytkniętą do noża gilzę. Jeszcze raz sprawdził efekt swojej pracy, skinął głową własnemu cieniowi, który w tejże

chwili zrobił to samo, i odłożył nabój do pudełka. Identycznie postąpił z pozostałymi jedenastoma, układając wszystkie po kolei w pudełku. Kiedy skończył, odłożył nóż do szuflady i wrócił do frontowego pokoju, po czym kolejno wyjął z pudełka tuzin obrzezanych naboji myśliwskich i schował je do kieszeni kurtki.

Ojciec Efa Hobie'ego nie żył już od tak dawna, że nie mogli go pamiętać ludzie, wśród których jego syn cieszył się poważaniem. Rodzina Hobie'ch pędziła whisky, zanim prawo tego zabroniło, a jej mityczne, legendarne dzieje sięgały czasów dawniejszych niż epoka pisma. Ród ten nie mnożył się i w niczym mu się nie wiodło, a teraz Garland był jego ostatnim męskim potomkiem. Ef zginął w kraksie samochodowej w trzydziestym siódmym, niecały rok po opuszczeniu Krzaczastej Góry. Właściwie nie w kraksie, bo żył potem jeszcze trzy tygodnie, a nawet wstał z łóżka, chociaż wrócono mu, że już się nie podźwignie, i przyszedł do sklepu. Ludzie czuli się nieswojo, widząc, jak wychudł, bo przedtem ważył prawie sto

pięćdziesiąt kilo. Wyrzuciło go z samochodu, który później jeszcze się po nim przeturlała, więc lekarze w ramach kuracji usunęli mu sporą część wnętrzości. Pokazywał znajomym gładką czerwoną szramę na przywiedłym brzuchu i długimi haustami pił pomarańczową colę.

Zrobili mi autopsję i jakoś żem przeżył, powiedział. A potem wybuchnął śmiechem i zlął z szafki z napojami,

dopił pomarańczowy i już sięgał ręką, żeby odstawić flaszkę na półkę. Ale flaszką zaturkotała po podłodze, a on zatoczył się jak szalony, runął między półki z chlebem i padł, pociągając za sobą kaskadę babeczek z kremem i słodkich grahamek.

Z rodziny Hobie'ch zostało więc tylko dwoje, Garland i jego matka, ale prześladował ich pech. Po niecałym miesiącu aresztowano Jacka Kuriera i posłano go do Krzaczory na trzy lata, a szeryfowie okręgowi włamali im się do wędzarni i zabrali cały zapas whisky. Wzięli też do więzienia panią Hobie, wtedy już siedemdziesięcioośmioletnią, a do domu odesłali ją dopiero, jak się okazało, że ma raka dwunastnicy.

Garland musiał więc targać whisky na górę, do jamy wśród wiciokrzewu tuż pod zawrotką, i zostawiać ją tam dla Mariona Syldera, który odbierał skrzynki i woził je do Knoxville. Odkąd na górze stała cysterna, drogę do sadu przegrodzono bramą, którą wolno było przekraczać tylko upoważnionym pojazdom: zgniłozielone ciężarówki ze złotym godłem na drzwiach wjeżdżały i wyjeżdżały, a mężczyźni w burych mundurach roboczych sumiennie zamykali i otwierali, kłódkę. Ilekroć Sylder przyjeżdżał albo odjeżdżał starym plymouthem, z tą samą skrupulatnością odczepiał i z powrotem nitował mocującą łańcuch blachę z kółkiem. Korzystał jednak z drogi w innych porach niż tamci, więc zawsze się z nimi mijał.

Była czwarta rano, kiedy usłyszał, jak starzec dziurawi cysternę pierwszą kulą. O mało nie upuścił skrzynki whisky, którą właśnie niósł, a gdy zaraz potem huknął drugi

strzał, ostrożnie postawił skrzynkę na ziemi i zamarł w bezruchu, czekając, aż rozlegną się okrzyki, rozkazy – coś, co by wyjaśniło sytuację. Panowała jednak zupełna cisza. Ptaki zamilkły, ledwie zdążyły kilka razy niepewnie zakwilić. Za miastem nisko na wschodzie szary bezduszny świt wgryzał się w horyzont, nadając mu kształt. Sylder czekał z zapartym tchem, aż gruchnie kolejny strzał, i zawczasu słyszał wewnętrznym uchem jego przeraźliwe, wstrząsające echo, zanim rzeczywiście padły dwa strzały, oddane w równych odstępach i z wyraźnym rozmysłem. Przekradł się skrajem dżungli wiciokrzewów i przez przyległą do sadu pustą przestrzeń poszedł w kierunku, z którego słychać było palbę.

Kiedy dotarł do brzegu polany, na której stała instalacja, zobaczył starca ze strzelbą wetkniętą lufą w oczko siatki płotu. Starzec nacisnął spust i lufa podskoczyła, aż po siatce w tę i z powrotem przebiegły fale. Kolba kopnęła, wstrząsając strzelcem, a z lufy trysnął dym, po czym spowolniał i zakłębił się w wilgotnym powietrzu. W wypolerowanej blasze cysterny ziało czernią sześć otworów o równiutkich brzegach, zygakiem przecinając ją na ukos. Strzelec złamał strzelbę i wybrał z niej sponki. Sylder widział, jak tamten podnosi je do oczu, pobieżnie ogląda i odrzuca na bok. Patrzył, jak tańczą w młodym brzasku, i wiedział, że to mosiężne końcówki naboju w locie ku ziemi tak migoczą, wirując jak monety.

Wyraźnie widział, jak strzelec wkłada do zamka dwa kolejne pociski. Dostrzegł nawet zgaszoną czerwień rurek z

woskowanej tektury, których brakowało przy wyrzuconych przed chwilą sponkach. A tamten się nie wahał: jednym szybkim ruchem uniósł broń i złożył się do strzału. Ciszę rozdarły dwie kolejne eksplozje, a w dolnym rogu cysterny pojawiły się dwa otwory. Strzelec znaczył ją ogromnym, nieregularnym iksem. I znów obejrzał mosiężne końcówki, zanim po raz kolejny nabił dwururkę.

Sylder wytrzeszczał oczy, ukryty w zaroślach. Słyszał, jak pełne gilzy z łoskotem trafiają w cysterne, która od tych uderzeń zdawała się zataczać jak żywa. Było w tym coś przerażającego, wręcz upiornego, a Marion miał wrażenie, że starzec o posturze gнома przyniósł ze sobą niewyczerpany zapas amunicji i dopiero gdy ze zmęczenia nie będzie mógł podnieść strzelby, zaniecha kanonady. Wycofał się z kryjówki i wrócił do samochodu. Szybko dniało, a on już się trochę martwił, czy aby ktoś nie zechce sprawdzić, co to za strzelanina. Zresztą i tak już zbyt długo zamarudził, chociaż dobrze wiedział, że legalni, oficjalni użytkownicy mogą o tej porze skorzystać z drogi, nawet gdyby żaden stary wariat nie dziurawił powierzonego im obiektu podpiłowanymi nabojami. W zaroślach wiciokrzewu stało jeszcze sześć skrzynek whisky, więc prawie biegiem, kuśtykając, przeniósł do auta po dwie naraz. Strzelanina ustała. Załadował bagażnik i zamknął klapę, wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce. Kiedy wyjechał z zarośli na drogę, obejrzał się za siebie i spostrzegł starca, który stał akurat nad nim przy zawrocie na wzgórzu, ze strzelbą w ręku, podpierając się laską. Sylder spuścił głowę i dał gaz do dechy.

Kiedy wziął pierwszy zakręt, uspokoił się i do bramy dojechał już pomału, żeby zostawić jak najmniej śladów. Z powrotem przynitował blachę z kółkiem, przez które przechodził łańcuch, wsiadł do samochodu i skręcił na szosę w stronę Knoxville. Tuż za rzeczką minął zgniłozieloną ciężarówkę. Szofer i pasażer mieli miny poważne, oficjalne, ale zarazem trochę jakby senne, i nie było po nich znac szczególnego pośpiechu. Marion Sylder pojechał do miasta – wyluzowany, nieoficjalny i wcale nie senny.

Światło latarki skakało po błotnistym brzegu między korzeniami i pieńkami, wydobywając z ciemności brązową kępę wiciokrzewu, która zwisała z góry i ciągnęła się w wodzie jak włosy. Kiedy tak brodził w górę łagodnego nurtu, miękko stąpając po mulistym dnie rzeczki, mlaskało mu w butach. Usłyszał, że ze szczytu góry zjeżdża jakiś samochód, charcząc rurą wydechową i piszcząc kołami na serpentynach. Dobrnął do mostu i do cypla, który powstał z ładu gromadzącego się pod betonowym murem. Gdy namierzył latarką sidła, zobaczył sterczące szczęki i talerz, zbrązowiałe pod wodą i marszczące się wśród drobnych fal. Schował latarkę do kieszeni i kucnął na piasku, poznaczonym śladami łap i ogonów. Przebierając zdrętwiałymi palcami stóp, kuląc się w kraciastej dwurzędowce i niespiesznie chuchając w stulone dłonie, słuchał, jak woda w ciemnościach ze stłumionym chlupotem opływa mu buty, a pod belkami mostu głuchym, pustym echem rozlega się jego własny kaszel.

Znow zapiszczały opony, tym razem gdzieś bliżej, zawarczał silnik, zwiększając obroty między jednym a drugim naciśnięciem sprzęgła, a przy zmianie biegu na wyższy huknęło jak z armaty. Auto wyskoczyło zza ostatniego zakrętu u podnóża góry. Odtworzył własnymi mięśniami pchnięcie dźwigni w dół: wcisnął ją, napierając ręką i barkiem. Samochód jechał już po prostej w stronę rzeczki, a on czuł wibrację maszyny i czekał, aż nad nim przejedzie. Ale nie przejechała. Usłyszał warkot rozpędzającego się silnika, a potem raptowny wybuch i jakby psi skowyt, po czym wszystko na chwilę ucichło i znieruchomiło, nawet woda i jego własny oddech.

Drzewa po lewej dały susa, obłąkane blaskiem, i znowu zgasły. I raptem wybuchł trzask łamanych gałęzi, miażdżony metal zazgrzytał przeraźliwie jak rysik po tabliczce, a potem rozległ się ostatni potężny huk, jakby pękła stalowa beczka. I znowu cisza, przez którą sączył się rzędzący deszcz szkła. Chłopiec poznał po rytmie wody omywającej mu buty, że samochód wylądował w rzeczce, więc wyciągnął latarkę i przesunął ją po moście i po brzegu, na którym wyłaniały się z ciemności połamane drzewka i odarte z kory pnie, białe jak słupki przydrożne, i wreszcie wycelował snopem światła w lśniący czernią bok

samochodu, który leżał na dachu, tak że maska skosem tkwiła pod wodą, a tylne koło z rozpędu jeszcze powoli się obracało. Boczną szybę przecinało mnóstwo drobnych pęknięć, błyszczących w świetle latarki jak zroszone pajęczyny, więc nie można było zajrzeć do środka. Powierzchnia wody kreśliła przekątną od maski po słupek, toteż karoseria przypominała zagniewaną, odwróconą podbródkiem do góry twarz.

Chłopiec wszedł z powrotem w nurt i przekradał się pod belkowaniem mostu, nisko pochylony, a woda z łagodnym pluskiem przelewała mu się przez cholewy. Lodowate jak alkohol fale ziębiły lędźwie, ilekroć w głębszych miejscach zanadto przykucał pod zwisającym z brzegu baldachimem połamanych sumaków. Trzeba będzie pchnąć klamkę do góry, pomyślał. Po chwili stał już przy samochodzie, deptając krzaki, które auto wciągnęło do wody, chwycił się klamki, mocno pchnął ją do góry i całym swoim ciężarem szarpnął w dół.

Drzwi wystrzeliły jak z katapulty, jakby coś wewnątrz samochodu pobudzone do gwałtownego ruchu. Otworzyły się i pchnęły go tak mocno, że przez płataninę obalonych drzewek runął tyłem do rzeczki. Fale zamknęły się nad nim w ciemnościach, gęste jak ropa naftowa, zatykając mu nos i pozbawiając go tchu. Z trudem dźwignął się na nogi, odrętwiały, ociekając i kaszląc wodą. Przetarł zalane oczy, rozejrzał się i zobaczył, że zapalona latarka mknie z prądem po dnie niby jakieś świetliste stworzenie wodne w panicznej ucieczce. Pobrnął za nią, mężnie przedzierając się przez lodowate fale, chociaż buty miał jak z ołowiu, a cholewy kolebały mu się wokół goleni. Gdy sięgnął po latarkę, jego dłoń zawisła niczym cień nietoperza nad kopułką światła, ta jednak wnet znikła, nie wiedzieć jak wessana przez muł i błocko, a on został, balansując w ciemnościach na jednej nodze, z ręką zanurzoną aż po bark. Poszukał po omacku i w końcu znalazł latarkę. Kiedy nią potrząsnął, w metalowym cylindrze między bateriami cicho zachlupotało. Schował ją do kieszeni i z głośnym pluskiem zawrócił pod prąd w stronę samochodu.

Dopiero wtedy poczuł mdlący, słodkawy, tracący zgnilizną zapach, a zanim dojrzał do samochodu, odór rozniósł się w powietrzu, on zaś poznał, że to whisky, chociaż nigdy w życiu jej nie wachał. A potem zobaczył mężczyznę, który wyłonił się z mroku, pełznąć po suficie przewróconego auta. Zdołał do pasa wydostać się przez otwarte drzwi i teraz leżał z jedną ręką zwieszoną do wody. Cierpki odór whisky, stęchły zapaszek starej tapicerki i twarz mężczyzny zalana (jak sądził) krwią – wszystko to wypaliło w mózgu chłopca tak jaskrawy obraz śmierci, że z przerażeniem rzucił się w stronę brzegu i jak szalony zaczął się nań wdrapywać, chwytając się zarośli i gramoląc w stronę pola, na którym roztrzaskiwały się kruche, muszloróżowe rafy światła, ukazując nierzeczywisty świat.

Ale mężczyzna żył. Chłopiec był już na brzegu i ciężko dyszał, huśtany suchymi konwulsjami pustego od wczoraj żołądka, kiedy usłyszał dobiegający jakby z próżni, głuchy i niemal ginący w plusku rzeczki okrzyk:

Hej!

Obrócił się, chwyciwszy się postrzępionego pnia drzewka, i pośród cieni spostrzegł tam w dole jakiś ruch we wraku samochodu, bladą twarz, odcinającą się od ciemnego wnętrza: nieznajomy patrzył na niego, podpierając się rękami. Hej, ty, powiedział.

Chłopiec zwisał wciąż w tej samej pozycji, przyglądając się mężczyźnie. Smuga światła przecięła spowijający górę cień i jakiś samochód przejechał po moście z łoskotem, który odbił się echem w korycie rzeczki. Co?, spytał w końcu chłopiec.

Mężczyzna jęknął, a po chwili powiedział: Może byś mi tak pomógł, do cholery.

Dobra, odrzekł chłopiec. Już się nie bał, tylko było mu zimno, kiedy ześlizgnął się po błotnistym

brzegu i kucnął w wodzie przodem do nieznanego, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Widział go teraz całkiem wyraźnie, nawet ciemną plamę krwi na jego policzku. Mężczyzna wpatrywał się w niego z twarzą boleśnie wykrzywioną w czymś na kształt uśmiechu. Alem narozrabiał, co?, powiedział.

Jest pan ranny? Słowa wystrzeliły chłopcu spomiędzy szczękających zębów jak z wiatrówki. Chciał coś dodać, ale kolejny zimny dreszcz odebrał mu mowę, a zeszywniała od chłodu zuchwa drgnęła jak u idioty.

A skąd ja wiem, odparł mężczyzna. Tak. Chodź no... Wyciągnął rękę, a chłopiec oparł ją sobie na ramieniu,

tamten zaś zgiął nogę w kolanie i postawił ją w wodzie. Potem wydobył drugą, krzywiąc się z bólu, i stanął w rzeczce, wciąż trzymając dłoń na ramieniu chłopca, jakby mu po ojcowsku doradzał. Kiedy ruszył w stronę brzegu, na chwilę cofnął rękę, niepewnie zrobił pół kroku i zaraz dłoń skoczyła z powrotem na ramię młodego, wczepiając się w nie jak drapieżny ptak. Oj!, westchnął mężczyzna. Chyba mi się noga zesrała.

Potrwało chwilę, zanim wyszli z wody. Chłopiec popychał od tyłu mężczyznę, ten zaś podciągał się, czepiając się drzew, korzeni, kęp zeschłej trawy, wlokąc za sobą nogę. Usiedli w zaroślach na skraju pola, dysząc białymi pióropuszcami w zimnym, rannym powietrzu. W rzędnącym półcieniu pola wyglądały jak woda, płaskie i szare. Chłopiec był mokry i zziębnięty; w ogóle wszystko było mokre i strasznie zimne. Mężczyzna przeciągnął dłonią po nodze, sprawdzając, czy nie złamana. Spodnie przylepiły mu się do skóry. Chłopiec siedział przed nim, trzymając się za ramiona i dygocząc. Palce stóp miał jak nieżywe, a kiedy nimi przebierał, w skarpetkach zgrzytał mu piach i żwir, w butach zaś chlupotała woda. Głowa panu krwawi, powiedział.

Mężczyzna przesunął dłonią po policzku.

Z drugiej strony.

Ranny sięgnął ręką do drugiego policzka, a kiedy odjął od niego dłoń, była lepka od krwi; wytarł ją o nogawkę i spytał: Zrobiłbyś coś dla mnie?

No chyba, odparł chłopiec.

Zejdź po kluczyki i wrywajmy stąd do diabła.

Chłopiec przelazł przez wyrwę w brzegu i znikł. Mężczyzna słyszał, jak brodzi w wodzie. Po chwili młody wrócił i oddał mu kluczyki.

Dziękuję, powiedział mężczyzna. Pokaż. Wziął chłopca za rękę i obrócił ją wnętrzem do góry. Co żeś se tu zrobił?

Chłopiec spojrział na własną dłoń. Przecinała ją czarna krecha o poszarpanych brzegach.

Tera żeś se to zrobił?, spytał mężczyzna.

Chłopiec patrzył na niego bezmyślnie. Nie, powiedział. Chyba nie. Musiałem się haratnąć, jak żem spadł do rzeki. Przedtem...

Mężczyzna wrzucił kluczyki do kieszeni i spróbował wstać. No to chodź, powiedział. Trza, żeby nas ktoś połatał. Tędy, dodał, widząc, że chłopiec skręca w stronę drogi. Wskazał ręką pole i ruszył naprzód, podrygując przy każdym kroku i mruczając pod nosem: O mamoo...

Chłopiec poszedł za nim, lecz po kilku krokach znów odbił ku rzeczce, a mężczyzna odprowadził go wzrokiem. We mgle najpierw znikły nogi, a potem cała postać chłopca, zdawał się więc sunąć ku przybrzeżnemu szeregowi wierzb, niczym nocne widziadło uciekające przed powolną zachłannością świtu, aż mężczyzna pomyślał, że może tamten od początku był tylko przywidzeniem. Ale chłopiec wrócił po chwili i podał mu drogę.

Dziękuję, powiedział mężczyzna.

Poszli przez pole, przez opary mgły i smutki światła, zmierzając na wschód, podobni do ostatnich niedobitków Armagedonu.

Ścieżka wiodła ich w górę rzeczki, skrajem pól – po łuku, wzdłuż którego płynęła rzeczka, a za nią po prawej wznosiło się wklęsłe zbocze góry, przekreślone teraz poziomymi promieniami światła wśród widmowo szarych drzew. Kiedy przełazili przez ostatni płot, chłopiec przytrzymał drut, żeby pomóc mężczyźnie, który siarczyście kłął. Przy rozwidleniu rzeczki przeszli po kładce, a potem bramą dla bydła na drogę przez Dolinę Hendersona.

Chłopiec zamknął za nimi bramę, a mężczyzna powiedział:

Nie idźmy tą drogą. Mogli już znaleźć wóz, bo się rozwidniło.

Przeszli na drugą stronę drogi i ruszyli pod górę stromym, bitym podjazdem. Tutej możemy wstąpić, rzekł starszy. Chłopiec lepiej go teraz widział. Mężczyzna był nieogolony, a jego twarz, pokryta z boku zakrzepłą krwią, wyglądała jak skorupa starej ciemnej ceramiki, gdzieniegdzie poprzecinana drobnymi pęknięciami, bo krzywił się z bólu, gdy tak się włókł, ciężko opierając się na dragu i dysząc ochryple. Był szczupły w biodrach i wysoki, ubrany w luźną popielinową kurtkę. Chłopiec pomyślał, że musi mu być strasznie zimno w takim lekkim ubraniu, skoro w dodatku przemókł do suchej nitki. Sam też nie czuł już stóp: latały mu w butach, sztywne jak kopyta. Nie przestawał dygotać. Podjazd piął się w górę, aż za zakrętem ukazał się dom.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna, któremu ogromny kałdun opięty szarym obszarpanym podkoszulkiem przewieszał się przez pasek spodni jak wieprzowe ścierwo w worku. Dwoje świńskich oczek w mięsistej twarzy o obwisłych policzkach, porośniętej siwą szczeciną, wpatrywało się w przybyszów, mrugając. Jak bum-cyk-cyk, rzekł powolnym, równym tonem. Właźcie, jak dacie radę. No i weszli. Mężczyzna kuśtykał, podpierając się drągiem, a za nim podążał chłopiec. W ciepłym pokoju pachniało gotującym się mięsem.

Hej, stara!, zawołał gospodarz. Przyszło tu dwóch takich, co przed chwilą wypadli ze samolota.

Jakaś kobieta podeszła do drzwi w głębi pokoju i spojrzała na nich. O mój Boże, westchnęła. Chyba chciała coś jeszcze dodać, ale zacisnęła usta i odeszła z widocznym pośpiechem.

W wygodnie urządzonej sypialni panował świeżej daty dostatek, nabyty za zaliczeniem pocztowym według zamówień z katalogu: porcelanowe lampy, linoleum na podłodze i grzejnik Ciepły Ranek, przed którym ulokował się chłopiec, podczas gdy mężczyźni stali i rozmawiali. Nie zwracali na niego większej uwagi, a on tylko im się przyglądał. Ten poturbowany wymachiwał rękami, opowiadając, co mu się przydarzyło, a drugi drapał się na zmianę po brzuchu i głowie, niekiedy cicho mówiąc do siebie tytułem komentarza:

Jak bonie dydy. Po pewnym czasie kobieta znów podeszła do drzwi i zawołała ich na kawę.

Gdy ruszyli do kuchni, młodszy mężczyzna machnął ręką w stronę chłopca. To jest.... urwał, kiwając mu głową.

John Wesley, powiedział chłopiec.

John Wesley. A to są June Tipton i jego małżonka.

Kiedy weszli do kuchni, pani Tipton odpowiedziała na ukłon chłopca skinieniem głowy, mówiąc: Jak się masz, John Wesley.

Usiedli przy stole i June powiedział kobiecie: To właśnie John Wesley wyciągnął Marion z rzeki.

Spojrzała na męża, a potem na chłopca, i uśmiechnęła się z uznaniem. Ten, na którego mówili Marion, szukał po kieszeniach papierosów. Zgadza się, potwierdził. O mało żem się nie utopił.

Kobieta znowu się uśmiechnęła. Po chwili spytała męża: A co on robił w rzece?

A co miał robić? Leżał, odparł June. Złapał gumę i wóz wleciał do wody.

Kobieta znów z uśmiechem spoglądała na chłopca i dalej skromnie popijała kawę. John Wesley pochylił głowę nad parującym kubkiem. Kropelki wody spływały mu z topniejących włosów, perliły się na płatkach uszu i z nich skapywały. Wciąż miał na sobie przemoczoną kraciastą kurtkę, a na linoleum pod jego krzesłem rosła kałuża. Podniósł wzrok znad kubka i zobaczył, że kobieta pochyła się ku niemu i patrzy. Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego kurtkę. Śmiesznie mlasnęło.

O mój Boże, powiedziała. Młodzian przemókł do szpiku kości. Jak nic nabawi się zapalenia płuc. Odstawiła kubek na stół i zaczęła ciągnąć za kurtkę, pomagając chłopcu ją zdjąć. Wyglądał, jakby uginał się i chwiały pod ciężarem dwurzędówki.

Pomogli mu wypłatać się z kurtki, a ten poturbowany dopił tymczasem kawę, więc wstał i powiedział, że może już jechać, jeżeli June podwiezie ich obu.

Podziękowali kobiecie, dwa lub trzy razy wymawiając się od śniadania. Kiedy wychodzili gęsiego, chłopiec niósł oburącz kurtkę jak toból mokrego prania, a potem wsiadł do furgonetki, zaparkowanej za domem i zwróconej przodem w dół. June dwoma kopniakami wytrącił spod przednich kół bloki i usiadł za kierownicą. Bezszelestnie się poturlali, nabierając szybkości, a gdy Tipton wrzucił bieg i silnik gniewnie ożył, polecili jak z katapulty aż do drogi, zanim skręcili w lewo, w stronę góry. Furgonetka kasłała i szarpała, a w szoferce kipiała niebieskawa mgiełka. Chłopiec siedział między mężczyznami, starając się nie zawadzać kolanami o dźwignię skrzyni biegów. Widział przez dziurę w podłodze, jak pod spodem przemyka szara droga, a w nogawkę dżinsów wkładał mu się z ukosa lekki, lecz dokuczliwy powiew.

Przejechali jakieś półtora kilometra pod górę i skręcili w kolejny podjazd, niewiele różniący się od poprzedniego. June zakręcił furgonetką po podwórku i zahamował, a wtedy Marion otworzył drzwi i z bólem się wygramolił. Chłopiec czekał.

Lepiej wejdz, rzekł Marion. Chłopiec obrócił się i już miał coś powiedzieć, kiedy zza jego pleców odezwał się June:

Chyba się wróć.

Dzięki za przysługę, odparł Marion. A ty lepiej chodź, John Wesley, i trochę się wysusz, bo twoja stara obędzie cię ze skóry i obstatuje z niej buty.

Wyłaził więc z furgonetki i trzasnął drzwiami, kiedy już odjeżdżała, a June machał im ręką, po czym poszli obaj w stronę domu. Był już jasny dzień, w zimnym powietrzu snuł się dym. Na progu stała drobna blondynka. Ręce skrzyżowała na piersi, chwytając się dłońmi za ramiona. Przepuściła ich i sama też weszła do środka, a potem zamknęła drzwi.

Dzień dobry, radośnie rzekł mężczyzna.

Mocno żeś oberwał?, spytała z bardzo zagniewaną miną.

Śniadanie gotowe?, spytał Marion.

Wyglądała, jakby miała zaraz się rozplakać. Twarz wykrzywił jej bolesny grymas, a podbródek zadrżał. Niech cię szlag, powiedziała. Nie będziesz miał dość, póki się nie zabijesz, co? Nijak nie rozumiem, czemuś jeszcze tego nie zrobił, i Bóg chyba też tego nie wie, bo niby z jakiej racji miałby się troszczyć o takich jak ty bardziej niż... Nagle umilkła i spoglądała na chłopca, który stał, trzymając oburącz kurtkę i ociekając wodą. A co z nim?, spytała, wskazując palcem. Z tym twoim pomagierem. Też oberwał?

Chłopiec przyjrzał się sobie. Cały był przemoknięty i ubłocony, na pociemniałych od wody dżinsach miał pełno nasion i rzepów, jakby ktoś uprawiał na jego spodniach ogród botaniczny rzadkich okazów, a z

długich aż po kolana kaloszy sterczały patyki i zielsko. Stopy miał obtarte, a ścięgnię przy kostkach sforsowane od chodzenia w gumowcach. Jedna skarpetka całkiem mu się zsunęła i zwinęła w kłębek w nosku kalosza.

Jaki tam ze mnie pomagier, rzekł. Ja żem go tylko znalazł.

Zerknął na mężczyznę, który szczyrzył zęby w uśmiechu. Nie daj się nabrać, powiedział. To on prowadził. Ale chyba nic mu nie jest. Mnie też nie, tylko żem se nogę zeszarpał, jak żem ją wyciągał spod tablicy.

Nie nogę, tylko głowę żeś se zeszarpał, rzekła kobieta. Wyskakuj z łachów. No, siadaj. Podprowadziła go do kanapy i zaczęła mu rozsupływać sznurowadła.

Chłopiec stał, czując się nieswojo i nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Kobieta zdjęła Marionowi buty i skarpetki, a potem zaczęła odpinać pasek spodni. Mężczyzna siedział, milczący i bierny, jakby głęboko się zamyślił. A ona w kółko powtarzała: Niech cię szlag, niech cię szlag, zrozpaczonym, a jednocześnie zatroskanym tonem.

Zabrała się do ściągania spodni. Chłopiec nie wiedział, gdzie oczy podziać.

Co ty wyrabiasz?, z udawanym oburzeniem spytał mężczyzna.

Wstawaj, do cholery!

No, no!, powiedział. Ni mam siły na takie zbytki.

Słuchaj, Marion Sylde, nie będę znosić twoich wygłupów. Wyskakuj mi z tych portek w try miga. Niech Bóg ma w opiece twoją biedną matkę, nie rozumiem, jakim cudem jeszcze nie umarła, chociaż tyle czasu musiała mieć do ciebie zdrowie... Podnieś giry. Ty... czekaj no tu. Przyniosę ci buty. Wyszła z pokoju, a mężczyzna znacząco mrugnął do chłopca, siedząc z opuszczonymi do kostek spodniami.

Kobieta wróciła, cisnęła mu na kolana jakieś ciuchy i dopiero wtedy zauważyła wielki siniec z boku łydki, odcinający się czerwienią i fioletem od białej skóry nagich goleni. Uklękła i dotknęła go, cicho pojękując. Znowu wyszła, tym razem po miskę wody i myjkę, i ostrożnie przemyła stłuczone miejsce, a mężczyzna co pewien czas krzyczał, udając, że boli. Ale już go nie przeklinała. Kiedy skończyła, obróciła się w stronę chłopca. A ty?, spytała.

Psze pani?

Psze pani? Spojrzała na mężczyznę, a potem znów na Johna Wesleya. Chyba nie chcesz tak stać do śmierci, psze pani. Zmrużyła oczy i dodała: Rozbieraj się.

Że co?

Siedzący na kanapie mężczyzna zachichotał, wkładając czystą koszulę.

Idź, powiedziała. Idźże tam. Wskazała palcem za siebie. Zarutko ci przyniosę jakieś łachy.

Z dziwnym chłupotem ruszył, gdzie mu kazała.

Najpierw wylej wodę z butów, upomniała go.

Przystanął.

Na dworze.

Znowu powiedział: psze pani, podszedł do drzwi i po chwili wrócił w jednej skarpetce, zostawiając na podłodze z surowych sosnowych desek asymetryczny ślad.

Drzwi, które mu wskazała, prowadziły do sypialni. Był w niej kominek z rusztem, od którego było jeszcze słabe ciepło. Chłopiec przez minutę stał przed nim na ręcznie tkanym chodniczku, a potem cicho zamknął drzwi.

Weź se koc!, zawołała do niego kobieta.

Ściągnął mokre ubranie, kładąc je na kurtce, którą przedtem starannie rozpostarł na podłodze, wziął

leżący w nogach łóżka zrolowany koc i owinał się nim.

Stał przy oknie, wpatrując się w szary poranek, kiedy kobieta przyniosła mu koszulę i spodnie. Zgarnęła jego rzeczy z podłogi i wyszła. Odwinął się z koca i przebrał. Dostał też parę wojskowych skarpet, więc je włożył, a potem usiadł na łóżku, zastanawiając się, czy może w nich chodzić po podłodze. Ale gospodyni nie przyniosła mu butów, toteż po pewnym czasie ośmielił się wrócić do frontowego pokoju. Mężczyzna był już ubrany, miał zabandażowaną głowę i moczył stopy w misce z wodą, czytając gazetę. Podniósł wzrok znad lektury i zobaczył chłopca, który stał w zbyt luźnej koszuli i spodniach z podwiniętymi nogawkami, zebranych w pasie w ten sposób, że w przednią dziurkę wpięty był boczny guzik od szelek.

Niezbyt leżą, co?, zapytał mężczyzna.

Nie, psze pana.

Mów mi Marion.

Że jak?

Marion. Sylder. Tak się nazywam, Marion Sylder.

Aha, powiedział chłopiec.

Miło cię poznać.

Tak, psze pana.

No, rzekł mężczyzna. Weź krzesło i siadaj.

Chłopiec przysunął sobie stojący przy piecu trzcinowy fotel na biegunach i w milczeniu usiadł, z rękami na kolanach. Mężczyzna rozparł się na kanapie, ogromnej niekształtnej landarze z kwiciastą narzutą. Za nim na ścianie wisiało w owalnej ramce jego zdjęcie z tą kobietą, jego żoną: z ostrożnym, niepewnym uśmiechem zaglądali do pokoju. Na podłodze tu i ówdzie leżały chodniczki, było też kilka mebli: kredens, stół i krzesła. Na szafce w kącie stało trofeum: autko z brązu na skrzyneczce z orzecha włoskiego.

Wiesz, co było we wozie?

Chłopiec spojrział na mężczyznę.

Tak, psze pana... Znaczy się Marion.

No, mruknął Sylder. Zajął się gazetą, wolno przewrócił kartkę i znów popatrzył na chłopca. Uśmiechnął się. Zresztą towar w dobrym gatunku, dodał. Prawie trzysta litrów.

Akurat wtedy kobieta zawołała ich na śniadanie, więc odłożył gazetę i sięgnął po ręcznik, żeby wytrzeć stopy. Chłopiec zauważył, że u lewej brakuje części wielkiego palca. Kikut bez paznokcia wyglądał dziwnie, trochę jak nos. Mężczyzna włożył kapcie i wstał, opierając się o kanapę. Chodź, powiedział. Zjemy coś.

Przeszedł do kuchni, skacząc na jednej nodze, a chłopiec za nim.

Na śniadanie były jajka, mamałyga, bułki, polędwica wieprzowa i kawa w ogromnych kubkach, czarna, bez mleka ani cukru. Chłopiec popijał ją drobnymi łydkami, przyglądając się mężczyźnie. Kobieta nie jadła z nimi. Krążyła wokół stołu, dokładając im na talerze jajka i bułki, dolewając kawy. Mężczyzna nie odezwał się, póki nie skończył posiłku, tylko od czasu do czasu przysuwał chłopcu talerz, marszczył czoło i pomrukiwał, zachęcając go do jedzenia. Zakończył śniadanie kilkoma bułkami z ciemnym miodem, po czym wstał od stołu. Po paru minutach wrócił, niosąc kurtki i buty dla siebie i chłopca. Chodź, powiedział. Coś ci pokażę, pewnie ci się spodoba. Chłopiec włożył kurtkę, wsadził stopy w przepastne buciory i obaj wyszli kuchennymi drzwiami prosto w świeży poranek; powietrze było czyste i zimne jak woda źródłana, ze wznoszących się nad nimi stoków górskich wlatywały strzępy

mgły, a zza przełęczu lało się światło jak woda z młynówki. Mężczyzna pierwszy pokiwał do wędzarni, przekreślił tkwiący w desce zgięty gwóźdź i otworzył drzwi, które zakołysały się na zawiasach, po czym zniknął za progiem. Chodźże, powiedział. Chłopiec wszedł za nim w stęchły półmrok. Cześć, mała, rzekł mężczyzna. Powietrze przesycił psi fetor. Siąkanie i piskliwe kwilenie z kąta. Nieduża suczka wyjrzała zza kolana mężczyzny i łypnęła na chłopca, zadzierając łeb. To jest Damka, powiedział mężczyzna. Suka obwąchała workowate spodnie chłopca.

Oswoiwszy się z półmrokiem, dostrzegł zwisającą z belki zepsutą latarnię, porozrzucone narzędzia, oselkę, kowadło z kawałką szyny... Mężczyzna przykucnął w kącie, a suka nerwowo dreptała za jego plecami, wtykając mu nos pod rękę.

W końcu zdołała go jakoś obejść i ułożyła się na stercie worków, a wtedy chłopiec zajrzał mężczyźnie przez ramię i zobaczył kłębiące się szczenięta, które po chwili zaczęły ssać. Damka zamrugała łagodnymi ślepiami gończej i utkwiała spojrzenie w dachu.

Mężczyzna wybrał jednego szczeniaka i podał go chłopcu. John Wesley wziął malca, którego tłusty gładki brzusek akurat mieścił mu się w dłoni, a łapki zwisły na boki. Popatrzył na spokojne, już posmutniałe ślepkę, szczenięcą, jakby wgniecioną mordkę i głupekowate uszka.

Skończył miesiąc, powiedział mężczyzna. Ten jest najlepszy, ale możesz se wybrać, którego chcesz.

Jak to?

Jego ociec to rasowy szopłoch, znaczy się szczeniaki to mieszańce szopłocha z łazikiem. Lepszych psów na szopy ni ma. Podoba ci się ten?

Tak, psze pana.

No to jest twój. Będziesz mógł go se zabrać za jaki miesiąc.

Jefferson Gifford zahaczył kciukami o szelki i naciągnął je na ramiona, a potem upił jeszcze łyk kawy z ledwo napoczętego glinianego kubka. Zadudnił buciorami po kuchennej podłodze pokrytej zmarszczonym linoleum, podszedł do tylnych drzwi i zdjął z kołka kurtkę i kapelusz.

Plymouth?, powtórzył.

Legwater zapinał płaszcz. Tak mi mówił, rzekł. Sam nie byłem sprawdzić. Wiem tyle, ile mi powiedział: że to plymouth. Przyjechał prosto do mnie, bo jak raz rozwoził mleko, to obok niego przejeżdżał, i kazał dać ci znać. No to jestem. Gadał, że plymouth.

Gifford poprawił kapelusz na głowie i otworzył drzwi. No to chodź, powiedział. Jak żyję nie słyszałem, żeby ktoś woził whisky plymouthem.

Nie ściągniesz szeryfa?

Najsampierw sprawdzę, w jakiej niby sprawie mam go ściągnąć, odparł Gifford.

Zaparkowali tuż za rzeczka, przeleźli przez druciany płot i wolno poszli dalej, wpatrzni w wykoszony wśród krzaków i młodych drzewek ślad samochodu. Plymouth zdemolował płot, odłamał gałąź topoli przy moście i wylądował jakieś dziesięć metrów od drogi. Leżał do góry kołami w rzeczce pod przeciwnym brzegiem, zwrócony przodem w stronę, z której nadjechał. Gifford widział tylko podwozie, ale poznał, że tym razem to nie ford, bo zauważył przy tylnej osi dwa resory w kształcie połówek elips. Musieli wrócić na drogę i przejść przez most, żeby się dostać do plymoutha, który roztrzaskał się o nadbrzeżne korzenie i widać było sypiące się spod pokrywy bagażnika szkło.

Kiedy sprowadzili ciężarówkę i kołowrotem wyciągnęli wrak, pokrywa bagażnika odpadła i szkło posypało się do wody. Ktoś twierdził potem, że przestało się sypać dopiero po półgodzinie, ale tak czy owak długo to trwało. Znaleźli nawet kilka całych słoików, więc Gifford się ucieszył, że ma dowód

rzeczowy...

Plymouth był dwudrzwiowy, z trzydziestego trzeciego roku. W prawej przedniej oponie miał dziurę na trzy palce. Poza tym nie odznaczał się niczym szczególnym, tyle że rozbił się w Czerwonej Gałęzi, a w jego bagażniku zachowały się resztki transportu whisky.

Gifford dokładnie obejrzał ziemię, chodząc w tę i z powrotem wzdłuż brzegu, jakby coś zgubił. Zapisał na kartce numer rejestracyjny, ale po bliższych oględzinach stwierdził, że tablice są zesztoroczone, tylko przemalowane, więc z niesmakiem wyrzucił kartkę.

Musiał chyba nieźle oberwać, rzekł Legwater.

Obaj.

Co znaczy obaj?

No, obaj, powtórzył Gifford. Było ich dwóch.

Że niby ślady? Pewnie Olivera. Zeszedł zobaczyć, czy ktoś tam nie leży...

Przecie on wcale nie zlaźł do rzeki, żeby... Widzisz? O, tu... Gifford umilkł, wpatrując się w ziemię. Po dłuższej chwili spojrzął na Legwatera. Earl, powiedział. Ty chyba masz rację.

Tak też mi się zdawało...

No. Ten drugi nie przyjechał razem z nim. Przyszedł i wyciągnął go z wozu.

Ale to nie Oliver, upierał się Legwater. Nikogo tutaj nie widział. On...

Ja nie o nim, rzekł konstabl. Chodź, jak już ni masz tu nic do roboty.

Tymczasem zaczął kropić deszcz.

Pewnie się trochę ociepli, powiedział Gifford. Chyba żeby syło śniegiem.

W sklepie zbierali się starcy; przesiadywali godzinami na skrzypiących skrzynkach od mleka, mówiąc wolno i z przekonaniem o sprawach do głębi nieistotnych, wpatrując się wodnistymi oczami w matowo czerwoną bulwę pieca. Okutani ciemnymi płaszczami, cokolwiek podobni do sępów, twarze mieli chude, wynędzniałe, skórę suchą, papierową, jaszczurczą. John Shell najbardziej ze wszystkiego na świecie przypominał nieudolnie poskładany manekin z kości, z którego ubranie zwisało sflaczałymi zakurczonymi fałdami, a nadgarstki sterczały mu z luźnych rękawów prałata jak zetłale patyki; i tenże John Shell mozolnie, z ledwie dosłyszalnym zgrzytem rozwarł bezzębne szczęki, aby wygłosić swoją dyżurną kwestię: Nie tyle się o to rozchodzi, ile o jedno z drugim.

Kilka głów skinęło potakująco. W szklanych gablotach pomykały z suchym chrobotem karaluchy, nieregularnym szykiem przebiegając po słodyczach i lepkiem od lukrecji łapkami wspinając się na szyby, przez które widać było

ich żółte płaskie brzuchy, podzielone na segmenty. Latem i zimą patrolowały gablotkę ze słodyczami, zwiedzały chustki do nosa, skarpetki i cygara. Czasem wdzierały się do spiżarki na mięso – białej konstrukcji w szpitalnym stylu, zardzewiałej od mięsnych wyziewów, której szyba u dołu wpuszczona była w drewno, więc brązowe plamy koloru tytoniowych plwocin albo i czegoś gorszego sunęły w dół po emalii, ale szybko ginęły z zimna. Trupki owadów leżały w pozach spoczynku wzdłuż całego wążutkiego spływnika z przodu gablotki.

John Wesley stał oparty o nią, kiedy zobaczył, że do zardzewiałego pomarańczowego dystrybutora benzyny podjeżdża jakiś samochód i wysiadają z niego dwaj mężczyźni. Gdy weszli do sklepu, ucichło nosowe bicie piany, a chór starców spojrzął ku drzwiom, spuścił wzrok, a potem znów zapatrzył się w piec. Niektórzy wyciągnęli z ogrodniczków noże i zaczęli od niechcenia strugać wióry ze skrzynek po mleku. John Shell z trudem dźwignął się z miejsca, owinął dłoń chustką i otworzył drzwiczki pieca, po

czym wrzucił do niego bryłkę węgla, którą wziął z wiaderka. Wzbiła się fontanna iskier. Starzec dobitnie na nie splunął i z brzękiem zatrzasnął obluzowane żeliwne drzwiczki.

Dwaj przybysze podeszli do skrzynki z napojami, maszerując w zwartym szyku. Ich kroki na gołej wylewce brzmiały ciężko, wojskowo. Kiedy wybrali sobie napoje, wyższy stanął przy ladzie i zakręcił na niej dziesięciocentówką. Drugi zamknął wieko skrzynki, wgramolił się na nią i usiadł, pociągając drobne łyczki i z dziwnym uśmiechem patrząc na starców.

John Shell obrócił się w stronę mężczyzny stojącego przy ladzie i rzekł: Uszanowanie, Gif.

Uszanowanie, odparł Gifford, kiwając głową wszystkim naraz, po czym upił łyk.

Pan Eller podniósł się z krzesła, które stało przy pieńku do rąbania mięsa, i wrzucił dziesiątaka do kasy. Gifford jemu także powiedział: Uszanowanie. Sklepiak tylko chrząknął i wrócił na krzesło, wzięwszy z lady gazetę.

Ociepla się, stwierdził Gifford. Na dworze przestało padać i już tylko zimny wiatr marszczył czerwone kałuże przed sklepem. Gifford zadarł głowę i pociągnął kolejny łyk. Mucha elektrycznie bzyknęła o szybę wystawy. Ogień w piecu strzykał i jęczał.

Gifford podniósł napój na wysokość oczu i przyjrzał mu się, sznurując usta, w których trzymał jeszcze nie przełknięty haust, a potem zaczął wolno bełtać flaszką, sprawdzając lepkość i pianistość płynu, jakby podejrzewał, że jest w nim jakaś niepożądana domieszka. W fałdach skóry pod brodą wzniosło się i opadło jabłko Adama.

Widzieliśmy, że ktoś zgubił w rzecce starego plymoutha, powiedział.

Kilku spojrzęło na niego. Taak?, zdziwił się któryś.

Ano, przytaknął Gifford. Żal takiej straty.

Legwater, okręgowy pełnomocnik do spraw zwierząt, dopił ostatni łyk i pochylił się. Siedział tak, wsunąwszy

sobie pod pośladki palce dłoni zwróconych wnętrzem w dół. W tej pozycji przypominałby ropuchę, gdyby nie był taki chudy i nie miał patykowatych nóg, zwisających w tej chwili z krawędzi skrzynki. Machał nimi, uderzając piętami o jej bok. Czyli jednak był podobny do ropuchy, tyle że długołapej i wynędzniałej. Szczerzył zęby i stroił miny, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Większość starców widziała, jak kiedyś ze strzelby kalibru 0,22 zabił za sklepem dwa psy. Jeden skowyczał, wlokąc się wzdłuż płotu przez pole poniżej rozstajów, a Legwater wpakował mu siedem kul, i to na oczach gromadki dzieci, które stały i patrzyły, póki same się nie rozskowyczały.

Pewno, że żal.... powiedział radośnie, z satysfakcją.

Gifford rzucił mu z boku ostre spojrzenie, więc Legwater umilkł i już tylko patrzył, jak pięty odbijają mu się od skrzynki.

Pewnie nikt nie wie, czyj to wóz?, ciągnął Gifford.

Niektórzy starcy jakby drzemali. Mucha brzęczała o szybę.

Zamówiłem holowanie, żeby go zabrać do miasta. Bardzo bym chciał go zwrócić prawowitemu właścicielowi.

Mówił pan, że jaka to marka?, zagadnął go chłopiec, oparty o gablotę z mięsem.

Gif z wystudiowaną obojętnością wysączył resztkę napoju i starannie odstawił butelkę na ladę. Spojrzał na chłopca, a potem na jego stopy.

Zawsze chodzisz w kapciach, synu?

Chłopiec nie spuścił wzroku. Próbował odpowiedzieć, ale poczuł, jakby skleity mu się struny głosowe. Zakaszał i głośno odchrząknął. Miał wrażenie, że stopy urosły mu nagle do monstrualnych rozmiarów.

To nie są buty na taką pluchę, powiedział Gifford, ruszając ku drzwiom. Legwater zsunął się ze skrzynki i podążył za nim. Gif uchylił drzwi i zatrzymał się na progu, z ukosa bacznie się przyglądając czemuś w górze. Taa, dodał. Wygląda, że się przejaśni. Legwater czał się za nim jak ciemne, złowieszcze ptaszysko.

No to tymczasem, powiedział Gifford.

Pan Eller drzemał z gazetą w ręku przy pieńku do mięsa. Zajrzyjcie jeszcze kiedy, odparł, nie spojrzawszy ani razu na Gifforda.

No i poszli. Mucha znów zabręczała o szybę. Zgromadzeni wokół pieca starszankowie kolejno budzili się z odrętwienia. Chłopiec stał przy gablocie z mięsem, jakiś nieswój. Niektórzy starcy brunatnymi, jakby papierowymi dłońmi skręcali papierosy. Było bardzo cicho. Młody podszedł do drzwi i chwilę w nich postął. A potem wyszedł.

Pierwszy przenikliwy skowyt był cienki i czysty jak samo powietrze, a jego ciche, słabnące echa dobiegły z kotlin i rozpadlin, wznosząc się do wysokiego sopranu niczym ostatnia cichnąca nuta szklanych dzwoneczków. Mężczyzna słyszał, jak gdzieś w okolicy jego łokcia w ciemnościach oddycha chłopiec, starając się głośno nie dyszeć i przesadnie wyęzając słuch. A ona znów się odezwała, więc wstał i lekko dotknął ramienia towarzysza. Chodźmy, powiedział.

Seria dźwięcznych skowytów rozległa się jak karabinowa palba. Chłopiec zerwał się na równe nogi i spytał: Zagnała go już na drzewo?

Nie. Dopiero zwęszyła trop. Ale depcze mu po piętach, powiedział mężczyzna. Ze stromego pagórka, na którym odpoczywali, zaczął schodzić w dół, przedzierając się przez labirynt sosenek; ich glansowane igły leżały na zboczach grubą warstwą, więc żeby zejść niżej, musieli wykonać kilka ryzykownych zjazdów od pnia do pnia, póki nie stanęli na dnie parowu – czarnego rozcięcia w ziemi, za którym mężczyzna widział tylko ciemność, chociaż pamiętał, że jest tam pole, spływające ostrą pochyłością ku oddalonej o jakieś sto metrów rzeczce. Zeskoczył do parowu, słysząc, jak ziemia osuwa się za nim gęstymi paciorkami, bo chłopiec poszedł w jego ślady. Wdrapał się na stok po drugiej stronie i truchtem pobiegł przez pole. Pod stopami pękały mu grube łodygi zielsk, a nogawki sztruksowych spodni ocierały się o siebie z rytmicznym poświstem.

Z ciemności wyłoniły się rosnące wzdłuż rzeczki topole, wyraziste i blade. Mężczyzna przelał przez szczątki niskiego płotu z drutu kolczastego i usłyszał, jak dźwięcznie skrzypią zardzewiałe klamerki tkwiące w splekanym, połupanym słupku cedrowym, kiedy chłopiec poszedł za jego przykładem. Szli już wtedy przez las nad rzeczką, z suchym trzaskiem brnąc wśród sztywnych od mrozu liści.

Po prawej wciąż rozlegał się przenikliwy, podniecony zew Damki. Poszli dalej pod mrocznymi drzewami, przemierzali zagajnik młodych cedrów, skupionych na polanie jak wieczorne zjawy, krągłe i druidyczne w swej czarnej powadze. Mężczyzna dotarł do przeciwległego skraju polany, wszedł z powrotem w las i przystanął, czekając, aż chłopiec go dogoni.

Którędy ona biegnie?, spytał młody, starając się ukryć zadyszkę.

Tędy, co i on, po chwili milczenia odparł mężczyzna, wskazując ręką przybliżony kierunek. Jego plecy znowu wtopiły się w ciemność. Chłopiec ruszył za nim, wysoko podnosząc stopy i podążając za szelestem kruchych liści. Zbiegali na ukos ku rzeczce i niekiedy słyszeć już było wartki nurt wody, wezbranej po deszczu, podobny do dalekiego turkotu pociągu towarowego.

Uważaj na pień!, zawołał mężczyzna, a chłopiec w ostatniej chwili zdążył przeskoczyć, niemal

potykając się o drzewo powalone przez wiatr. Stracił równowagę, odbił się od młodego drzewka i pobiegł dalej z pochyloną głową, wyężając wzrok. Ukazały mu się jakieś drzewa, które przedelfowały z powolną ociężałością, zanim znów zwały się z dookolnym mrokiem. Wspinali się po długiej pochyłości, a gdy chłopiec przekroczył jej grzbiet, mignęła mu z przodu postać, odcinająca się ciemną sylwetką od zielonkawobłękitnej ściany nieba. W dole zamajaczyło koryto rzeczki. Wbiegli w niskie siodło w grzbiecie wzgórza, z powrotem z niego wychynęli i wtedy mężczyzna gdzieś znikł. Chłopiec przystanął i zaczął nasłuchiwać. Do czystego głosu Damki dołączył drugi, niższy i mniej natarczywy. Suka była już znacznie bliżej, tropiła to tu, to tam, nadbiegała. Słyszał, jak się zbliża. Łowił uchem jej zew między eksplozjami własnego oddechu. I nagle umilkła.

Nastąpiła chwila ciszy, potem drugi pies raz tylko szczeknął. Trzask łamanych zarośli. Dwa szalone skowoty tuż na prawo, a po nich plusk rozdartej powierzchni wody. Ktoś u jego boku cicho powiedział: Zaciągnął ją do rzeki, chodź. Mężczyzna ruszył w dół po stoku, a chłopiec za nim, aż przy końcu zbocza nad rzeczka wychynęli na niewielką płaskość w cieniu grubego buku. Coś nadbiegało ze szczytu wzgórza za ich plecami, więc przystanęli. Długi cień smyrznął obok nich z szelestem liści i pomknął w stronę brzegu. Krótkie, urwane szczeknięcie, a potem chlupot. Pobiegli w tamtym kierunku, zjeżdżając po zboczu, aż znaleźli się nad wodą, powleczone cienką błoną światła, w której dostrzegli – podążając za odgłosami wścieklej szamotaniny i niskim, przerywanym warkotem – niewyraźnie majaczące wśród nurtu, zmagające się ze sobą postaci, i raptem ten drugi pies skoczył w wodę i włączył się do walki, która niebawem przeniosła się w dół koryta, na głębinę, gdzie przysłonił ją cień przeciwległego brzegu. Warkot ustał i słychać już było tylko rozpaczliwe prucie fal.

Za drzew po prawej błysnęło światelko, zgasło i znów skocznie zajaśniało, osobne i niesamowite pośród czerni. Usłyszeli suchy trzask zamarniętych gałązek i zarośli, stłumione głosy. Światło pomknęło naprzód i nagle ich namierzyło, zatoczywszy łuk po brzegu rzeczki.

Uszanowanie, rozległ się czyjś głos.

Cas?

Taa... To ty, Marion?

Daj no tu to światło. One są we wodzie.

Kiedy tamci schodzili po zboczu, widać było tylko cztery odcięte nogi, potykające się w plamie światła.

Weź no poświeć, rzekł Sylder.

Podeszli, owiani aromatem fajkowego dymu i psiej sierści. Ten niższy wolno sunął smugą światła wzdłuż rzeczki. Gdzie mniej więcej?, zapytał.

Trochu niżej. Uszanowanie, Bill.

Uszanowanie, odrzekł tamten. W ostrym blasku latarki wiły się białe jak dym oddechy, zawisając im nad głowami

zwiewnym baldachimem. Owal światła pomknął po wodzie aż pod drugi brzeg, minął cel, cofnął się i spoczął na walczących zwierzętach, które zwały się wśród lodowatych fal. Ślepią szopa jarzyły się czerwienią, maleńkie jak łebki od szpilek, futro namokło, a ogon – najwidoczniej niezatapialny – smętnie kolebał się w nurcie. Duży pies ostrożnie okrążał pracza, z gasnącym zapałem rozgarniając fale coraz bardziej znużonymi łapami. Spod przedniej łapy szopa wystawało ucho Damki, a potem wynurzył się jej zad, z szaleńczym smagnięciem ogona rozdzierając powierzchnię wody, i zaraz znów zatonał w bezgłośnym wirze.

Cas skierował snop światła na brzeg, uzbierał garść kamieni i oddał koledze latarkę. Weź no poświeć

na niego, powiedział. Wycelował w szopa płaskim kamieniem, który zatoczył w smudze światła powolny łuk i zatonął ze stłumionym pluskiem. Duży pies ruszył w stronę brzegu i znów rozpaczliwie mignął ogon Damki, kiedy drugi kamień frunął po łuku przelotnym cieniem i przeciął wodę tuż pod pyskiem szopa.

Ten oswobodził się i popłynął z prądem, przebierając łapami. Duży pies wylazł tymczasem na drugi brzeg i żałośnie zaskowyczał, drepcząc w miejscu. Mężczyzna z latarką wołał do niego ochryple, nagłaco: Bierz go, stary! Bierz go! Boi się kamieni, powiedział po chwili.

Cicho, rzekł Sylder, biorąc od niego latarkę. Damka odpłynęła tymczasem jakieś trzydzieści metrów w dół rzeczki. Kiedy trafił ją promień światła, spojrziała za siebie jasnopomarańczowymi ślepiami. Uszy wlokły się za nią po

wodzie, w którą biła przednimi łapami ze znużeniem i ponurą determinacją, unosząc kąciki warg w makabrycznym, a zarazem groteskowym uśmiechu, jakby bała się zachłysnąć.

Noga, psino!, zawołał Sylder. Noga!

Wszyscy szli w dół rzeczki, przedzierając się przez chaszczę. Gotowa się utopić, powiedział któryś.

Noga, psino! Noga...

Nawet nie poczuł, kiedy znalazł się w wodzie. Nie słyszał, jak tamci nawołują, przestał ich słyszeć, gdy odbił od nich gdzieś w górze rzeczki, wpadając w pełnym biegu między kolcorośle, których drapania też zresztą nie poczuł i tylko zauważył, że ciągną go za kurtkę i nogawki, jakby próbowały go zatrzymać drobnymi rączkami. A potem zsunął się z brzegu, szukając stopami oparcia: zjechał po śliskim błocie i w końcu wyleciał jak z katapulty łukiem w dół ku środkowi nurtu, sztywnonogi, wymachując rękami. Nie upadł, póki się nie zatrzymał i nie zachwiał, zanurzony po uda, i dopiero gdy zrobił pierwszy krok ku głębinie, runął na twarz, bezwładny jak zastrzelona czapla.

Ale wcale tego nie poczuł. Kiedy znów się wynurzył, woda sięgała mu powyżej pasa, a miękkie dno mrowiło się pod stopami, jakby stąpał po kolonii podwodnych stworzeń. Widział teraz trochę lepiej. Na brzegu nie było światła, więc pomyślał: Za daleko żem zeszedł w dół. I żadnych głosów, tylko otaczająca zewsząd gadanina i kołysanie rzeczki. A potem znów się zanurzył, zanurkował głową i zaraz wychynał, przebierając nogami w głębokiej wodzie, a na pierś napierał mu jakiś ciężar. Podtrzymał go oburącz od dołu i podniósł. Wynurzył się łeb Damki. Spojrzała na niego tępo, przewracając ślepiami, a on chwycił ją za obrozę. Dno podniosło się i umknęło mu spod stóp, więc padł na plecy, a suka przetoczyła się po nim i zaczęła się wrywać, aż wreszcie zawadził nogą o głaz, sięgnął ku niemu ręką i przytrzymał się, a potem wstał i pobrał do brzegu, holując psa.

Tamci nadeszli z latarką i Sylder popatrzył, jak chłopiec kuli się w wierzbinnie, wciąż trzymając Damkę. Bez słowa znikł w lesie, a po kilku minutach przyniósł stertę chrustu i uschłych gałęzi.

Jeden z mężczyzn klęczał przy nim i głaskał sukę, uważnie ją oglądając. Chyba wyszła cało, co, synu?, spytał.

Chłopiec nie mógł otworzyć ust, więc tylko skinął głową. Był jak sparalizowany, nie czuł już nawet zimna.

Uświerkniesz nam tu, synu, powiedział drugi mężczyzna. Odstawmy cię do domu, nim zamarzniesz na śmierć.

Znów kiwnął głową. Chciał wstać, lecz gdy próbował się ruszyć, ubranie niezdolnie obcierało mu skórę.

Sylder rozpałił tymczasem ognisko: suchy chrust z donośnym trzaskiem zajął się płomieniem, a po drzewach zaczął skakać pomarańczowy blask. Chłopiec widział ciemną sylwetkę Mariona, gdy ten krążył,

podsycając ogień. Po chwili Sylder podszedł i jedną ręką zgarnął z ziemi drżącą sukę, a drugą skinął na chłopca. Chodź no tu, powiedział. I zdejm te łachy.

Chłopiec wstał i z trudem za nim podążył, zeszywniały z zimna.

Sylder położył sukę przy ognisku i zajął się chłopcem. Daj no tą katanę, powiedział.

Chłopiec ściągnął ciężką jak z ołowiu dwurzędówkę i podał Sylderowi. Ten owinał ją wokół pnia młodego drzewka, oburącz chwycił za końce i wyżył z wełnianej tkaniny jakieś pięć litrów wody. Powiesił kurtkę na krzaku i spojrzał na chłopca, który stał, nie ruszywszy się z miejsca.

No wyskakuj z łachów, powiedział Sylder.

Chłopiec zaczął je ściągać, a Marion brał od niego po kolei koszulę, spodnie, skarpety i gacie, wyżywał je i wieszał na drągu, który położył na dwóch rozwidlonych patykach, zatkniętych w ziemię przy ognisku. Młody rozebrał się do naga i stanął w płamie światła, biały jak ślimak. Sylder zdjął i rzucił mu własną kurtkę.

Włóż, powiedział. I przysuń się, kurde, do ognia.

Chłopiec słyszał, jak gdzieś za nim dwaj pozostali mężczyźni krążą po lesie, z trzaskiem przedzierając się przez chaszczce. Widział, jak mruga latarka, którą sobie przyświecali. Jeden przytaszczył ogromną kłodę i upuścił ją na ognisko. Skłębione iskry buchnęły w górę, rozbłyły, a potem znikły w dymie, czepiającym się wysokich, nagich gałęzi, zanim wróciły, kreśląc wśród mrocznych drzew po nawietrznej powolne czerwone ścieżki.

Siedział na warstwie zdeptanych pnączy, a długa kurtka ledwo mu zasłaniała pośladki. Sylder poprawił leżący na widełkach drąg i podszedł. Zapalił papierosa i popatrzył na chłopca.

Trochu zimno, co?, zapytał.

Chłopiec spojrzał na niego. Zimnawo, przytaknął.

Wiszące ubranie zaczęło parować, jakby jakaś niezwykła poćwiartowana zwierzyna wędziła się na rożnie.

I wtedy Sylder spytał:

A co żeś zrobił ze szopem?

Ze szopem?

No. Ze szopem.

Szlag by to trafił!, zaklął chłopiec. W ogóle żem go nie widział.

O, zdziwił się Sylder, ale zdradził go ton głosu. A ja żem myślał, że i szopa przytaskasz!

Wiadomo!, odparł młody. Blask ogniska pełgał i tańczył mu po zębach.

Tamci dwaj grzali sobie ręce przy ogniu. Niższy dobrodusznie uśmiechał się do chłopca. Przyszedł drugi pies: nagle zjawił się na granicy między światłem a mrokiem i obwąchał parującą wełnę, minął ludzi, powłócząc łapami z nerwową obojętnością, z rozlazłą gracją gończego, i stanął nad Damką, która leżała z łbem na łapach, spokojnie wpatrzona w ogień. Trącił ją nosem, a ona podniosła łeb i spojrzała na niego smutnymi czerwonymi ślepiami. Stał tak przez chwilę, patrząc w przestrzeń, a potem zwinnie przeszedł nad suką i bezszelestnie wtopił się w czarną plecionkę gąszczu. Drugi mężczyzna podszedł do Damki i schylił się, żeby pogłaskać ją po łbie. Na rozszarpanym uchu krzepła krew.

Szop to dla łazika ciężka przeprawa, rzekł mężczyzna. Bo łazik ma za wielkie serce. Taki stary gończy jak ten tam, dodał, wskazując ręką ciemność, da se spokój, jak się robi za trudno. Ale mała łaziczka, powiedział, zwracając się wprost do suki, zwyczajnie ma za wielkie serce, no nie?

Kiedy chłopiec wysiadał z samochodu Syldera, miał jeszcze mokre ubranie. Pędź do domu, poradził

mu Sylder. Matka zrobi ci piekło?

Nie, odparł chłopiec. Już śpi.

Aha, powiedział Sylder. Jeszcze się kiedyś razem wybierzemy. Tylko nie pakuj się więcej do rzeki. No, na mnie już czas. Moja stara stoi na baczność i czeka.

Dobra, to na razie, pożegnał go chłopiec, puszczając drzwiczki.

Branoc, powiedział Sylder, kiedy się zatrząskiwały. Samochód odjechał, wlokąc za sobą powroźny pióropusz spalin, obok którego podrygiwało czerwoną plamą jedyne tylne światło. Chłopiec ruszył w stronę domu, ciemnego i archaicznego wśród kruszących się dębów, i przeszedł przez oszronione podwórko. Jego cień śmignął na daszek przybudówki, zwił z konaru i wspiął się wyżej, opleciony gałęziami, zanim nagle nie stanął na dachu domu. Potem ześlizgnął się po okapie i znikł w czarnym kwadracie okna na poddaszu.

III

Nieco po północy dwudziestego pierwszego grudnia zaczął padać śnieg. Rano pola leżały trupioblade w upiornie szarym świetle zimowego słońca, chwilowego i niewyraźnego, muśnięte fosforycznym blaskiem, jakby same emanowały światłością, a śnieg wciąż gęsto smużył się z nieba, zasłaniając woalem drzewa za rzeczką i całą górę, prószył miękko, jakże miękko, szeleszcząc lekko w bezmiarze białej ciszy.

Tamtego ranka starzec wstał wcześniej i zapatrzył się na dolinę. Panował zupełny bezruch. Śnieg nieustannie prószył. Kiedy pchnął siatkowe drzwi, stawily opór, utknawszy w jednej z zasp, które narosły tymczasem na werandzie i pod ścianami chaty. Stał w samej koszuli i patrzył, jak wielkie wafle śniegu suną skosem, omijając narożne słupki werandy. Było bardzo zimno. Ocknął się, kiedy na piecu z sykiem wykpiiała kawa.

Przez cały dzień się ściemniało, więc gdy nastala noc, nie sposób było powiedzieć, kiedy właściwie przyszła. Ale śnieg padał równie gęsto. Bezwietrzny, opatulony ciszą, puchosypki... Nikt nie wychodził z domu. Milczały wszystkie psy. Starzec zapalił lampę i usiadł przy piecu w solidnym fotelu na biegunach. Z podręcznej półki wybrał stareńki numer „Pola i Rzeki”, zwiotczały i sterany, o kartkach miękkich jak gienza, rozłożył go sobie na kolanach i zaczął przeglądać, chociaż znał prawie na pamięć artykuły, ilustracje, reklamy. Od czasu do czasu w ciemnościach pod podłogą coś szurało, skrobało: to Zwiad niespokojnie się wiercił w legowisku z gnijących worków.

Przez jakiś czas kartkował pismo, a potem wstał i poszedł do kuchni. Z szafki nad zlewem bez kranu zdjął słoje po melasie, prawie do wrębu wypełniony lepkiem ceglącym płynem, mętym jak rzadka glina. Odkręcił zakrętkę, wziął z kredensu czysty słoik po dżemie i nalał do pełna. Wrócił na fotel, ustawił słoik na szerokiej poręczy, znowu ułożył sobie na kolanach magazyn i zaczął lekko się kołysać w przód i w tył, a napój w słoiku przy każdym ruchu fotela leniwie chlupotał. Starzec co pewien czas upijał łyk, farbując sobie siwą szczecinę pod dolną wargą na ciemny kasztan. Lampa naftowa łagodnie świeciła ku własnemu odbiciu, miękkiemu jak korona kwiatu, rozplamienając czarną szybę w oknie, z którego na zakurzonej nici zwiślał skurczony, zasuszony pajak.

Starzec huśtał się, skarłały w masywnym fotelu. Wyglądał, jakby rozważał jakąś mroczną kwestię, omawianą na pożółkłych stronicach, które miał przed sobą.

Późnym rankiem zapiął kogut, a okna domu zarumieniły się łagodnym odcieniem różu. Starzec spał, aż

z okiennych szyb spęłzył kolor, a niebo na wschodzie spopieląło. Kogut znów zapiał, tym razem pytająco, i niebawem starzec drgnął, tak raptownie budząc się w fotelu, że strącił na podłogę słoik, który poturlał się z drewnianym stukotem.

Rozejrzył się po izbie tonącej w mętным półmroku. Był ranek, lampa i piec zgasły, więc przetarł oczy i rozmasował sobie plecy, cały zeszywniały, drżąc z zimna. Ostrożnie wstał, otworzył drzwiczki pieca i szturchnął pogrzebaczem popiół, miękki jak puch. Podszedł do okna i wyjrzał. Już nie padało. Zwiad stał po brzuch w śniegu, wpatrując się przekrwionymi ślepiami w fantastyczny krajobraz. Nad podwórkiem przemknął kardynał, jaskrawy na tle fasady sosen jak kropla krwi.

Było ich trzech. Przechodzili z dwoma psami obok domu zawianą drogą. Jeden niósł królika, trzymając go luźną dłońią za tylne skoki, tak że łeb zwierzęcia przy każdym kroku bezwładnie podrygiwał. Dwaj pozostali nieśli strzelby, a jednego z nich chłopiec znał. Nie widział go, odkąd we wrześnie zaczęła się szkoła.

Rozmawiali, gestykulując, i nie zauważyli, że stoi na podwórku, więc podszedł do drogi, kierując się w stronę skrzynki pocztowej i zanurzając stopy w olśniewających, nieskazitelnych zaspach. Ten, który niósł królika, miał na nogach owijacze z worków, sięgające do kolan i obwiązane szpagatem. Zobaczył, że chłopiec nadchodzi, a wtedy Warn odwrócił się, też go dostrzegł i pomachał mu ręką.

Hej, John Wesley.

Halo, odparł, zjeżdżając po pochyłości.

Poznał Warn Pulliama latem, kiedy po południu szedł nad staw i ujrzał sępa, kołującego nisko nad polem Tiptona, a potem zauważył, że ptakowi z jednej łapy zwisa sznurek. Ruszył przez pole w stronę grzbietu wzgórza i zobaczył Warn, który trzymał drugi koniec sznurka, podczas gdy sęp z leniwą obojętnością szybował mu nad głową.

Cześć, powitał go Warn.

Cześć, odpowiedział chłopiec, patrząc na sępa. Co robisz?

Nic, daję mu polatać. Nie umie się poderwać, póki nie ma wiatru, więc jak trochu zawiewa, to go puszczam.

Skąd żeś go wziął?, zapytał chłopiec. Od patrzenia na kołującego ptaka trochę go już rozboleł kark.

Złapałem w sidła. Chcesz mu się przypatrzeć?

No chyba.

Warn siłą zwałół sępa z nieba, wybierając sznurek mimo oporu ogromnych skrzydeł, rozcapierzonych i niezłomnych, i krąg za kręgiem zmuszał go do zniżenia lotu, aż ściągnął na ziemię. Ptak chwilę pokicał na zdrowej łapie i wreszcie znieruchomiał, bez zmrużenia powiek wlepiając w nich zadziorne, paciorkowate ślepie, osadzone w tysej, obrzydliwej czaszce.

To zwyczajny ściernik, wyjaśnił Warn. Poznać po czerwonym łbie.

Gdzie go trzymiesz?

W wędzarni, odparł Warn.

Nikom to nie przeszkadza?

Nie. Stara się piekliła, ale zem ją postraszył, że go przyniosę do domu i nauczę siedzieć przy stole, to się trochę

uspokoila. Uważaj, nie podchodź za blisko, bo cię obrzyga. Raz narzygał na Kamula i Kamul chyba do tej pory jeszcze do siebie nie doszedł, bo wciąż nie chce mieć z nim nic do czynienia. Chyba w ogóle nikt prócz mnie za nim nie przepada. Lubię go, bo wredny z niego skurwiol, a brzydal jeszcze gorszy. Jak się

nazywasz?

Oba psy były z rasy *beagle*, krótkonogie i rozgorączkowane. Skakały w śniegu głębokim po pierś, co chwila się zapadając, to znów ryły nosami, nurkując w nim aż po uszy i machając ogonami, a kiedy potem unosiły łby, miały białe brwi i wąsy, z którymi wyglądały jak dwaj mali staruszkowie, siwolice gnomy.

Gdzie idziecie?, zapytał ich.

Do kamieniołomu, odparł Warn. Chodź z nami. Mam tam w jamie skunksa, co go muszę wyciągnąć. To jest Johnny Romines, dodał, wskazując wysokiego chłopaka ze strzelbą, a to Boog.

Hej, przywitał ich chłopiec. Tamci skinęli głowami.

Mamy królika, powiedział Boog, podnosząc do góry ośnieżoną, sztywniejącą zdobycz. Johnny zaszczerlił go tam na polu.

Psy zataczały koła wokół chłopca, obwąchując mankiety jego spodni. To psy Johnny'ego, wyjaśnił Boog. Na króliki. Z rasy bajgli.

Bigli, durniu, poprawił go Warn.

No właśnie, rzekł Boog. Tak na nie mówią.

A gdzie Kamul?, spytał chłopiec.

Leży pod domem i liże łapę, bo rano niechcąc wlaź w śnieg. Nie idzie go stamtąd ruszyć. A zresztą nie da się nim poszczuć królików. To pies na niedźwiedzie.

Ja też mam psa, pochwalił się chłopiec. Pół szopłoch, pół łazik. Najlepszy pies na szopy, jaki jest. Szli drogą, poprzedzani przez psy, które bawiły się i baraszkowały.

Polujesz z nim?, spytał Boog.

Nie. To jeszcze szczeniak. Trzymam go u jednego gościa przy drodze przez Dolinę Hendersona, co hoduje psy. To on mi go dał.

I bez tego dość masz wymówek, żeby latać po nocach jak jaki dzikus. Tak mu powiedziała, kiedy stał w kuchni ze szczeniakiem pod pachą. Ostra musi być z niej kobita, stwierdził Sylder, gdy chłopiec odniósł mu pieska, zawstydzony, i wytłumaczył, czemu nie może go zatrzymać. Ale mniejsza o to. I tak jest twój. Zostaw go tu, a jak tylko będziesz chciał, przyjdź go se zabrać.

A ja mam w domu muszkieta po pradziadku, rzekł Boog. Jest prawie taki długi, jak ja wysoki.

Zeszli z drogi i przemierzili ugór, tu i ówdzie porośnięty karłowatymi cedrami. Psy szukały tropu, a Johnny Romines je podszczuwał. On i Warn deptali chrust, zalegający w wąskim skalistym wąwozie, i przepatrywali zamrożone rowy melioracyjne, ale nie wyskoczył ani jeden królik. Przeleźli przez płot, wyszli na tory kolejowe i ruszyli po podkładach na południe wśród białych watowanych pól, połyskujących w słońcu, a w migoczącym powietrzu miriadami błękitnych kryształków rozwiewały się resztki mgły.

Zatrzymali się przy jazie i ześlizgnęli po pochyłym brzegu, żeby sprawdzić, czy lód mocny. Był czarny i

wyglądał złowrogo, poprządkany patykami i zielskiem. Psy podeszły na sam skraj i skomlały, niepewnie macając łapami powierzchnię. Po pewnym czasie one także wybiegły na środek i zaczęły wirować i ślizgać się, bawiąc się w berka i zarzucając na wirażach zadami. Boog w swoich owijaczach nie mógł się poślizgać, więc siedział na brzegu, trzymał królika i przyglądał się kolegom. Potem rozpałił ognisko, ułożywszy najpierw warstwę kory orzesznika, na której spiętrzył uschłe gałęzie cedru, a wtedy wszyscy podeszli i usiedli wokół ognia.

To tutaj Johnny złapał ryczyzabę, powiedział Warn. Przy końcu tamtej kłody. Za dupę w łapkę na myszy.

A jak?, spytał John Wesley.

Założył się ze mną o colę, że ją złapie. Widziałem, jak przechodzi koło domu z łapką na grubym drucie. Powiedział, że chce złapać rycyzabę. Przyszliśmy tutaj i Johnny zastawił łapkę na końcu tamtej kłody i poszliśmy do sklepu. Ja ztem myślałem, że biedakowi pomieszało się w tym jego ptasim mózdzku...

Johnny Romines wyszczerzył zęby w uśmiechu. Powiedział wszystkim, co byli wtenczas w sklepie, wtrącił.

No właśnie, i o mało nie popękaliśmy ze śmiechu. A ten skurwiel założył się ze mną o colę, że zanim wrócimy, żaba się złapie, no i miał rację. Przytrzymało jej samą dupę. Do tej pory ztem z tym do ładu nie doszedł. A on się uparł wrócić ze mną do sklepu z łapką, żabą i ze wszystkim, żebyśmy mu postawili tę colę.

To stara indiańska sztuczka, powiedział Boog.

Znaczy się co?

Układanie kory, żeby rozpalić ogień.

Kiedy doszedł do płotu, znów chwilę odpoczął, zdjął rękawice i pochuchał w stulone dłonie. Po zboczu góry i dolinie niósł się huk wystrzałów, rozchodząc się echem w coraz cichszych repetycjach. Drzewa w lodowej polewie wyglądały, jakby nie miały gałęzi, i tylko czarne pnie wznosiły się w koronkowych aureolach świetlistych koralowców, które migotały na wietrze, dźwięcząc nieustannie niczym dzwoneczki miniaturowego karylionu. To tu, to tam padał grad połyskliwych odłamków lodu, znacząc śnieg niezrozumiałymi runami. Coś przemknęło błyskawicznie, prawie niewidzialnie, aby lekko dziobnąć korę topoli nieco nad starcem. Zaraz potem dał się słyszeć cichy kłaps i skowyt strzelby.

Starzec nie zwrócił na to uwagi. Wciągnął rękawice, chwycił dłonią górny drut i przelazł nad nim. Słupki w dolnej partii zбочa dyndały na drutach jak drewnienka w pajęczynie, bo spływająca po zboczu woda już dawno wypłukała je z gleby. Jakieś psy podążały za tropem i po chwili ujrzały je w dole, gdy wychynęły zza ostatniego pasma posępnych drzew, które sięgało w głąb przekopu i łączyło się z ugorami. Pomniejszone przez oddalenie ogary wolno posuwały się naprzód, a ich dwugłos brzmiał cicho jak dziecięca trąbka. Zeszły do przekopu, wyroiły się z niego po drugiej stronie i ruszyły przez nieuprawne pola, a ich brązowo-białe sylwetki zacierały się w cukiernianym krajobrazie brył błota i śniegu, i widać było tylko sam ruch, jakby ziemia dawała znaki, że niebawem się wypiętrzy.

Szedł wolnym krokiem, brnąc w głębszym już teraz śniegu, wzdymającym się zaspami wśród wiciokrzewu, który chylił się pod ciężarem białego puchu, gdzieniegdzie zagradzając ścieżkę. Starzec musiał niekiedy omijać je od dołu, chwiejnie krocząc po pochyłości na kantach butów i wydeptując w śnieżnej bieli mokre łaty liści, czarnych jak bagienna woda i nawet nie zamarznionych. Gdy dotarł na szczyt góry, tam gdzie droga skręcała białym łukiem między drzewa, przystanął, żeby otrząść z ramion śnieg i wytrząsnąć z mankietów spodni bryłki lodu. Przebrnął jeszcze mniej więcej sto metrów przez zasy i znów zagłębił się w las, trzymając w dłoni ogromny nóż bez rękojeści, wykuty ze starego pilnika. Człapał zgarbiony, oddalając się wśród młodych drzewek niczym jakieś widziadło, dziwny bożonarodzeniowy skrytobójca.

Po kwadransie wychynął na tę samą drogę, wciąż z nożem w ręku, wlokąc za sobą mały cedr. Na zakręcie poniżej sadu przystanął i spojrzał wstecz, po czym ukrył nóż w zakamarkach kurtki, a drzewko zarzucił na ramię. Nieco dalej skręcił w prawo i wszedł z powrotem w las zatartą ścieżką, czy też duktem. Tym razem znikł tylko na kilka minut. Kiedy znów się wyłonił, pozbywszy się drzewka, wrócił po własnych śladach tam, gdzie wyszedł na drogę, i

po raz kolejny skrył się w lesie, schodząc po zboczu tą samą trasą, którą przybył.

W kamieniołomie skakali po stertach wapiennego gruzu. Warn prowadził, aż doszli do jaskini.

Jakaś mikra, stwierdził Johnny Romines.

W środku się powiększa, powiedział Warn. Tylko go tutaj powieszę i zara wam pokażę. Wklinował skunksa w rozwidlenie gałęzi młodego drzewka i znikł pod ziemią, przelazłszy na czworakach przez niewielki otwór pod głazami. Kolejno poszli w jego ślady, chociaż sztywne od mrozu pokrzywy u wejścia do pieczary zawadzały z jadowitym chrobotem o nogawki spodni. W środku poświecili sobie zapalkami, a kiedy Warn wyjął z jakiejś szczeliny ogarek świecy i zapalił go, z ciemności wyłoniły się zwapniałe skały: sklepienie z czymś na kształt ludzkich migdałków i falista wklęsłość. Wyglądały, jakby niegdyś się nadtopiły i z powrotem zamarły, zniekształcone i koślawe. Ich cienie groźnie się zakrzywiały, pełznąć w górę po ścianach wśród grud wyschniętych odchodów nietoperzy. Chłopcy oglądali wyryte w miękkim, białym jak twaróg kamieniu inskrypcje: serca i imiona, zamierzcłe daty, prostackie erotyczne hieroglify, takie jak bulwiasty członek i dziwna pochwa rodem z chłopięcej wyobraźni, przypominająca raczej stonogę.

Po przecinającym dno jaskini pasie czerwonej gliny przeszli do większej komnaty, pohukując do wtóru nawarstwionym echem własnych głosów, a ich śmiech powracał do nich zniekształcony i głuchy. Nieustannie kapała woda, cicho pluszcząc i rozpryskując się o kamienie. Psy nie oddalały się od ludzi, nerwowo stąpając.

To jest największa izba, powiedział Warn. Tam dalej mam jeszcze jedną tajną, schowaną za głazem, co tak zasłania wejście, że go wcale nie widać. Jest jeszcze tunel, który biegnie w głąb, ale nigdy żem do samego końca nie doszedł. Ni mam pojęcia, dokąd prowadzi.

Boog przywłókł stertę suchych gałęzi i niebawem rozpalili ognisko pośrodku wielkiej komnaty. Tak samo robili jaskiniowcy, powiedział Boog.

Oni tu dawniej żyli, dodał Warn. I prestoryczne zwierzęta. Po tamtej stronie góry sterczy ze skały kieł, długachny jak ludzka gira. Nijak nie da rady do niego się wdrapać, chyba żeby mieć liny albo co.

Johnny Romines wyjął paczkę tytoniu i zrobił skręta. Boog wziął od niego tytoń i też sobie skręcił. Siedzieli i palili, pociągając długie, powolne hausty dymu. Kim byś wolał być?, spytał Boog Johna Wesleya. Białym czy Indianem?

A bo ja wiem, odparł chłopiec. Chyba białym. Oni zawsze dawali wciry Indianom.

Boog strącił popiół małym palcem. Mówisz?, powiedział. Nigdy żem tak się na to nie patrzył.

Ja mam w sobie trochu Indian, przyznał Johnny Romines.

A Boog to półczarnuch, powiedział Warn.

Nie moja wina, odparł Boog.

Gadałeś, że czarnuchy nie gorsze od białych.

A w życiu! Mówiłem, że niektóre czarnuchy są nie gorsze niż niektórzy biali.

Tak żeś gadał?

No.

Jeden mój wujek należał do Białych Kapturów, powiedział Johnny Romines. Szkoda, żeście nie słyszeli, jak wygadywał na czarnuchów. Że to krewniaki małp.

John Wesley nic na to nie powiedział. Nie znał osobiście żadnego czarnucha.

Weź opowiedz Johnowi Wesleyowi, jak wysadziliśmy w powietrze ptaki, rzekł Warn. To było w zeszłym roku na Gwiazdkę, wyjaśnił. Tata kupił mu kiedyś kolejkę elektryczną i puszczała ją jego

młodszemu bratu.

Zatem Johnny Romines opowiedział, nie spiesząc się i od czasu do czasu uśmiechając. Podłączyli transformator kolejki do kapiszonu, który ukradli z baraku przy kamieniołomach, i zagrzebali ten kapiszon w śniegu.

Wzięliśmy długi kawał kabla, powiedział Johnny, i siedliśmy w garażu z nastawionym transformatorem. Warn mówił, że nie zatrybi. Ale rozsypaliśmy okruchy chleba na podwórku, tam gdzie leżał zakitany kapiszon, i zara ptaki się zleciały, aż nie było spod nich widać śniegu. Kazałem Warnowi przełożyć wajchę.

Ale dupło, niech to szlag!, powiedział Warn. Przełożyłem wajchę, a tu bum! Z podwórza skoczyło w górę wielkie koło ze śniegu, jakby prasnął we wodę płaskim kamieniem, i ptaki poleciały we wszystkie strony, a głównie do góry. Pamiętam, jak wybiegłimy z garażu, a one leżały w kawałkach, porozrzucone po podwórku, i zwisały z drzew. No i

pióra. Boże, w życiu żem nie widział tyle piór. Jeszcze na drugi dzień rano spadały na ziemię.

Boziu!, szepnął Boog. Szkoda, żem tego nie widział.

John Wesley się rozkaślał. Trochu się tu nakopciło, nie?, powiedział. Dym kłębił im się nad głowami i opadał w dół, aż przesłonił ściany jaskini.

No, przytaknął Warn. Wstał, znikając w dymie. Ja pierniczę!, zaklął. Spadajmy stąd.

Jaskiniowcy tak samo kopcili, powiedział Boog.

Do diabła z jaskiniowcami, zara się upieczemy.

Czołgając się i potykając, ruszyli do wyjścia z jaskini – ruchomej plamy bladego światła, która ruszała się zygzakiem gdzieś za grzywaczami dymu. Kiedy wyszli ze skalistej krypty, oczy mieli przekrwione i zażawione, a kurtki oblepione z przodu śliskim czerwonym błotem. Gdy otarli łyzy i znów zaczęli coś widzieć, stwierdzili, że są w jakimś wulkanicznym, podziemnym przedpieklu, bo cały las wokół kamieniołomu spowijały mgła i dym, kipiące ze wszystkich szczelin i rozpadlin pośród skał.

Pan Eller stał za ladą i patrzył, jak wchodzi. Z ubrań mężczyzn buchała para, gdy otupawszy buty ze śnieżnej brei, stawali przy piecu i skostniałymi palcami skręcali papierosy, a piec strzelał i świstał, bo palono w nim zawilgłym od śniegu węglem. Podniecone zimnem kobiety z namysłem załatwiały sprawunki, niektóre wlokły ze sobą dzieci, kryjące się w fałdach matczynych spódnic. Gdy wychodziły, młodzi chłopcy z dubeltówkami i gwintówkami kupowali naboje, ale nie na pudełka, tylko po cztery albo pięć, wprowadzając w ogólny harmider stanowczy, wręcz bojowy nastrój. Sklepiarz przyjmował pieniądze, dzwoniąc kasą, lub zapisywał w kajecie kolejny dług.

Odór dymu i zimna, mokrej odzieży i gotującego się mięsa. Znów padał śnieg, a oni patrzyli, jak sypie. Boże, westchnął pan Eller. Czy kiedyś wreszcie przestanie?

Boog i Johnny Romines weszli z królikiem i wzięli sobie po coli.

Gdzieś go zdybał, Johnny?, spytał pan Eller.

Nad rzeką.

Warn Pulliam złapał skunksa w jamie, oznajmił Boog.

Naprawdę? I jak tera pachnie?

Nie za bardzo.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Tłusty, powiedział jeden, skinieniem głowy wskazując królika. Jak twoje psiaki? Radzą se?

Galante z nich psiny na króle, rzekł Johnny. Wypłoszyły jeszcze dwa, ale mi nie wyszły na strzał.

To są bigle, wtrącił Boog.

Starzec wyszedł na szosę przy przełęczy, tam gdzie dawniej stała karczma Pod Zieloną Muchą. Nie został po niej żaden ślad prócz szerniałego, odartego z gałęzi pnia sosny, który sterczał z przepaści. Znow padł śnieg: to zasnuwając dolinę białym woalem, to mknąc w porywach wiatru przez przełęcz, lekko szczypał starca w twarz. On zaś schodził, aż dotarł do Rozstajnej Drogi, doszedł nią do Skoczki i w końcu do domu. Z drzewa zwisała na cienkim drucie głową w dół nieduża sówka, wydrążona przez czas i nieważka – same spopielałe pióra i fletnia kości. Wisiała w rozpaczliwie modlitewnej pozie, a jej wyschnięte szpony zaciskały się wokół drutu. Patrzyła w dół ciemnymi, pustymi oczodołami, łagodnie kołysząc się w podmuchach zajadłego wichru.

Przy końcu kotliny, tam gdzie nad źródłem stała spizarka, przystanęli, żeby się napić. Zielona woda tryskała pomiędzy głazów, a tuż nad jej powierzchnią sterczał ząbkowany obrębek lodu.

Sam miałem tutaj zastawić, powiedział Warn, ale za dużo luda się kręci, więc ktoś by mi zakosił sidła. Chodź, pokażę ci, gdzie mam swoje w przepuście. Zaczerpnął jeszcze garść lodowatej wody, od której grabiały ręce, wziął strzelbę i sidła, a skunksa dał do niesienia młodszemu chłopcu. Na dworze wcale tak strasznie nie zajeżdża, powiedział. Ale stara wyskoczy ze skóry, jak mnie zniucha.

Wychynęli z lasu i przeszli na drugą stronę drogi w miejscu, gdzie przepływał pod nią strumyk. Warn przykleknął na jedno kolano i zajrzał do przepustu, przez który cienką strużką sączyła się źródłana woda.

Nigdy nie zamarza, powiedział. Złapałem tu raz piżmaka, ale tera chcę norkę. Widzisz? Wepchłem sidła tak głęboko, żeby nikt nie zauważył.

Chłopiec zajrzał w ciemny tunel, w którym woda wolno toczyła się po falistej blasze i przepływała nad sidłami, rozlewając się przy nich nieco szerszą strugą.

Na jesieni widziałem tu ślady norek i niedawno też, powiedział Warn. Nad Bydłęcym Potokiem tak samo są norki. Było ich parę koło Czerwonej Gałęzi, ale się skończyły, więc już tam nie zastawiam. No co, idziemy?

A wiesz, że żadne auto jeszcze tędy nie przejeżdżało?, dodał po chwili. W kotlinie mało kto mieszka i prawie nikt ni ma samochodu. Widzisz ten dom tam wyżej?

Chłopiec spojrział we wskazanym kierunku. W pewnym oddaleniu od drogi stała przysadzista budowla z dwuspadowym dachem, nad którym unosiła się cienka smużka dymu, kreśląc wokół szczytu komina pętle i spirale.

Garland Hobie tam mieszka, wyjaśnił Warn. Jak będziesz mu się kręcił koło chałupy, to ci dupę odszczeli.

A dlaczego?

Dlatego bo pędzi whisky, powiedział Warn. On i jego stara. Chodź. Coś ci pokażę.

Za zakrętem stał stary drewniany kościółek. Warn wskazał go palcem. Widzisz?, spytał. No więc to był kościół czarnuchów. Mieszkało ich trochę w kotlinie, no to pobudowali se kościół i dalej śpiewać i wydzierać się po nocach, aż stary Hobie, co tera już nie żyje, przegnał ich wszystkich co do jednego. Zmarło mu się, zanim ty i ja żeśmy się urodzili, a

żaden czarnuch do tej pory tu tej się nie wrócił. Tak ich tępił stary Hobie. Ef był podobno od niego jeszcze wredniejszy. Parę lat temu umarł w sklepie, zara jak tylko wyszedł z Krzaczastej Góry. Garland też wredny jak diabli. Jak go kiedyś naszła w domu policja, wydał swoją starą, żeby ją wzięli do więzienia. Własną matkę. Taki z niego drań. A znowuż tam na górze mieszka wujek Ather, dodał Warn, kiwnięciem

głowy wskazując przed siebie. Porzanny z niego starowina.

To twój wujek?

Nie. On i dziadek Pulliam razem robili podkłady kolejowe dla K S & E*, więc mój stary zawsze mówił mu wuju. Stareńki już jest. Jego pies ma prawie tyle lat, co ty i ja razem.

* Knoxville, Sevierville & Eastern Railway (przyp. tłum.).

No to faktycznie stary, zgodził się chłopiec. A ile lat ma ten wuj, jak mu tam...

Wuj Ather? Najmniej dziewięćdziesiąt. Starszy jest niż dziadek Pulliam, a tata dziadka Pulliama walczył na wojnie domowej. Miał kawał ziemi w Knox, a jak nastał pokój, zabrali mu ją, że niby był konfederat. Dziadek Pulliam powiada, że nie dali głosować nikomu oprócz czarnuchów i Jankesów.

A to z jakiej paki?

Chyba z takiej, że wtenczas tu była Północ.

Kiedy starzec późnym popołudniem zmiatał śnieg z frontowej werandy, zobaczył, że drogą nadchodzą dwie drobne figurki – ciemne na tle nieskalanie białych połaci – przedzierając się przez zaspę. Jedna niosła martwego skunksa. Doszły do jego skrzynki na listy i ta wyższa zawołała, podnosząc rękę: Hej, wujku Ather!

Starzec zmrużył mlecznoniebieskie oczy, oślepione śnieżnym odblaskiem. Wnuk Hirma Pulliama. Uśmiechnął się i zaprosił skinieniem, więc zaczęli z mozołem drapać się pod górę, uginając nogi, żeby utrzymać równowagę na śniegu. Chłopak od Pulliamów podpierał się strzelbą, a ten drugi co chwila się ślizgał, wywijając skunksem.

Siedzieli przy piecu w samych skarpetach, buchających parą. Starzec zmarszczył nos i zaśmiał się.

Chyba żeś się boksował z tym śmierdzielem, powiedział.

Śmierdzi wam?, spytał Warn. Bo mnie nie.

Musiał wleźć do jamy, żeby go wywlec, rzekł John Wesley.

Za daleko się przczołałem i żem go przegapił, zaczął opowiadać Warn. Myślałem, że zaszył się hen głęboko, aż tu nagle widzę, że drut skręca w boczną jamkę, ale jużem ją wtenczas minął. Byłem zgięty wpół i nie bardzo miałem jak się obrócić, ale zara doszłem do miejsca, gdzie mogłem wsadzić do jamki łuczywo i zobaczyłem jego ślepie. Obróciłem szczelbę i wycelowałem, jak się dało, a jak żem szczelił, to o mało mi bębenki w uszach nie popękały.

Słyszeliśmy, jak szczelił, wtrącił John Wesley. Ze dworu było tylko słyhać, jakby puknął ze starego korkowca albo co.

No i jak żem tak puknął, to i on po swojemu dał ognia, a wtedy w jamie zrobił się niezły czad. Dałem dyla tyłkiem naprzód i chwilę odczekałem, a potem wlażem z powrotem, chyciłem za drut i go wyciągiem, no i się okazało, że dostał prosto między ślipia.

Starzec się roześmiał.

To mi przypomina, jak jednego razu polowaliśmy na szopa, powiedział. Szop wlażł na drzewo i jeden chłop wziął i go poszczelił, no i zwierzak zwiśł z gałęzi. Przytrzymałem latarnię, a ten, co szczelał, zaczął się wdrapywać. I jak wlażł na tą gałąź, szop ożył i do niego z zębami. Chłopina poczuł, że nie przelewki, ale zamiast na dół, poleciał na wyższą gałąź i usiadł. Co tylko próbował zleźć, szop zara znowuż do niego, a warczał jak niedźwiedź. Chłop się rozsierzdził i uparł się, że tak czy owak zlezie. No i zaczął złazić. Krzyknął nam, co żeśmy stali na dole, że da szopowi kopa i go zrzuci z gałęzi. Świciliśmy na niego

latarnią, więc wszystkom dokładnie widział. Chłop próbował przykopać szopowi, a ten za którąś razą wczepił mu się zębami w buta. Nigdy żem takich wyzwisk nie słyszał. Chłop zaczął wymachiwać nogą z szopem na czubku buta i tak się tym zajął, że trochu zapomniał trzymać się drzewa. Wtem jeden z nas woła: Uwważaj!, no i oba rymy na ziemię. Chłopina spadł jak worek paszy i nic tylko leżał, a psy rzuciły się na szopa i

zaczęły łązić chłopu po gębie i się gryźć, póki żeśmy ich kopniakami nie rozgonili. Myślimy, że już po nim, ale zara zaczął trochu zipać i mrygać oczami, więc widzimy, że nic mu nie jest, tylko dech mu zaparło, no i strachu się najadł do syta. Zdrowośmy się uśmiali, a on usiadł i dalej nas kłać, ale równy był z niego chłop i chyba wcale nie miał nam za złe. Pamiętam, że przez wiele lat sam o tej przygodzie opowiadał i śmiał się z niej razem ze wszystkimi. Starzec westchnął. Fest się dawniej w tych stronach polowało na szopy, powiedział.

A kuglary?, spytał Warn. Czy to kuglar tak się tutej kiedyś darł?

Starzec przechylił się do tyłu z bujanym fotelem, a na jego twarzy wśród fałd skóry zagościł roztropny uśmiech. Tak, o tak, zaczął. No chyba, pamiętam jak dziś. Będzie z dziesięć lat temu. Umilkł na chwilę, jakby z satyryczną rozkoszą wspominał jakiś niegdysiejszy czyn. Założył nogę na nogę i pochylił się. No chyba, powtórzył. Sam żem słyszał. Żeby to raz. Przez całe jedno lato nieźle ludzi drażnił i straszyl. Taa, ludziska spekulowały, aż im się z głów dymiło.

A jaki miał głos?, zapytał chłopiec.

O, rozeźlony jak nie wiem co...

Myślicie, że to był kuglar?

Nie, odparł starzec.

Po chwili Warn zapytał: A jak nie kuglar, to co?

Starzec zaczął lekko się bujać z dobrotliwą miną, opanowany i mądry niczym sędziwy hierofant, delektujący się ulubioną prawdą... Znieruchomiał i spojrzał na chłopców z góry. No, powiem wam, rzekł. To był puszczyk.

Przyjrzał się ich rozczarowanym minom, jeszcze pełnym nadziei i niedowierzania. Tak, powiedział. Puszczyk. Z tych wielkich. W letnie wieczory wrzeszczał i darł się na tej górze całkiem jak jaki kuglar. Jedne ludziska gadali, że to kuglar, a inne, że nie kuglar. Ale ja od razu żem wiedział, co to takie, więc im dawałem spekulować i się spierać do woli... Pamiętam, jak jednego wieczoru zaszedłem do sklepu po sprawunki, był schyłek lata i już prawie ciemno, chyba koło ósmej, kiedy zaczął wrzeszczyć. Ani żem się słowem nie odezwał. A on za małą chwilkę znowuż jak nie wrzaśnie. Powiadam wam, chłopcy, w sklepie wszystko ucichło, aż było słychać mrówki w słojach z cukierkami. Ale ja nic nie daję po sobie poznać, więc po chwili Bob Kirby, bo on też tam był, woła do mnie: Hej, wujku Ather, chcecie dzisiaj przejść przez górę?

No tom się do niego obrócił, niby to zaskoczony, i powiadam: A jak! Człek musi przecie kiedyś wrócić do domu, i to najlepszą drogą. Czemu się mnie o to pytasz?

A on tylko się na mnie spojrzał, a potem jakby trochu uśmiechnął i się pyta: Nie słyszycie kuglara, czy jak?

No chyba, że słyszę, ja mu na to. Głuchy by usłyszał.

Bob Kirby pewnikiem pomyślał, że już mnie ma, bo spytał się: A nie boicie się kuglarów, wujku Ather?

Co mam się nie bać, mówię. Każdy by się bał, chyba że głupi, przynajmniej tych dorosłych.

Potem już nic żem nie gadał, tylko podeszedłem do skrzynki z colą, wzięłem se flaszkę i piję, raz w raz

popatrując na zegarek. Widziałem, że Bob Kirby mocno się zacukał i parę razy spróbował ukradkiem się szczyrzyć do kompanów, tylko że oni wcale się nie szczyrzyli i chyba byli bardziej zacukani od niego. No więc on też nic nie gadał, a po jakimś czasie jeden młodziak wyrwał się do mnie z pytaniem, czy ten, co tam na górze się piekli, nie jest aby dorosły. A on jak raz znowuż się odezwał, a ja żem się spojrział na młodziaka i powiadam: Mój ty Boże, nie wiem, synu, co byś zrobił, jakby tak dorosły dał głos. Ten tutej to jeszcze całkiem nic. Chociaż prawda, że ni ma już dzisiaj takich kuglarów, jakie dawniej bywały. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu śpiewały po całych górach od zmierzchu do świtania, aż człek tak do nich przywykał, że nie mógł spać bez tego ich wycia. Ale żeby naprawdę zdrowo zamieszać, do tego trza tęgiego kuglara, kocura co się zowie. Ten tam to jeszcze mikrzak. Rzekłem mu tak i jak raz ta sowa znowuż zaskrzeczyła, niecałe sto metrów od nas, a ja widziałem, że temu młodziakowi włos się zjeżył na karku i Bobowi Kirby'emu też.

Dopiłem colę, odstawiłem flaszkę i niby to zbieram się do wyjścia, a tu Kirby pyta się, znowuż niby to z uśmiechem: Znaczy się, wujku Ather, umiecie odróżnić jednego kuglara od innego po głosie?

No, powiadam mu, tera już chyba nie tak akuratnie jak dawniej. Na to wyszczerzył się od ucha do ucha.

Ale parę nocy temu, powiedziałem mu jeszcze, widziałem tego tam, więc chyba ni ma strachu.

Wszyscy się na mnie wtenczas rzucili z pytaniami, jaki był duży i w ogóle. Już wychodziłem, ale myślę se, a niech mają o czym myśleć, jak będą wracać, więc żem się do nich obrócił i mówię: To tylko mały kicius. Będzie parę dni temu, zanim się jeszcze zaczęło na dobre ściemniać, tutej na przełęczy przemknął mi przez drogę. Stary Zwiad jak raz leżał na betonie. Ostatnio coś podupał, ale dawniej sięgał mi sporo nad kolano, aż można było go dosiąść, a ważył więcej jak pięćdziesiąt kilo. No tom się rozejrzał i widzę, że psisko leży, więc pokazuję na niego palcem i mówię: Niewiele jest większy od Zwiada. Życzylem im jeszcze dobrej nocy i wyszłem.

Po szybkach za fotelem starca sunęło w dół słońce, podświetlając od tyłu jego głowę i nadając siwym włosom proroczą przejrzystość. Niebawem wstał, podszedł do stołu i zapalił lampę.

Skosztowalibyście, chłopcy... Zaraz, zaraz, chwilę. Przeprosił ich na moment i poczłapał do kuchni, z której wkrótce dobiegło stukanie drzwiczek kredensu i brzęk naczyń. Po chwili starzec przyniósł dwie szklanki i kubek oraz zakręcany słoć z jakimś ciemnoczerwonym płynem. Macie, powiedział, wręczając im po szklance. Otworzył słoć i nalał chłopcom gęstego, ciemnego jak jodyna napoju o złowieszczym wyglądzie. Domowe wino, rzekł. Na pewno nigdy żeście jeszcze nie próbowali.

Wino perliło się w łagodnym blasku lampy, czarne i złowróźbne. Starzec usiadł w bujanym fotelu i nalał sobie do kubka, patrząc, jak młodzi kosztują napoju.

Pyszności, powiedział Warn.

No, przytaknął chłopiec.

Sącyli wino z taką powagą, jakby przystępowali do komunii, niczym zgromadzeni przy ognisku w jaskini troglodyci. Raptowny przeciąg zachwiał płomieniem lampy, a na ścianie zakołysały się do taktu niedźwiedziowate, ocieężałe cienie.

Wujku Ather, naprawdę żyły wtenczas kuglary?, spytał chłopiec.

Warn zwrócił ku starcowi twarz, na której światło lampy wytrawiło pomarańczowo-czarną maskę arlekina. Wujek mu opowie o tamtym, poprosił. O tym, co go wujek miał.

Wuj Ather nie dał się długo prosić. A jakże, zaczął opowieść, zadzierając podbródek, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Pewnie, że żyły, dawno temu. Jak byłem młody i robiłem przy budowie kolei, to

jednego złapałem.

Złapaliście?

Ano. Tajemniczo się uśmiechnął. Pewnie, że tak. Gołymi rękami, a na dowód zostały mi blizny. Pokazał słuchaczom kciuk, suchy jak wygarbowana skóra. Chłopiec zsunął się z krzesła i z uwagą pochylił nad dłońią starca.

O, tutaj, rzekł wuj Ather, wskazując miejsce u nasady kciuka. Widzisz?

Tak, odparł chłopiec. Skóra była pomarszczona jak stara torba. Każda spośród licznych przecinających się linii mogła być blizną. Młody wrócił na krzesło, a starzec gardłowo zachichotał.

Taa, powiedział. Wściekła była z niego sztuka. Ważył chyba ze dwa i pół kila.

Warn cicho się zaśmiał. Chłopiec podniósł głowę. Starzec siedział w bujanym fotelu z zadowoloną, a zarazem psotną miną i roztańczonymi oczami.

Bo wiecie, rzekł. To było tak. W jednym takim miejscu, co je zwali Gęsią Przełęczą, w stronę doliny Wearsa, raz podkładaliśmy dynamit. Bill Munroe, co już nie żyje, poszedł na górę, jak tylko przestały spadać kamienie, i mnie zawołał, żebym też poszedł i się popatrzył. W powietrzu ciągle jeszcze było pełno dymu i kurzu, więc mało co żem widział, ale podeszłem kawałek i zobaczyłem, że Bill coś trzymie w rękach. Wyglądało toto jak świstak abo mały piesek. Podlażłem bliżej i patrzę. Nigdy żem wcześniej czegoś takiego nie widział, a ono było całe poszarpane i zakrwawione, ale od razu żem się na nim poznał. Bill nijak nie potrafił się rozeznać. A to był mały kuglarek.

Poszliśmy pod górę między głązy i zara znaleźliśmy drugiego. Był mniej poszarpany niż tamten, więc Bill wykankulował, że nie tak daleko go odrzuciło jak tego pierwszego, znaczy się idziemy w dobrą stronę. No i miał nosa, bo za chwilę doszliśmy do ichniej jamy. Z przodu cała była rozwalona, a dookoła na jakie półtora metra walały się kości. W środku pod kamieniami znaleźliśmy trzecie młode.

Było żywe i miauczało całkiem jak kot.

Stary Bill trochu się cofnął i powiedział, że stara kuglarzyca może gdzieś niedaleko się czaić. Byłem od niego młodszy i widać głupszy, bo żem wlażł do jamy i chyciłem jedno małe za kark. I wtedy wbiło mi kły w kciuk. Zara żem je puścił, mówię wam. Chwilę żem pomyślał, ściągiem koszulę, zawinałem je w nią i zaniestem do domu.

Starzec przerwał opowieść i wyjął z wielkiej papierowej torby prymkę tytoniu. Mieszkałem wtenczas niecałe osiem kilometrów w tamtą stronę od Sevierville, dodał. Kupiłem... Wy pewnie nie żujecie, chłopcy? Nie... No więc kupiłem gospodarstwo od niejakiego Deloziera. Osiem hektarów, głównie stromizny, chałupa też byle jaka, do tego stara stodoła... Miałem żonę i pierwszy raz w życiu gospodarzyłem na swoim, więc pewnie byłem, można by rzec, z tego dumny. Chowałem świnię i kury, a później jeszcze krowę i starego muła, posiałem trochu kukurydzy... Nigdy żem nic nie miał na własność i tera też nic ni mam, ale wtedy myślałem, że to już jakiś początek. Byłem niewiele starszy od was, miałem chyba z dziewiętnaście lat. Ale o czym to ja... Aha, o tym małym kuglarze. Przyniesłem go do domu i dałem Ellen. Zara go polubiła, trzymała we pudle, poiła mlekiem i tak dalej. W końcu zwierzak zaczął za nią łaźić po domu jak zwykły kot. Nie był zresztą większy od kota... Cętkowany, pamiętam, trochu jak ryś. Raz nawet przyjechał jeden

jegomość z gazety i napisał o tym, że go w domu trzymiemy. Ludziska zjeżdżali się ze wszystkich stron, żeby popatrzeć.

Minęły chyba ze dwa tygodnie, odkąd go przyniesłem, aż tu któregoś wieczoru słyszę, że świnia kwikła. Wziąłem latarnię i wyszłem na dwór, ale wszystko było, jak trza, więc się wróciłem do domu i jużem se głowy nie zaprzętał. Ale rano patrzę, a tu jednej świni brak. Nigdy żem nie słyszał, żeby kto

kradł świnie, ale se pomyślałem, ha, jak są koniokrady, to mogą też być świniokrady. Przynajmniej w powiecie Sevier, bo była to wtenczas strasznie dzika okolica. Ale niewiele żem mógł w tej sprawie zrobić, bom nawet przecie nie wiedział, gdzie by tu zacząć szukać. Dwie noce później przepadła druga świnia. No, myślę, robią się coraz sprytniejsi, bo ta druga to ani kwikła.

Jak znowuż nadeszła noc, ległem na dachu domu ze szczelbą. Miałem wtenczas starą jednorurkę, ładowaną przez lufę, ale brakło mi pieniędzy nawet na kapiszony, więc żem mieszał zapałczane łebki z łupinami nasion bawełny, a tu jeszcze na dodatek ktoś kradł mi świnie. Przeleżałem tak aż do rana, nie dalej od chlewa jak stąd do ganku. Nic żem nie widział ani nie słyszał. Z rana anim spojrział na świnie. Dopiero jak ona, znaczy się Ellen, poszła wylać im pomyje, wróciła się i mówi: Ather, znowuż jednej braknie.

Siedziałem w fotelu i prawie spałem, ale zara żem się ocknął. Nie pamiętam, ile mielimy świniaków, ale pewnie z siedem albo osiem. Więc lecę na dwór i je liczę, no i znowuż było o jednego za mało. Przedtem byłem wściekły, ale tera to jużem się zestrachał.

Starzec jakby nagle zauważył, że w ręku trzyma kubek wina, przyjrzał mu się z lekkim zdziwieniem, podniósł go do ust i upił łyk. Na chwilę zamknął oczy.

Wysokim furgonem zajechali pod sam dom, który tak jak furgon należał do jego wuja. On sam miał tylko tyle, ile dał radę unieść w dwóch rękach, a jej rzeczy mieściły się w starej walizce, uwiązanej za kozłem.

To ona?, spytał wuj.

A i owszem.

Wuj wolno obszedł furgon, taksując ją wzrokiem jak konia.

No to zsiadajcie, powiedział.

Zsiadł, a ona została na kozle.

Co ona, planuje wyprząc muła czy jak?, spytał wuj.

Nie, wujku, odparł. Chodź, Ellen.

Wziął ją za rękę i w końcu zsiadła.

Idź z wujem Whitneyem, powiedział. Ja przez ten czas weznę rzeczy.

Helen, zwrócił się do niej wuj.

Mam na imię Ellen, poprawiła go, stojąc tyłem do wozu, który właśnie zaczął odjeżdżać sprzed domu.

Ellen.

Tata mówi, że go zabije, powiedziała.

Nikt nikogo nie będzie zabijał, oświadczył wuj. Uważaj, błoto.

Jeszcze coś powiedziała, a on patrzył, jak wchodzi do domu.

I co było dalej, wujku Ather?, spytał Warn.

Hmm? No, ubyło mi chyba ze trzy świnie, znaczy się o trzy więcej, niż żem miał ochotę stracić i o dwie więcej, niż myślałem, że stracę, zanim kogo ucapię. No i wyglądało na to, że stracę ich tyle, ile złodziejowi zachce się ukraść, czyli pewnikiem wszystkie. No więc byłem wściekły i zestrachany. Ellen gadała, że się pospałem na tym dachu, ale ja żem przecie wiedział, jak było.

Lato miało się ku końcowi. Robiłem jeszcze wtenczas na kolei, dwanaście albo i czternaście godzin dziennie, a jak wracałem do domu, to żem musiał pilnować świń. Ale przez tydzień albo i dłużej ani jednej nie ubyło. Aż tu któregoś wieczoru Ellen podeszła do drzwi wylać wodę z rondla i jak nie wrzaśnie! Wybiegłem, a ona uczepiła się mnie, jakby ducha zobaczyła czy co, więc jej się pytam, co się stało, ale tylko stała i cała się trzęsła, jakby miała zamarznąć na śmierć. Zaprowadziłem ją do domu i

wyszłem się rozejrzeć, ale nic nie zobaczył. No to podniosłem z ziemi rondel i się wróciłem. Coś jej napędziło strachu, aż zdrętwiała, ale nie umiała mi powiedzieć, co to było. Jak trochu ochłonęła, to mówiła tylko: Nie wiem, albo: Nie poznałam, co to takie.

Starzec znów umilkł. Siedział bez ruchu i tylko pierś mu falowała, poruszana oddechem, a szczęki mechanicznie mełły. Patrzył w sufit, na który padała z lampy rozszczepiona aureola, podobna do rozdwijającego się jaja – obraz partenogenezy pierwotnego światła.

Wytrzymał tydzień, wracając co wieczór do ciemnego, pustego domu. A potem przestał chodzić do pracy. Tamtego ranka wyjął tych parę rzeczy, które zostawiła – podomkę i różne drobiazgi – i ułożył je na łóżku. Usiadł i długo się w nie wpatrywał. Kiedy wstał, był już wieczór.

Został jeszcze pięć dni, snując się po domu albo siedząc bez ruchu, sypiając na krzesłach, żywiąc się tym, co akurat znalazł, a gdy już wyjadł wszystko, przestał jeść. Tymczasem kury chudły, bydło wołało o wodę, a świnie padły do ostatniego prosiaka. Nad gospodarstwem unosił się przerażający smród, straszliwy odór rozkładu wisiał w powietrzu i wypełniał dom.

Szóstego dnia wyszedł, wybił obuchem siekiery deskę z tylnej ściany stodoły i przeciął ją wzdłuż na pół. Na jednej połowce czubkiem noża starannie wyciął jej imię. Drugą zaostrzył na końcu i zbił z nich krzyż. Zaniósł go razem z jej ubraniem w kąt pola, wzięwszy ze sobą szpadel, wykopał dół, pogrzebał w nim ciuchy i trzonkiem szpadla wbił krzyż w ziemię. Przeszedł prosto jak strzelił przez dom i podwórko, wyszedł na drogę i ruszył w stronę Sevierville. Zrobił ponad pół kilometra, nim zauważył, że trzyma w ręku szpadel, a wtedy cisnął go w zarośla.

Wiem, że nie dasz rady, powiedział tamten.

Nie wrócę się.

Jutro weznę i tam pojedę. No, ogarnij się i zjedz cokolwiek.

Że co?

No i odpocznij, prześpij się. Jutro tam pojedę.

No to jedź. Ja się nie ruszę.

Tak czy siak miałem jechać. Wczoraj rano zaszedł R.L. i pytał się, czy się wrócisz. Zamierzasz się wrócić?

Nie wiem. Nie. Nie wrócę się.

Chcesz sprzedać gospodarkę?

Tonie... Wszystko mi jedno.

A mnie nie.

Dopiero wtedy spojrzał tamtemu w twarz, starszą, ciemną i twardą jak orzech.

A dlaczego?, spytał.

Głównie dlatego, żeś mi jest krewny dwieście dolarów.

Aha. Pomyślał chwilę, a potem rzekł: Racja. No, to muszę się ogarnąć.

Starzec wolno kołysał się w fotelu, oburącz trzymając przed sobą kubek jak cyborium. Po jakiejś minucie Warn zapytał: Dowiedzieliście się kiedy, co to w ogóle było?

Starzec obrócił się i splunął do puszki po kawie.

To ten zatracony kaznodziej, co?

Nic więcej nie gadajcie.

No, nikt jeszcze od tego nie pomarł.

Mówiłem, żebyście nic więcej nie gadali.

A i owszem, powiedział. To była stara kuglarzyca, co przyszła po swoje małe. Chcecie winka,

chłopcy?

Mieli jeszcze trochę w szklankach. Starzec dźwignął się z fotela, podszedł do stołu, na którym stało wino, i nalał sobie do kubka.

Ano tak, rzekł. Pewnikiem wtenczas właśnie ją zobaczyła.

ZAaszczeliliście ją?, spytał chłopiec.

Nie. W ogóle żem jej nie widział. Straciłem jeszcze jedną świnię i dałem za wygraną. Puściłem to młode wolno i ani więcej żem go nie widział, ani też żadna świnia już mi nie przepadła. Wiecie, dodał leniwym, mrocznym tonem. Kuglary bywają różne. Niektóre to zwierzęta jakich wiele, a znowuż inne są całkiem niebywałe. Tamta stara kuglarzyca nie zostawiła na ziemi ani śladu. Widać była z tych niebywałych.

Nazajutrz wczesnym rankiem starzec pobrnął pod górę śladem obu chłopców. Gdzieniedzie nawiało tyle śniegu, że ciężko mu się szło. Często przystawał, aby złapać oddech, opierając się na strzelbie, w białej kolbie w zaskorupiały śnieg aż po kabłąk spustowy. Zadyszał się i poczuł zmęczenie w nogach, zanim doszedł do drogi. Miał stamtąd widok na całą dolinę: przez bezlistne korony drzew, które stały czarne w białym eterze, podobnym do rozpylonego mleka, szkliste i krystaliczne jak roztrzaskany lód w miejscach, gdzie przebiło się słońce, widział dachy kryte śnieżną strzechą i blade kosmyki szarego dymu, stojące w nieruchomym powietrzu.

Pachniało dymem, ale nie zaprzętał nim sobie głowy, póki nie wyczuł w tej woni jakiejś przenikliwej ostrości i nie zdał sobie sprawy, że tak pachnie spalony cedr – grube polana, a nie chrust. Ulotny aromat unosił się w powietrzu i wdzierał w nozdrza, jakby z lekka antyseptyczny.

Starzec skręcił pod górę i poszedł drogą aż do odboczki, wiodącej w stronę zbiornika. Nogawki spodni miał przyprószzone śniegiem, suchym i drobnym jak marmurowy pył. Widział już przez drzewa cienki całun dymu. Ślady stóp skręcały w tym miejscu i dwiema pijanymi ścieżynkami zmierzały w głąb lasu. Podążył za nimi, przyspieszając kroku, raz po raz potykając się w wydeptanych koleinach i wpadając w zasy, nękany przecuciem zniszczenia, aż wyszedł na polanę.

Ujrzawszy dym, buchający gęstymi kłębkami ze zbiornika, przystanął na chwilę i poczuł we krwi pradawne zajadłe szarpnięcie mocy i rozpaczy, perkusyjne tętno nieodwracalnego czynu. Wszystko już się dokonało i na zawsze miało pozostać tajemnicą, czyja dusza wzbila się wraz z popiołami, wyjęta spod jego opieki. Przyklęknął w śniegu na jedno kolano i patrzył. Twarz naznaczoną miał znamieniem radości, udręki – czegoś prymitywnego i na wpół ukrytego. Jasne oczy płonęły, zimne i dalekie pod łukami brwi niczym kłębki ulatniającego się gazu.

Wstał i wrócił po własnych śladach na drogę. W zbiorniku jarzyły się bursztynowe węgle, stopione na pogorzeliisku pod szerniałymi szkieletami cedrów.

Auto zostawił wyżej na drodze, więc żem go nie widział z rzeki. A jego nie było na moście, kiedy zeszedłem, dopiero jak żem przelazł na drugi brzeg i wyszedł z wody, to on tam stał i patrzył się na mnie z góry, no to żem go wtedy zobaczył, a on mówi: Chodźże no tu.

I wziął ci sidła.

Wszystkie prócz jednych, sprostował chłopiec. Musiałby wleźć do wody, żeby je znaleźć, więc żem mu nie powiedział, że tam są. Wziął trzy, a ja wszystkiego miałem tylko cztery.

Podły sukinsyn, zaklął Sylder. Co żeś mu powiedział?

Nic zem nie gadał. Straszyl, że mnie wsadzi do więzienia za kusownictwo i pomaganie przestępcom. Powiedziałem, że nic nie wiem o żadnych przestępcach.

A co na to Legwater?

Mało co. Tylko się wyszczerzył jak opos. Aha, powiedział, że łatwiej się wykaraskam, jak im wszystko wygadam. I że jak ktoś pomaga przestępcom, to tak, jakby sam był przestępca. Gifford mu przytaknął i jeszcze mnie postraszył, że jak nic dostanę trzy do pięciu lat, ale jak im pomogę i wygadam, kto to był, to może się wywinę z wyrokiem w zawieszce.

Ale w końcu cię nie wzięli?

Nie. Puścił mnie na rozstajach, koło sklepu. Powiedział, że jak tylko zbiorą resztę dowodów, to mnie zgarną, i żebym nie próbował uciekać.

Rozsiadł się na krzesle, bo już skończył opowieść, i ledwie trochę ochłonawszy ze strachu, czekał, aż dowie się, co ma dalej począć.

Sylder pochylił się ku niemu. Słuchaj, zaczął. Chyba wiesz, że to wszystko pierdoły, co? Wiesz, że wyszedłby na osła, jak by zawlókł do pudła czternastoletniego szczawika? Nawet za pomoc w szmuglu, a co dopiero za kusownictwo? Tylko probuje cię nastraszyć. Już ja go znam. Nijak nie da rady udowodnić, żeś mi pomógł, a żeby mnie załatwić, musieliby mnie złapać z towarem. A wtedy nie potrzebowaliby niczych zeznań, a już na pewno nie twoich, a jakby nawet próbowali, to bym przysiągł, zem cię w życiu nie widział, a ty byś przytwierdził, więc nic by na ciebie nie mieli. To tylko sranie w banie, on tylko tak ściemnia, żebyś się zestruchał i pomógł mu wetknąć nochala, gdzie nie powinien. Jak cię znowuż zaczepi, nic mu nie mów, tylko sam postras, że go zaskarżysz za areszt bez podstaw. Ale coś mi się widzi, że cię więcej nie będzie zaczepiał.

Gadał, że tak czy siak cię złapie.

Nie dałby rady złapać krowiego placka we wannie. A w ogóle to nie jego interes. Przecie on nawet nie robi w podatkach za alkohol. Co się martwisz? Zobaczysz, już ja go załatwię. Naskoczył na ciebie, bo wiedział, że ni masz ojca, co by się za tobą ujął. Podły z niego sukinsyn i na dodatek cykor. Chodź rzucić okiem na swojego szczeniaka. Tłusty jak pączek w maśle. No chodź, w ten ziąb trzymam psy na ganku za domem.

Po południu odśnieżono szosę, więc nie potrzebował nawet łańcuchów, kiedy już po ciemku, chwilę po szóstej wyjechał na nią z drogi prowadzącej do sadu. Przeciążony tył auta kolebał się tuż nad kołami, chociaż zawieszenie podniesiono do oporu. Było strasznie zimno, a samochód w środku jeszcze nie nagrzał się na tyle, żeby Sylderowi odtajały stopy. Pomyślał, że najwrażliwszy jest kikut lewego wielkiego palca, i przypomniał sobie, jak *reflektory kutra omiotły filary mostu, a jego wyłuskało z ciemności zaszkłone, oślepiające oko szperacza, kiedy z liną kotwiczną w ręku stał na fordeku pod baldachimem mangrowców, zaparłszy się stopą o knagę. Gdy namierzyło go światło, krzyknął w stronę kabiny i zaczął wybierać linkę. Zawarczał rozrusznik, silnik gardłowo zakastał, plując wodą, i motorówka szarpnęła, ruszając z miejsca. Wyciągnął kotwicę i nie spuszczał z oka reflektorów kutra. Przez wysoki skowyt motorówki przedarł się potężny warkot podwójnych silników Graya, gdy kuter zrobił zwrot, a potem dały się słyszeć głosy, rozkazy, jakby niczyje i dobiegające znikąd wśród parnego spokoju Zatoki Meksykańskiej. Szperacz podążył za motorówką, zalewając ją światłem, kiedy wypływała z rozlewiska. On sam tkwił w tym blasku jak baletnica w trakcie piruetu. Widział, że dziób wzbija bliźniacze smugi piany, podnosząc się coraz wyżej, w miarę jak kuter nabiera prędkości, a światła pozycyjne podskakują w omywających dziobnicę czarnych falach. Słyszał też strzały, i to całkiem wyraźnie, ale nie kojarzył ich z*

własną osobą. Nie przyszło mu na myśl, że to w niego celują, póki nie wybuchła gęsta palba, a wtedy zobaczył, jak zionący z luf ogień raz po raz rozdziera ciemność iskierkami, maleńkimi i nietrwałymi niczym żar papierosa, i usłyszał, że kule pluskają w płynącej wodzie, jakby ktoś puszczał kaczki. Nagle poderwał się i ruszył do kabiny. W tej samej chwili trzasnęło drewno rozłupywane w drzazgi, a potem coś przeorało mu stopę i rzuciło nim o pokład. Doczołgał się do zejściówki i zjechał po niej na brzuchu.

Jimmy, szepnął ochryple, jakby się bał, że ktoś usłyszy. Hej, Jimmy.

Ciemną kabinę tylko chwilami rozjaśniała smuga światła ze szperacza, przemyskająca w tę i z powrotem po bulajach, których świetliste kontury wędrowały po przeciwległej ścianie to wprawo, to w lewo.

Hej, mały. Co tam ?

Jimenez stał w korytarzyku. Na chwilę odszedł od steru, więc łódź mknęła w przechyle pełnym gazem, a woda rytmicznie pluskała o dno.

Trafili mnie, odparł młody.

Jimenez poświecił mu latarką, a on zdjął rozdarty but i lepką od krwi skarpetkę, po czym obejrzał miazgę, która została mu z wielkiego palca.

Gdzie jeszcze, Mario?

Chyba nigdzie, powiedział.

Jimmy ze współczuciem poklepał go po ramieniu.

Źle dostać we stopę, rzekł.

Kiedy przeszli do sterówki, urwał kawałek koszuli, owinął nim strzaskany palec i usiadł z nieszczęśliwą miną, wpatrzony w twarz Jimeneza, zieloną i poważną w blasku tablicy rozdzielczej.

Wolno jechał przez przełęcz, podczas gdy księżyc sunął nisko nad sosnami, między którymi ciągnął się długi i pusty pas bieli pod linią wysokiego napięcia, a z rozpadliny wznosiła się lodowata mgła, mieniając się w świetle reflektorów. W miejscu gdzie stała oberża, panował wtedy karnawałowy nastrój. Nieliczne samochody zaparkowano wzdłuż drogi, karoserie migotały odbłyśkami żaru, a stojący tu i ówdzie mężczyźni podawali sobie z rąk do rąk ostatnie butelki i rozmawiali teraz już ciszej, zarumienieni i jowialni. Niektórzy z tych, co przybyli na końcu, twierdzili, że lunę było widać aż z Vestal. Ale żeś widowisko przegapił, Marion.

Dobre było?

Lepszego żeś w życiu nie widział.

Nie było już nic do zrobienia. Najwyżej popić whisky, teraz już ukradkiem, bo przyjechał Gifford i długim kijem szturchał stopione szkło, robiąc w nim dziury, z których buchała para. Bul, bul. Szklista smoła. W życiu żem nie widział takiego diabelstwa. Jeden but wyrzucił się na czubku, szerniał i Gifford uciekł, skacząc na jednej nodze i łapiąc się za sznurowadła. Niech to diabli. Ha! Oparł się o drzewo, trzymając w dłoniach bosą stopę jak zranionego ptaka, i patrzył z nienawiścią, czy ktoś ośmieli się zachichotać.

A po dwóch dniach zwęglony pień sosny jeszcze się tlił, spod zeskorupiałej kory delikatnie kapąca żywica i sączyły się kędzierzawe płomyczki w kolorze elektrycznego błękitu, a w nieruchomym powietrzu wznosiła się iglica dymu, prosta jak przedłużenie drzewa.

Na zakręcie poniżej przełęczy tylne koła wpadły w lekki poślizg, więc poczuł, że jest gołodędz. Pochylił się nad kierownicą i przetarł szmatą przednią szybę. Kiedy mijał dom Tiptona, nad drogą ciepło i przyjaźnie błysnęły światła w oknach. Ach, ci starzy żonkosie. Sylder zachichotał, sięgając po papierosy. *Najmilszy ze wszystkich chłopaków... Deszcz równomiernie bębnił w blaszany dach kościoła, a z wysokich*

okien padały obeliski światła, ukośne jak przypory. Skrzypnęły drzwi, a potem już tylko ogromna, dysząca cisza, zapach stęchlizny, cierpliwe i spokojne opuszczenie, krzesła, ławki, ambona, wszystko na swoim miejscu i nieruchome pod warstwą kurzu, jakby lekko zdziwione tą późną wizytą. Upiorny odgłos ich kroków po wypaczonych deskach podłogi spłoszył sowę, która wzbija się z krokwi i bezszelestnie jak cień przefrunęła im nad głowami, ulatując ku dzwonnicy, wessana przez komin niczym płatek popiołu, cicha jak popiół. Dziewczyna chwyciła go za rękę. Razem do ławy pokutników. O Boże, Boże. Nocny ptak był im świadkiem.

Dojeżdżając do szczytu wzgórza, nad rzeczką dogonił półtonową ciężarówkę wiozącą konia. Pociągłe sympatyczne

oblicze spojrzało na niego spomiędzy listew tylnej kłapy ślepiami, które w świetle reflektorów forda były promienne i okrągłe jak denka butelek. Ciężarówka mozolnie, z wytrwałością chrząszcza pięła się pod górę, cicho rżąc skrzynią biegów. Patrzył, jak śnieg wiruje za nią nad drogą węzowym zygzakiem: białe smużki przypominały dym snujący się po szkle. Zmienił bieg i wyprzedził. Koń dziko łypnął lewym okiem, kiedy ford mijał szoferkę, w której blask tablicy rozdzielczej niewyraźnie oświetlał kierowcę, ten zaś pykał cygareto i raz tylko spojrzał z góry na Syldera.

Z drogi, bo bimbrownik jedzie, powiedział Marion. Wiezie whisky na nowy rok. Każdy liter da chyba ze dwa kace, znaczy się będzie tego z tysiąc... jakieś tysiąc dwieście pękających łąbów. Co ty na to, stary?

Stary pykał cygareto, malejąc w oddali za tylną szybą forda, aż przednie światła ciężarówki zwały się w mętną, pomarańczową kulę.

Sylder pojechał prosto przed siebie Gay Street, posłusznie zatrzymując się na światłach i z bezczelnym zakłopotaniem przyglądając się odrętwiałym policjantom z drogówki.

Siemasz, gliniarz. Golałbyś se?

Po zachodniej stronie miasta skręcił w jakiś podjazd i wjechał za stary, zaniedbany drewniak. Podjechał tyłem do garażu, wysiadł i lekko się przeciągnął. Dwaj mężczyźni wyszli drzwiami od kuchni, w której okienku paliło się światło. Trzeci, w koszuli wypuszczonej na spodnie, podszedł do drzwi, żeby się trochę przewietrzyć i paląc

papierosa, oparł się o futrynę. Zza jego pleców dobiegł z głębi domu piskliwy kobiecy głosik: Weź zamknij drzwi, durniu. W stodole żeś się wychował czy co? Mężczyzna ani drgnął.

Uszanowanie, Sylder, powiedział pierwszy z mężczyzn, mijając go po drodze do garażu i nawet na niego nie patrząc.

Uszanowanie, odparł Marion.

Drugi przystanął.

Jak tam nowe auto?, spytał.

W porządku.

Ward mówi, że przyjechało z Cosby.

Możliwe.

Ward mówi, że strasznie szybkie. Mówi, że jakby policja chciała je zatrzymać, musiałaby wystawić posterunek na autostradzie z Newport, bo inaczej nie dałoby rady.

Bierzmy się do roboty, Tiny!, zawołał z garażu pierwszy.

Sylder podszedł do auta od tyłu i podniósł kłapę bagażnika. Kiedy zaczęli wyładowywać, zanosząc skrzynki do garażu, samochód zaskrzypiał, stopniowo się podnosząc, a gdy skończyli, stanął z zadartym tyłem jak kotka w rui.

Marion wziął ze schowka obok kierownicy latarkę i klucz, schylił się po kolei nad każdym z tylnych

kół i obniżył zawieszenie. Odpiął łańcuchy, wsiadł i zjechał z nich, a potem wysiadł, wrócił po nie i wrzucił je do bagażnika. Silnik był włączony, a gdy Sylder znów usiadł za kierownicą, Tyny podszedł do niego i oparł się o drzwi samochodu.

Ale pięknie chodzi, swoją drogą, powiedział.

Sylder spojrział na niego. Tak mówi Ward?

Tiny wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie, odparł. To chyba McCrary tak gadał, jak mu Ward pożyczył pieniędzy na ten wózek.

Powiedz Wardowi, że porzanny wóz kosztuje porzonne pieniądze. Nawet na rządowej licytacji. A i potem też.

Wrzucił bieg i nacisnął gaz, więc Tyny się odsunął. Zajrzyj jeszcze kiedy, powiedział.

Sylder już zamykał okno. To na razie, odrzekł, po czym włączył przednie światła i ruszył podjazdem w dół.

Wolno zawrócił w stronę góry, mijając rozstaje i sklep o trupiobladych, z gruba ciosanych słupkach werandy, które wyglądały jak zagipsowane. Rzeźbiony łeb lwa tkwił na drzwiach jak ogromna drapieżna kamea z wiszącą u nozdrzy błyszczącą mosiężną kołatką. Szyby w zakratowanych oknach zdawały się uginać w blasku reflektorów, falując jak spływająca woda, po czym ich gibkie tafle wymknęły się z kręgu światła z powrotem w ciemność i znów trwały nieruchome, nagie. Sylder minął własny dom, w którym świeciło się tylko na werandzie, i przejechał na drugą stronę góry, nie przyspieszając i z łatwością pokonując wzniesienia.

Nawierzchnia pokryta była szkliwem lodu, a on dla zabawy wpadał w lekkie poślizgi od zakrętu do zakrętu, jakby halsował żaglówką. Na dole zjechał z drogi biegnącej przez Dolinę Hendersona i skręcił w prawo, w stronę Góry Zatocznej. Jechał odtąd po żwirze, wolniej niż przedtem, najwyżej dwadzieścia parę na godzinę, a w końcu zgasił reflektory. Przebył w ten sposób niecały kilometr. Ford toczył się po śniegu jak pojazd widmo, czarny i bezszelestny, aż Sylder skręcił w jakąś dróżkę, obrócił wóz przodem do drogi i wysiadł.

Poszedł pod górę, skręcił w najbliższy podjazd i pobrnał przez śnieg do ciemnego domu, który wznosił się posepną bryłą w zagajniku, samotny wśród pustki pól, zewsząd okolony nagimi gałęziami, splątanymi jak kute żelazo.

Dwa razy obszedł dom dookoła. Nie zaszczekały psy. Przymierzył się do jednego z tylnych okien i podniósł je, słysząc, jak ciężarki ślizgają się w fugach framugi. Przelazł przez parapet i znalazł się w części kuchennej. Miał przed sobą dwoje drzwi: jedno otwarte, prowadzące do dużego pokoju, a drugie zamknięte.

Ola, Jeffo, rzucił bezgłośnym szeptem drwiące powitanie. *Dorme?* Stąpając na palcach jak kot, zrobił trzy kroki, stanął przy zamkniętych drzwiach i ujął dłonią klamkę. Och, Jeffo, szepnął. *Es muy malo que no tengas un perro**. Obrócił klamkę i otworzył drzwi.

* Cześć, Jeffo. Śpisz? To fatalnie, że nie masz psa (przyp. tłum.).

Pokój miał tylko jedno okienko, umieszczone wysoko w ścianie: szary kwadrat pośród czerni. Sylder nic prócz niego nie widział. Przez kilka minut stał w drzwiach, wsłuchując się w chrapliwy oddech śpiącego. Po pewnym czasie dostrzegł w ciemnościach zarys łóżka, które miał na wprost przed sobą.

W pokoju było tak ciepło, że spocił się pod pachami, ale śpiący leżał w kokonie z koców. Sylder pomacał je, czując ich grubość... kształt ręki, barku, klatki piersiowej... Widocznie śpi na wznak. Gifford

siąknął nosem. Lepkie powieki rozkleiły się, odsłaniając oko, kiedy koce zsunęły mu się z podbródka, z matczyną troskliwością pociągnięte w dół.

Nawet lekko unióśł głowę, zdziwiony, gdy sen zaczął odchodzić opieszalymi falami, więc właściwie sam nadział się na zaciśniętą pięść, która wystrzeliła prosto z ciemności i trafiła go w twarz z chłupotem rozpryskującej się miazgi, rzuconego z rozmachem melona.

Sylder wrócił do domu po północy. Ochłodziło się jeszcze bardziej. Zaparkował za domem, podparł koło klinem i wszedł kuchennymi drzwiami. Wziął kilka bułek i zjadł je z marmoladą ze słoika, który wyjął z lodówki. Spacerował po kuchni, na przemian zaciskając i rozwierając pięść. Gdy już się posilił, odstawił marmoladę na miejsce, pociągnął spory haust maślanki z innego słoja i poszedł do sypialni. Prawą dłoń miał spuchniętą, więc ostrożnie rozpinał kurtkę.

Marion?...

Tak, powiedział.

A... która godzina?

Chyba późna. Dłużej mi zeszło.

Nic ci nie jest?

Nie.

Zrzucił spodnie, zostawiając je na podłodze, wślizgnął się do łóżka i położył obok kobiety.

Wyczuła jego bezgłośny śmiech.

Co?, spytała.

On co i rusz się pytał, kto to.

Że co? Niby kto się pytał?

Hmm? Nikt. Jeden taki. Śpij dalej.

Przewróciła się na bok i położyła mu dłoń na piersi.

Ćśśśś, powiedziała.

Leżał na wznak, nakrywając jej dłoń własną, a druga pomału mu sztywniała. Nagle poczuł przedsmak katastrofy, gorzki jak żółć. *Czemu ten stary dziurawił kulami państwową cysternę tam na górze?*

Nogi masz zimne, że aż strach, powiedziała kobieta.

Wpatrywał się w ciemny sufit.

Ni ma strachu, niech mnie szlag, szepnął sam do siebie.

IV

Na górze wiał ciepły wiatr, niebo mroczyło, a chmury wypinały czarne podbrzusza. W końcu wypuczył się z nich ogromny wrzód i tak trzasnęło, jakby pękło samo jądro Ziemi, aż zagrzecotały szyby w oknach od Kotliny Pobrzechków po Górę Zatoczną. Wiatr wzmógł się i zelżał, a drzewa zgięły się pod jego naporem, jakby popchnięte gwałtownym przyspieszeniem obrotów kuli ziemskiej, gdy zaś przestało wiać, z nieruchomego powietrza ze stukotem i sykiem spadł grad, niczym plaga.

Starzec spoglądał przez okalający rondo kapelusza woal wody. Kiedy obracał głowę, kołysały się misterne kropelki. Grad ustał i znów powiał wiatr, niosąc ze sobą deszcz. Wychynawszy z jamy w gliniastym przydrożnym wale, w której się krył, starzec zdążył przemoknąć do suchej nitki. Pył drogi wezbrał czarnymi wodnistymi bąblami, z których trysnęły gejzery błota, a koleinami popłynęła leniwa

struga, pęcherzejąca od deszczu. Starzec puścił się biegiem, sunąc na krzywych nogach dziwacnie utykającym krokiem w oślepiającej ulewie, która pod naporem wiatru zmiatała drogę wielkimi płachtami. Gałęzie i liście fruwały rojem w powietrzu, podczas gdy wichura chłostała i łamała drzewa. Zanim skręcił z drogi do lasu, martwe, bezlistne pnie zaczęły się przewracać i tak jakby próbowały czegoś się chwycić kruchymi, szarymi palcami, lecz w końcu waliły się na ziemię ze stłumionym grzmiotem, który prawie ginał w łoskocie podniebnych wyładowań. Starzec szedł w obranym kierunku po śliskich od wody zeszłorocznych liściach, skakał i tańczył jak szalony wśród wiru nieokiełznanej zieleni niczym deszczowy chochlik, raz po raz wypalany w błazeńskich pozach z niemal zupełnej ciemności szybkimi wykwitami błyskawic. Gdy przechodził obok bezpłodnego kasztanowca, srebrzącego się pod nawałą ulewy, drzewo pękło aż do samego rdzenia, rzygając na starca trocinami i upieczonymi myszami. Kawał pnia odłupał się z przeciągłym sykiem niby maszt ogarnięty pożarem, chylący się ku morzu. Oto i runął. Dźwięczą zderzające się tarcze i z kocim wrzaskiem zstępują walkirie, by unieść go z sobą. Strużka wody nanosi mu już glinę do wystrzępionego mankietu, a na czole siwy kosmyk włosów czerwienieje w sączącym się błocie.

Deszcz przeciekał przez szpary między deskami wychodka, aż zawilgły i szerniały naniesione wiatrem liście w kącie, w którym leżała kotka, wyszła więc przez obsunięte na zawiasach drzwi, żeby poszukać nowej kryjówki. W czarnych kałużach na ścieżce wolno wirowały pęczki słomy i zielska oraz zwinięte w kłębek chrząszcze-pancerniki, okrągłe jak śrut i dziwnie niezatapialne. Ominęła je, ze wstrętem otrząsając łapy, brzydząc się dotyku zeszłorocznych chwastów, śliskich, sflaczałych i pokrytych brązowym szlamem.

Pies Arthura Ownby'ego przez chwilę węszył, ryjąc nosem w barłogu ze zleżałych worków, a potem znów zasnął, z ogonem przyciśniętym do bezwłosego brzucha. Nie zauważył, kiedy kotka podeszła do drzwi jego piwnicy i stanęła na trzech łapach.

Skąpe światło zwiastujące nowy dzień przesączyło się przez mżawkę, wyławiając z niej bure futro kotki, zwiniętej w rozłupanym pniu na południowym stoku Czerwonej Góry. Późnym popołudniem głód wygnał ją stamtąd, ostrożną, płochliwą, z próchnem w sierści.

A deszcz wciąż wżerał się w drogi i wycinał we wzgórzach parowy, aż spływały siną czerwienią jak otwarte rany. Rzeczka wylała na pola błotnistym potopem, którego fale szperały wśród wiciokrzewu. Słupki ogrodzeń maszerowały jak armia faraona, znikając z widoku w zalanych wąwozach.

Pole Saundersa zamieniło się w płytkie bagno, spokojne i uległe w dziobiącym je deszczu. Wciąż bowiem padało. Nie było miejsca na nizinach, w którym nie nagromadziłyby się woda. Przy węższym końcu stawu McCalla grzmiała, wpadając do jazu. Równina nad Małą Rzeczką aż po czubki zielsk stała pod wodą koloru wątroby, upstrzoną skupiskami drewniaków i piany, które ledwie dostrzegalnie wirowały, a czasem kołysały się, ilekroć wiatr przeganiał pod nimi fale. O świcie nadleciały stada wodników. Dwa bąki o świdrujących

ślepiach przeczesywały urodzajne płycizny. W nocy po zalanych polach niosły się pokrzykiwania rzekotek i gburowate chóry żab. Z rzeki wdarły się na równinę wielkie łuskowate niszczuki o długich zębatych dziobach, drapieżne i prymitywne z wyglądu – pradawne ryby, które bez zmian przetrwały od czasu mezozoicznych moczarów. Po kilku miesiącach ich pożółkłe szkielety przyozdobią spękaną glinę dna, gdy woda opadnie, porzucając je na pastwę wron, sępów i innych jędzowatych zrzęd, zlatujących się, aby zebrać żniwo ich zwłok, cuchnący przedmiot podziwu małych chłopców.

Szosa przez Dolinę Hendersona przejrzysta deszczówka niosła całe tratwy liści, marszcząc się na

czarnym asfalcie. Zatkanymi błotem wawozami płynęła jaskrawoczerwona woda, tocząc się gęstym odmętem, dudniąc w rowach i donośnie cmokając. Kotka szła grzbietem drogi, zmoknięta, maleńka i wystraszona.

Niskie słońce rozogniało sosnowe sęki w ścianie wędzarni, aż błyszczały jak rubiny, żyłkowane źrenice oczu wpatrzonych w półmrok, w którym kotka obgryzała zwisające z haka wieprzowe żeberka. Od soli ściągał jej się pyszczek, ale nie rezygnowała, tylko przerywała co jakiś czas, aby wsłuchać się w ciszę. Mildred Rattner w pantoflach bez pięt ostrożnie omijała najbardziej błotniste miejsca, z dwojga złego bardziej wierząc sterczącym przy ścieżce kępom mokrej trawy. Deszcz stukał w papę na dachu, więc kotka nic nie słyszała, póki klucze nie zadzwoniły tuż za drzwiami i nie zgrzytnął zamek. Wskoczyła na wysoką półkę, sprężyła się i dała susa ku umieszczonemu pod stromym dachem luftowi. Kiedy drzwi otworzyły się do wewnątrz, wisiała, uczepona jednym pazurem krawędzi wywietrznika, i rozpaczliwie drapała tylnymi łapami ścianę, szukając oparcia. Po chwili spróchniałe drewno ukruszyło się, a ona runęła w dół.

Gdy Mildred Rattner otworzyła drzwi i weszła do wędzarni, zobaczyła kota, który z bolesnym wrzaskiem spadł skądś z góry i wylądował przodem do niej na rozkraczonych łapach, a potem rzucił się na nią jak dziki, błyskając w półmroku zębami, z płonącym w ślepiach obłędem. Wrzasnęła i padła na wznak, a zwierzę z przeciągłym, rozpaczliwym skowytom przeskoczyło przez nią płynnym susem i znikło.

Na polu Tiptona w koronie czarnej akacji siedziały cztery wrony. Zajęły miejsca na bezlistnych konarach, wciągnęły szyje i wpatrywały się w srebrzystoszary obraz spustoszenia, w cichy deszcz nad rozległą krainą. Patrzyły, jak kotka sady powolnymi susami, tanecznym, nierównym krokiem przemierzając pole, co rusz raptownie skręca lub skacze, starając się wybierać ocalałe tu i ówdzie suchsze punkty. W okrzykach wron wśród popołudniowej ciszy słyhać było posępne osamotnienie, żalobny ton parowozowych gwizdków. Ptaki wleciały z gałęzi i przedelfowały tuż nad głową kotki, nurkując i pikując. Kotka przysiadła

na zadzie i obróciła się w miejscu, zamierzając się łapą na wrony. Nękały ją, aż dała się wypłoszyć z pola, choć przy każdym ich ataku przystawała, żeby dać odpór, walcząc z ciągnącym za nimi podmuchem, z trudem zachowując godność, a one to wzbijały się czarną racą, to kołowały, aby znów zaszarżować z wyrafinowanie prostackim humorem. Na brzegu rzeczki zostawiły ją i zawróciły, żeby rozsiaść się w koronie akacji, ubijając skrzydłami powietrze. Odprowadziła je wzrokiem, z pogardą mrużąc żółte ślepia, i ruszyła z biegiem wezbranego nurtu ku mostowi. Przedostała się po nim na drugą stronę i poszła dalej przez las wyższym, południowym brzegiem, niekiedy przystając, aby ze zdawkową dociekliwością obwąchać czy to dziurę w ziemi, czy to wypróchniałą kłodę, otrząsnąć się z wody albo wylizać ją sobie z futra na piersi, póki piźmaczy odór norki nie zwabił jej z powrotem nad samą rzeczkę.

Norka nie żyła: przybrzeżny prąd kołysał ją wśród zatopionych, rozłożonych w wachlarz traw. Kotka podkrađła się na ugiętych łapach, skoczyła na błotnisty wzgórek i trzepnęła ją pazurami, sięgając łapą daleko w dół. Potem znieruchomiła, przyglądając się zwierzęciu, które podskakiwało na falach jak martwy przedmiot. Łańcuch umocowany był do ukrytego gdzieś pod wodą kołka, więc gdy kotka wbiła pazury w norkę i spróbowała ją przyciągnąć, nie udało jej się. W końcu odważyła się wejść jedną łapą do wody i zatopiła zęby w szyi norki. Od piachu w białego w futro zaświerzbiali ją zęby, lecz wgryzła się wściekle, aby niebawem

znieruchomieć: może coś odwróciło jej uwagę, a może przypomniawszy sobie o jakiejś ważniejszej, tylko chwilowo poniechanej sprawie. Zostawiła norkę i poszła przez pola ku szosie.

Z przyklejonym do skóry futrem wyglądała cherlawo i żałośnie. Po drodze oblaży ją rzepy i kędzierzawe liście fioletowej gutierrezji, a do tylnej łapy przywarł suchy pęd jeżyny. Tuż przed szosą przystanęła i kładąc uszy po sobie, otrząsnęła się, aż zadrżała na niej luźna skóra. Z rozpaczliwym miaukiem przywarła brzuchem do ziemi, zwracając ślepią ku bezbarwnemu niebu, które nieubłagane chłostało ją strugami deszczu.

Po południu trzeciego dnia deszcz zelżał i zza blado-szarego podniebnego całunu wychyły łukiem klingi światła jak z dalekich latarni morskich, tnąc powolnym ruchem delikatne krawędzie chmur, podobne do strzępów koronek lub kłębow morskiej mgły. Wcześniej zapadła ciemność, a gdy potem leżał pod kołdrą, czuwając na swoim ciemnym poddaszu, cisza, która zapanowała, kiedy deszcz przestał bębnić w dach, zdawała się odmierzać czas, przyczajony jak żywe stworzenie. Postanowił pójść rano nad rzeczkę sprawdzić, czy może woda już trochę opadła.

Nastał więc ranek czwartego dnia, zanim znów poszedł obejrzeć swoje sidła, obchodząc staw od niżej położonego końca, z którego woda wylała na pole, aż zielsko stanęło w niej jak ryż, a potem ruszył w dół po wapiennych skałach, mijając pływające kępy lilii wodnych, strzaskanych przez grad, i ławice świeżych zielonych liści, aż przemierzył pole i wyszedł na drogę.

Przed mostem zszedł z szosy, skręcił w dół po stromym brzegu, przelazł przez płot i poszedł dalej błotnistą ścieżką nad rzeczkę, która wcale tymczasem nie opadła. Po drugiej stronie na płytko zalanym polu gliniasta woda kołysała się w wąskich nieckach, pieniać się wśród skołtunionych wiciokrzewów i targając wierzchołkami trojeści oraz młodych pędów wikliny. Rzeczka zamieniła się w zmacony, nieregularny kanał i wyglądała, jakby jej korytem nie płynęła woda ani żadna inna ciecz, lecz przesypywała się ziemia. Toczyła się przed oczami chłopca, a każda fałdka i zmarszczka, każdy wir, ślizg czy też zwój liny w rozpłocie wydawał się stały, niezmienny. O tym, że woda nie trwa w bezruchu, świadczyło wyłącznie jej lekkie oleiste drżenie i popędliwy szum – z wyjątkiem chwil, gdy na powierzchnię spadała gałąź lub patyk, albo tak jak tu: wyżłobiona fala wywinęła się ku górze przeciągłym haustem niczym zmarszczona warga, rozdarła nagle konarem drzewa, który wyskoczył raptem z nieprzeniknionego matowego odmetu, szybki i zwinny jak atakujący wąż, i zaraz znów się zanurzył i znikł, nie zostawiając na wodzie kręgu ani fali, żadnego śladu. Chłopiec przysiadł na kilka minut, zapatrzony. Od strony dolnego biegu rzeczki nadleciał zakosami zimorodek, lecz na widok chłopca wzbił się w niebo i zatoczył łuk nad zalanymi polami, znacząc poranną ciszę swoim wysokim staccatem.

Chłopiec wstał i poszedł ścieżką przez pasmo lasu między rzeczką a górą. Po drodze mijał upierzone lekką mgiełką orzeszniki i topole, wciąż jeszcze nagie jak szkielety wśród świeżej wiosennej zieleni. Ruszył pod górę, a jego nadejście zwiastował stukot spadających łupin orzechów, nagle pochyłona gałąź, chrobot drobnych łapek po korze. Przeszedł przez grzbiet wzgórza i zaczął schodzić, widząc w dole podkowę zakrętu rzeczki, i wreszcie zszedł po pochyłości z powrotem nad wodę, na skrót, bo odległość mierzył tylko w linii prostej.

Nie mógł ich znaleźć. Nigdy nie widział rzeczki w takim stanie, a kiedy odwrócił się tyłem do niej w miejscu, które wydawało się znajome, ze zdziwieniem ujrzał wąski wąwóz, narożnik płotu i dziwnie przesunięty zagajnik akacji. Minał to miejsce i niebawem zawrócił, stwierdziwszy, że zapuścił się za daleko w dół. Spiesznie przeszedł pięćdziesiąt metrów w górę koryta i stanął jak wryty. Głaz, przy którym zastawił sidła, znalazł się pod wodą, a ta wzdymała się nad nim szklistą kopułą, przez którą widać było

drut, sięgający młodego drzewka na drugim brzegu. Nieco wyżej rzeczka zwężała się i właśnie tam chłopiec zwykle przechodził po długim pomoście z omszałych kamieni, które teraz także skrywała powódź. W przewężeniu koryta woda spadała gładką rynną do niewielkiej sadzawki i kotłowała się w niej, czekoladowo spieniona, a potem znów rozlewała się syczącą taflą, upstrzoną plamkami i bańkami, gałązkami, okruchami kory i wszelakim śmieciem. Młody ptak, bezpióry i obrzmiały, na moment obrócił się do góry krągłym

białym brzuchem, wnet jednak przekreślił się i osunął w gęsty brązowy odmet, który zamknął się nad nim jak powieka. Za głazem wynurzyło się coś ciemnego i zaraz z powrotem zatoneło, jakby walczyło z niewidocznym napastnikiem. Chłopiec patrzył. Po chwili znów mignął mu ten ciemny kształt, tym razem bardziej widoczny: sierść unosiła się na wodzie, falując jak targana wirami czarna trawa. Przeszedł kawałek po brzegu, aż znalazł kij. Wrócił z nim w to samo miejsce, pochylił się nad wodą, stojąc na palcach, i zaczął szturchać dno. Namacał podłużną skałę, przesunął po niej kijem i wszedł na nią, wpadając na moment w popłoch, gdy stopa znikła mu pod wodą. Stał w rozkroku – jednym butem na brzegu, a drugim w rzeczce. Woda kipiała mu między nogami, płynną wstęgą oplatając łydkę. Postawił drugą stopę na skale i ostrożnie obrócił się twarzą w stronę górnego biegu rzeczki. Brązowe skrzydełka wody z ciętym szelestem frunęły mu po goleniach, gdy tak stał, ucieleśniając iluzję ruchu. Przemierzył skałę krokiem kraba, aż podszedł na metr do przeciwległego brzegu. Skała kończyła się w tym miejscu, więc spróbował rozpaczliwym susem przeskoczyć wąski kanał, który jeszcze pozostał do przebycia. Zanurzył się prawie po pas, szybko bijąc stopami w błotniste, strome dno, z całych sił młócąc kijem, póki nie stanął pewnie na nogach. Zmarznięty i ubłocony, wygramolił się na brzeg, chwytając się korzeni i zielsk, chociaż niektóre urywały się pod jego ciężarem.

Jakoś dotarł do tego młodego drzewka i zsunął się ku niemu po brzegu, aż zaparł się butem o smukły pień. Złapał drut i odmotął go, czując w dłoni jego elektryczny zaśpiew, a potem mocno go chwycił i pociągnął za sobą, wspinając się z powrotem na brzeg. Kiedy wdrapał się na samą górę i obejrzał za siebie, zobaczył, że jego zdobycz unosi się na wodzie wśród zatopionej trawy, i zanim jeszcze ją przyciągnął, dostrzegł na niej białe smugi, które wyglądały jak przyssane pijawki. Wziął ją do ręki i wyczuł palcami szorstkość błota wbitego w futro. Z przedniej łapy, strzaskanej szczękami sideł, sterczał spiczasty koniuszek kości. Białe podgardle umazane było gliną, a żółte ząbki wyszczerzone w drapieżnym uśmiechu. Wolno obrócił łup w dłoni, bezmyślnie wpatrując się w białosine nacięcia, precyzyjne i wstrętne: rany, podobne do rozchylnych bezrzęsych powiek lub martwych ust.

Wyjął norkę z sideł i schował do jednej kieszeni, a sidła owinął drutem i wsunął do drugiej. Słońce wzniosło się już dość wysoko, lecz obiecane światło tonęło w masie mokrych, mrocznie nawarstwiających się chmur, które toczyły się od południowego zachodu. Nie przepawił się z powrotem na drugi brzeg, tylko ruszył na przełaj przez pole. Zanim dotarł do lasu, pierwsze krople spryskały mu bark. Wyszedł na szosę, czarną i śliską od deszczu. Zgarbił się i skulił pod coraz rzęsiściej ulewą, lekko dygocząc. Po dymiącym asfalcie i zalanych polach mknęły płachty rozpylonej wody. Domy były szare, ponure. Wydawało się, że nadeszła

chwila ostatecznego unicestwienia, jakby tuż po ostatniej zimie woda na Ziemi z wolna wzbierała w studni wszechświata.

Padła bez przerwy od sześciu dni, kiedy Marion Sylder wreszcie wyszedł z domu. Najpierw zsunął się bokiem po podjeździe, wyciskając spod harcujących kół fontanny błota, i dopiero na drodze wyprostował kierownicę, ruszając ku rozstajom. Przed sklepem utworzyła się niewielka sadzawka, więc klienci musieli

wchodzić na werandę po desce. Deszcz przeszedł w cierpliwą mżawkę, a mieszkańcy Czerwonej Gałęzi siedzieli w domach, każdy przy swoim piecu, niekiedy rzucając okiem na szary, mokry krajobraz i kręcąc głowami. Sylder podjechał na wstecznym do pompy z benzyną i wysiadł. Dobrnął do werandy, brodząc w kałuży i przy okazji splukując błoto z butów, po czym wszedł do sklepu. Lekko się uśmiechnął, widząc, że w okna od frontu wstawiono kraty z prętów do spawania.

Pan Eller spojrział na niego ze swojego krzesła przy pieńku do mięsa. Dawno żem cię nie widział, rzekł. Przyniesłeś jakie pieniądze?

Sylder puścił to mimo uszu. Ja po benzynę, powiedział. Gdzie klucze?

Pan Eller westchnął i wstał. Podszedł do kasy, z brzękiem dzwonka otworzył szufladkę i podał mu ponad ladą klucze.

Mam nadzieję, że kałuża ci nie przeszkadza, powiedział.

Sylder wziął klucze i wyszedł do pompy. Otworzył ją i zaczął machać dźwignią, pompując benzynę do szklanego naczynia na czubku zardzewiałego pomarańczowego dystrybutora. Kiedy je napełnił, zdjął z baku zakrętkę, wsunął szlauch w otwór i nacisnął dźwignię. Benzyna wezbrała i zabulgotała, po czym ściekła do baku. Gdy naczynie się opróżniło, na ściankach po wewnętrznej stronie załśniły tłuste kropelki. Sylder ich nie zauważył. Odwiesił wąż na miejsce i zamknął pompę na dwa spusty, dobrnął z powrotem do werandy, wszedł do sklepu i oddał klucze panu Ellerowi. Kilkoro kociąt wylazło z pudełka i chwiejnie dreptało bez celu po podłodze, kolebiąc się na krótkich łapkach i miaucząc żałośnie. Ślepka miały zamknięte i zaropiałe, jakby je wszystkie naraz dotknęła któraś z biblijnych plag.

W życiu żem takich wstrętnych kotów nie widział, oświadczył Sylder.

To samo powiedziała pani Fenner, obojętnie odparł sklepikarz. A na to młody Pulliam, że powinna zobaczyć te za sklepem, rozpięte na patykach. Wziął z lady klucze i znów zadzwonił szufladką kasy, wrzucając je do niej.

Dopiszcie do rachunku, rzekł Sylder.

Dziwne, że ni ma na to jakiegoś znaku ręką, powiedział pan Eller. Tak jak zamiast „uszanowanie” albo „na razie”. Nie musielibyśmy strzepić se pysków.

Jak bym miał wasze pieniądze, do końca życia bym palcem nie kiwnął.

Mniej więcej tak samo by się opłaciło.

A jakże, przytaknął Sylder.

Mnie to się zdaje.... zaczął pan Eller.

Mniejsza o to, przerwał mu Sylder. Trza mi się zbierać. Bidne ludzie ni mają czasu cały dzień stać i mleć ozorem.

Machnął ręką na pożegnanie i wyszedł, ale w drzwiach jeszcze przystanął i spojrzął za siebie. Wicie co.... zawołał.

O co chodzi?

Chrześcianin wzięby je i utopił.

O co chodzi?, powtórzył pan Eller.

Opierając się o drzwi i szczerząc zęby, Sylder wskazał palcem kocięta, które skakały po podłodze jak strzępki włóczki w przeciągu.

Pan Eller odprawił go machnięciem ręki i Marion wyszedł.

Sklepikarz pobębnił paznokciami w marmurowy gzyms kasy i wrócił na krzesło. Ledwie zdążył chwilę odpocząć, gdy zegar na półce z konserwami mozolnie zarzęził sprężyną, jakby miał zaraz skonać nagłą śmiercią wśród szczęku zębatek i skoków spiral, a potem umilkł i po krótkiej pauzie czterokrotnie

zadzwoił, jak gdyby oznajmiał sąd ostateczny albo wzywał wiernych do jakiejś wschodniej świątyni, i wreszcie całkiem ucichł.

Pan Eller wstał z krzesła, podszedł do zegara i z donośnym zgrzytem nakręcił go wiszącym na sznurku kluczykiem. Oburącz podniósł zegar i z trzaskiem postawił go w tym samym miejscu na półce. Z wnętrza mechanizmu znów dobiegło ciche, jakby drewniane tykanie.

Jedno z kociąt zawędrowało aż za pień do mięsa, więc pan Eller ostrożnie nad nim przeszedł, wracając na krzesło. Kociak zatoczył się jak pijany, odbił od spizarki na mięso i ruszył dalej. Kocięta błędziły po podłodze, co chwila się mijając, lecz nie widząc nawzajem. Jedno przedreptało obok stojącej przy piecu puszki po kawie, poślizgnęło się i wpadło do otaczającej puszkę kałuży tytoniowych płwocin. Z trudem wstało, umazane na boku i grzbiecie brązową lepką cieczą, dotelepało się do ściany i stanęło, wznosząc ślepe, zaropiałe oczy i kierując ku światu wątle miauki.

Pan Eller się zdrzemnął. Głowa powolutku opadła mu na ramię, a potem na pierś. Drzwiami za ladą weszła mała dziewczynka w cienkiej brudnej sukieneczce. Pozbierała kocięta, które zaczęły wtedy jeszcze głośniej zawodzić nierównym chórem, i wyniosła je ze sklepu, strofując półgłosem.

Pan Eller drzemał, a zegar tykał. Lep na muchy kreślił pod sufitem powolne spirale. Znów zerwał się wiatr, więc woda z koron drzew skropiła blaszany dach sklepu, lecz stukot kropel wydawał się dziwnie odległy, bo tłumili go deski stropu.

Sylder zamknął za sobą bramę i ruszył pod górę drogą do sadu, zrytą i rozjeżdżoną. Błotnistymi deltami wypełniającymi płaszczyznę między jedną a drugą koleiną ściekały jeszcze strużki wody. Samochód na zakrętach wpadał w poślizg, jakby dostawał zawrotów głowy, a w końcu zjechał skosem jak nerwowy koń i ugrzązł, rozpaczliwie hamując. Spod tylnych kół odwinęły się grube sznury błota, które trysnęło ponad pasem niskich zarośli w las, aby z dziwnie głuchym plaśnięciem oblepić pnie drzew. Sylder zgasił silnik i wysiadł, stając w jasnym błocku, po czym natychmiast poszedł w stronę zawrotki, oddalonej o niecałe pół kilometra. Błoto mlaskało, kiedy je deptał skórzanymi butami.

Na drzewach wisały jabłka, nie większe niż paznokieć kciuka, w świetlistym, płomiennym odcieniu zieleni, wręcz trupio zielone, jak brzuchy much plujek. Zerwał jedno mimochodem i ugryzł. Jadowita gorycz wykrzywiła mu usta, jakby skosztował persymony. Pomyślał, że gdyby od zielonych jabłek się chorowało, dawno by nie żył. Większość znanych mu ludzi jadła je bez mrugnięcia okiem. Liście sumaka też wcale ich nie piekły. Za to John Wesley, ten chłopiec, był wrażliwy na sumak. Miał widać złą krew.

Ściemniło się, zanim uporał się z robotą, znosząc po dwie skrzynki naraz drogą w dół. W sumie obrócił dziewięć razy. Kiedy ustawił w bagażniku dwie ostatnie, zamknął pokrywę i otworzył boczne drzwi. Usiadł za kierownicą i zdjął buty, które wyglądały jak bezkształtne bryły błota, i postawił je na podłodze za przednim siedzeniem.

Kilka razy dawał gazu, zanim auto wreszcie wyrwało się z błota, a potem musiał zjechać tyłem i dopiero po jakimś kilometrze znalazł miejsce, w którym droga wydawała się dość szeroka i twarda, żeby mógł bezpiecznie zawrócić. Kiedy wyjeżdżał na szosę, wiał już wiatr, rozpryskując o szybę strużki deszczu. Oparł lewą stopę w samej skarpetce o dźwignię ręcznego hamulca i spokojnie zjeżdżał z góry.

Światła miasta zamajaczyły aureolą i utworzyły spękany, żelatynowy obraz na czarnej rzece: splątane, połamane formy, bezkształtny rozbryzg świetlnych plam ciągnących się wzdłuż mostu równoległe do

rzędu eliptycznych, malejących w oddali latarń, które wychodziły im naprzeciw. Rytm wycieraczek, zakreślających łuki po przedniej szybie, działał kojąco. Sylder wrzucił na luz i auto potoczyło się po moście, zbliżając się do miasta spowitego deszczem i ciszą. Inne samochody mijały go powolnym, smutnym korowodem, blade, wodniście świecąc reflektorami.

Silnik zakaszłał i szarpnął, a potem znów zaskoczył i zrobił jeszcze kilka obrotów, po czym zgasł z paralitycznym cmoknięciem. Sylder wcisnął sprzęgło i przez jakąś minutę jechał na luzie, zanim z powrotem wrzucił bieg. Silnik szarpnął, auto gwałtownie zadrżało i stanęło.

Posiedział kilka minut za kierownicą nieruchomego samochodu, po czym na próbę przekręcił kluczyk. Rozrusznik radośnie zawirował, zaskoczył i parę razy prychnął, ale silnik nie ruszył. Marion wyłączył stacyjkę, wyjął ze schowka latarkę, wziął głęboki oddech i jak wariat dał susa w deszcz. Nurkując po pas pod uniesioną maską, która osłaniała go niczym paszcza życzliwego potwora, sprawdził kable i zawory. Wymontował z pompy paliwowej odstojnik, przytknął latarkę do szkła i spojrział. Płyn w odstojniku był jasnożółty. Sylder wylał go i z powrotem zamontował odstojnik, spuścił maskę i wsiadł. Musiał kilkukrotnie zakręcić kluczykiem, zanim odstojnik znów się napełnił i silnik zaskoczył. Wrzucił bieg i ostrożnie pojechał, nasłuchując. Po szybie przemykały mętными spiralami uliczne latarnie. Znikły wszelkie pojazdy. Zanim przebył most, silnik zagrzechotał i znowu zgasł.

Starzec obudził się w ciemnościach, wśród wody wciąż wijącej się pod liśćmi krętymi strużkami, w łagodnym, równo siąpiącym deszczu. Pies wpatrywał się w niego, złożony łeb na skrzyżowanych łapach. Człowiek wyciągnął rękę i dotknął psa, ten zaś niezdarnie wstał i powąchał jego dłoń.

Wiatr ustali w ledwie słyszalnej, dyszącej ciszy nocnego lasu słychać było tylko dobrotliwy deszcz, uderzenia kropel o gałąź, ich miarowe kapanie do kałuży zebranej w zagłębieniu liścia. Starzec usiadł z ustami pełnymi trawy i rozejrzał się, słysząc żebracze nagabywanie deszczu, cichy śpiew w owym mrocznym języku czarów, który woła kulę ziemską do ślubu.

Przychodzili po starca trzy razy. Najpierw tylko szeryf z Giffordem. Zdążyli wejść na pierwszy schodek werandy, kiedy pchnął drzwi, aż otworzyły się na oścież, i wycelował w intruzów, a oni zobaczyli złowieszco odwiedziony kurek starej strzelby. Odwrócili się i odeszli przez podwórko, nie odzywając się słowem i nie patrząc za siebie, a starzec zamknął za nimi drzwi.

Za drugim razem stanęli na zakręcie drogi, mając ze sobą trzech zastępców i funkcjonariusza z urzędu hrabstwa. Starzec patrzył z okna, jak przemykają i skradają się wśród krzaków, prześlizgując się od drzewa do drzewa niczym chłopcy bawiący się w Indian. Kiedy wszyscy byli już na stanowiskach, szeryf zawołał spod przydrożnej skarpy:

Łapy w górę i wylaż, Ownby! Jesteś otoczony.

Starzec nawet nie obrócił głowy. Siedział w kuchni, złożony łeb strzelby na oparciu krzesła, i obserwował jednego z zastępców, który przykucnął pod krzewem bzu w zachodnim rogu podwórka. Szeryf znów kazał mu się poddać i ktoś stłukł strzałem szybę w oknie frontowego pokoju, więc Ownby już nie czekał, tylko przytknął kolbę do policzka i posłał zastępcy kulkę. Ten wyskoczył z krzaków jak królik i dziwnymi susami pobiegł w stronę drogi, trzymając się za boczną stronę uda. Starzec spodziewał się, że zastępca krzyknie, ale potem uświadomił sobie, że przecież sam, przed laty też nie krzyczał.

I wtedy rozprysła się szyba w oknie kuchni, a odłamki wpadły do środka, więc schował się za piecem. W lesie wybuchła kanonada, a on siedział na podłodze, słuchając huku wystrzałów i stukotu kul przebijających ściany. Z desek raz po raz wykwitwały koronki żółtego drewna i prawie jednocześnie rozlegały się uderzenia pocisków, wbijających się w deski po drugiej stronie kuchni. Kule nie gwizdały w powietrzu. Starzec siedział na podłodze i ani drgnął. Jedna kula trafiła w piec za jego plecami i odbiła się z gniewnym brzękiem, tłukąc klosz lampy, która stała na stole. Zupełnie jakby w izbie buszowały niewidzialne, złośliwe duchy.

Na kolanach trzymał złamaną strzelbę, a w rękę pustą łuskę. Po kilku minutach strzelanina ustała, więc poczołgał się wzdłuż kredensu, ściągnął ze stołu pudełko nabojev i wrócił za piec. Nabiał broń i skręcił papierosa. Słyszał, jak tamci się nawoływają. Padło pytanie, czy ktoś jest ranny. Później szeryf kazał wszystkim się uciszyć, bo przecież ten stary sukinsyn strzelił tylko raz, a potem nie dał już znaku życia. Drąc się na całe gardło (jakby bez tego nie było go wystarczająco dobrze słyhać), Gifford zapytał, czy Ownby gotów jest już wyjść.

Starzec zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. Wokół domu panowała pełna cisza.

Ownby!, zawołał szeryf. Wyłaż, jak dasz radę.

Jeszcze przez chwilę trwała cisza, a potem rozległ się szmer rozmów i znowu huknęło parę salw. Kijek, którym podparte było wybite okno kuchni, wypadł na podłogę, więc górna połowa ramy okiennej zsunęła się z trzaskiem. Starzec słyszał, że po frontowym pokoju skaczą kawałki ołowiu, siekąc meble i czmychając przez ściany i krokwie jak robactwo.

Przestali strzelać i znowu odezwał się szeryf. Idźcie w większych odstępach, rozkazał. Kryjcie się, za czym się da, i pamiętajcie, ruszamy wszyscy naraz.

Starcowi wydało się to niezbyt mądre. Jeszcze dwa razy zaciągnął się papierosem i zgasił go, po czym wczołgał się pod piec. Widział przez pękniętą deskę, że nadchodzą. Kiedy tak patrzył na nich z dołu, wyglądali jak grubasy w trawie po kolana. Od południa nadchodzili dwaj z gwiazdami na piersi i dobytymi rewolwerami. Jeden był w mundurze khaki i sprawiał wrażenie agenta od podatku na alkohol. Starzec zapamiętał, którędy idą, wczołgał się tyłem spod pieca, szybko wrócił na stanowisko przy oknie i postrzelił jednego po drugim, nisko mierząc. Potem znów skrył się za piecem, złamał strzelbę, wyjął łuski i załadował naboje. Na dworze było zupełnie cicho. Szeryf już więcej nie wołał, a kiedy po jakimś czasie rozległ się warkot silników, starzec wstał i poszedł do frontowego pokoju obejrzeć szkody.

Późnym popołudniem znów się rozpadało, ale nie mógł już dłużej czekać. Czarne chmury sunęły po zboczach góry, rzucając cienie na ich jaskrawą zieleń, a w dolinach buńczuki mgły już to pełzały, już to unosiły się na wietrze, melancholijnie plotąc się i kędzierzawiąc, pękając i snując się po dolnych partiach stoków. Nad podwórkiem przefrunął trznadel, zmierzając do swej dziupli w szczerbatym wierzchołku sosny rażonej piorunem, i sypnął spod skrzydeł chromowymi błyskami.

Starzec wyniósł resztę rzeczy i spiętrzył je na sankach, a potem przypiął paskami od upręży, które przybił po bokach. Wrócił do domu i rozejrzał się, czy jeszcze czegoś nie da się zabrać. Po chwili wyniósł ręcznie tkany chodniczek, wytrzeptał go i ułożył na wierzchu sanek. Złapał za sznur, wyciągnął sanki na drogę i zawołał Zwiada. Stary pies wylażł spod werandy, spoglądając zaropiałymi niebieskimi ślepiami na świat pełen zamazanych kształtów. Starzec znów go zawołał, a wtedy Zwiad podszedł, kuśtykając na sztywnych łapach, i obaj ruszyli drogą na południe, aż w końcu widać było tylko ich niewyraźne blade sylwetki wśród deszczu.

Kiedy więc tamci trzeci raz przyszli po starca, nie zastali go w domu. Wrzucili przez okna granaty z gazem łzawiącym i z trzech stron przypuścili szturm do na wpół zrujnowanej rudery, która trzęsła się i chwiała pod ostrzałem. Jeden z ludzi z powiatu dostał kulę w szyję. Siedział potem na błotnistej ziemi, krew zalewała mu przód koszuli, a on płakał i wołał do kolegów, żeby załatwili tego wrednego skurwiela. Kiedy wyszli z domu, żaden nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Potem szeryf i jeden z zastępców podeszli, pomogli mu wstać i zaprowadzili do samochodu.

Nie, powiedział szeryf. Uciekł.

Co znaczy uciekł? Jakim cudem?, dopytywał ranny, ale w końcu przestał, bo szeryf tylko kręcił głową. Odjechali czterema samochodami na sygnale, rozpryskując błoto.

Zanim starzec wyszedł na tory, na górskich zboczach przestało padać, a on widział w gasnącym świetle dnia pod dolną krawędzią chmur długie ostre granie, które jak smukłe, płomienne psy gończe gnały przez całą krainę aż po jej zachodni kres, depcząc po piętach słońcu, sunącemu łukiem w dół. Odwrócił się do nich tyłem i ruszył ku wschodowi po torowisku, a sanki podskakiwały na butwiejących podkładach. Wciąż padało i szybko nadciągała ciemność. Od czasu do czasu przystawał, żeby sprawdzić, czy bagaż się trzyma, i mocniej dopinał paski. Szedł po szynach dwie godziny. Z ciemniejących pól wchodził w przecinki, w których noc ogarniała wysokie wały i gąszcz wiciokrzewu, kreślącego cieniste kształty, groteskowe postaci, sylwetki mitycznych lub wymarłych istot, w milczeniu śledzące jego wędrówkę. Kroczył na wschód po szynach, wpierając się pierśią w sznur, w gęsty fioletowy zmierzch.

Nim zapadła zupełna ciemność, zszedł z torów i skręcił w las, kierując się na południe, wymacując stopami ścieżkę

i lekko drząc w przemoczonym ubraniu. On i Zwiad minęli stary kamieniołom, piętrowe i niezgrabne monolity skał, które eksplozja wydarła z ziemi i podporządkowała ociężałej symetrii. Pochylały się żłobkowane fasady, blade i poległe wśród drzew niby ruiny starych świątyń. Cicho wędrowali niemal zatartym śladem drogi obok kamieniołomu. Sanki z szelestem sunęły po ziemi, a wynędzniały pies człapał, gdy minąwszy wykop, nad którym unosiły się wyziewy zielonej wody, zanurzyli się z powrotem w las, gdzie wapienne głązy odcinały się bielą od czarnej gleby jak stado monstualnych ślimaków, śpiących w zwęglonym lesie. Kępy drzew wolno wirowały, niczym karuzele o wysokich masztach, mieszając nawzajem swoje cienie, a potem rozstając się w mroku i zdumieniu. Deszcz ustał. A ci dwaj wciąż szli. Trop z próchna, który wyszurali stopami spomiędzy mokrych liści, ciągnął się za nimi jak gwiazdy wyorane stępką w kilwaterze.

Ranek zastał ich na południowym stoku góry Chilhowee. Pies leżał na stercie kłopotów przypięty paskiem, a starzec włókł sanki od drzewa do drzewa, pokonując ostatnią stromiznę. Z wysokości zbocza widział pierwszy słomiany brzask, wylaniający się jakby znikąd spoza garbu ziemi, i pogięty w niebieskozielonej mgielece horyzont. Po godzinie wspiął się na grzbiet góry, porośnięty pszennoziłą palczatką i bezdrzewny, jeśli nie liczyć złamanego kasztanowca, szarego jak kamień.

Słońce stało już wysoko, więc starzec odpoczął, oparłszy się o kasztan. Po chwili zasnął, nie wypuszczając liny od

sanki z obtartej dłoni. Pies też wyciągnął się w słońcu i marszczył pokancerowaną skórę, opędzając się od much. Po dalekim dnie doliny cienie chmur sunęły jak płynąca pod górę woda, przyciemniając pikowane obrzeża lasu, a gdy odchodziły, muśnięty nimi krajobraz znów zabarwiał się zielenią i umbrą. Chmury o koralowych brzegach, odlane w kształt błękitnego łuku nieba, rozbijały się o zbocza. Przez konchy światła przedzierał się motyl, lecąc w dół ku wierzchołkom drzew, złocistym i morskozielonym...

Starzec zbudził się późnym popołudniem i zjadł na zimno trochę kukurydzianego placka, dzieląc się nim z psem. Zwykle niewiele jadał, więc placek mu wystarczył. Potem zaczął schodzić, wlokąc za sobą mizerny dobytek i lawirując wśród młodych drzewek gęstych wawrzynów. Nieco po północy natknął się na drogę i skręcił w nią, kierując się na południe. Przeszedł przez drewniany most nad czystym szmerzącym potokiem i tą samą drogą znów ruszył w góry. Sanki lekko za nim sunęły, a pies człapał.

Na długo przedtem, zanim rano dotarł do tego domu, widział padające z niego światło. Kilkakrotnie mignęło mu z wysoka, z samego grzbietu góry, gdy przemierzał połoninę – wielkie jezioro w mroku, omiatane przelotnymi cieniami nocnych ptaków – ale nie mógł wiedzieć, że droga właśnie tam go zaprowadzi. Dopiero kiedy wszedł na szczyt wzniesienia, na którym stał dom, a tunel samochodowych reflektorów wykrawał spośród nocy odcinek drogi, znów zobaczył to światło. Słysząc było męskie głosy i warkot silnika.

Szedł dalej przed siebie, aż znalazł się w kręgu światła. Mężczyźni umilkli. Spojrzał na nich: dwaj stali oparci o bok samochodu, w którym siedział trzeci. Starzec się nie zatrzymał. Tamci rozmyli się, przesłonięci łuną reflektorów, aby po chwili zwiwnie wyłonić się z mroku. Patrzyli na starca, nieruchomi. A on stanął, kiedy światło już nie raziło go w oczy, i skinął im głową. Uszanowanie, powiedział.

Nie zabłądziliście aby?

Chyba nie, odparł.

Jeden z mężczyzn coś powiedział. Samochód wolno ruszył podjazdem w dół, a tamci dwaj szli obok niego. Kierowca wychylił się ku starcowi.

To droga donikąd, powiedział. Tylko zakręca i zawraca.

Jak daleko stąd do Wiatrołoma?, spytał starzec.

Kierowca zgasił reflektory. Pozostali dwaj podeszli i najpierw jeden, a potem drugi powiedział: Uszanowanie. Zwiad wgramolił się na sanki i wlepił w nich złowrogie spojrzenie.

Pyta się, jak daleko do Wiatrołoma, rzekł kierowca.

A po co mu to wiedzieć?

Drugi z mężczyzn postąpił o krok i z uprzejmym zaciekawieniem przyjrzał się starcowi oraz kupie bezwartościowych rupieci na sankach, na których leżał umordowany pies. Stąd nijak nie da rady tam dojść, powiedział. Trza wam byłoby iść przez Słonko i stamtąd się przeprawić za rzekę ... Do Wiatrołoma zewsząd trudna droga, ale to by było jeszcze trochu na skróty. Co tam chcecie robić, las rąbać?

Nie, odparł starzec. Chcę se tylko zbudować jaki taki domek i zamieszkać.

We Wiatrołomie?

A i owszem.

A skądęście są?, zaciekawił się kierowca.

A z okolic Knoxville.

Po chwili milczenia kierowca powiedział:

Zara jadę do Sevierville. Mogę was tam podwieźć, jeśli wam nie szkodzi przejechać się takim starym gruchotem.

Bardzo zanie z waszej strony, odrzekł starzec, ale chyba pójdę dalej.

No, powiedział kierowca do tamtych dwóch. Na mnie już czas. Na razie.

Skinęli głowami. Zajrzyj jeszcze kiedy. Samochód wolno ruszył, błysnął reflektorami i z głośnym

warkotem silnika odjechał drogą, aż znikł w oddali. Starzec żegnał się z dwoma nieznajomymi, trzymając w dłoni linę sanek.

Zajdźcie do nas na śniadanie, rzekł jeden z mężczyzn.

Bardzo zacnie z waszej strony, odpowiedział starzec, ale chyba pójdę dalej swoją drogą.

Moglibyście coś niecoś z nami przekąsić, nalegał drugi. Zaraz mielibyśmy siadać do stołu.

Chyba że tak, zgodził się starzec. Jeżeli wam nie wadzi.

Dom, do którego starzec wszedł owego ranka, nie był jakąś tam sobie wąską budą z desek, lecz górską chatą z czworokątnych bali, noszących głębokie ślady zmiennej pogody. Szpary uszczelniono gliną. Chata była długa, z dwuspadowym dachem, podzielona na dwie izby równej wielkości. W głębi jednej stał kominek z rzecznych kamieni, starszych niż sama rzeka i tak już wyobracanych przez fale, że gładkich jak jaja. Kiedy siadali do stołu, z drzwi po prawej zerknęła na nich ukradkiem jakaś kobieta. Wyższy wskazał starcowi taboret zrobiony z kierzanki obitej wysiedzianą do goła krowią skórą. Obaj wyjęli tytoń oraz bibułki i podsunęli je gościowi bynajmniej nie ceremonialnie, lecz z tą prześlągalną pokorą, którą wieśniacy potrafią zawrzeć w słowie lub w uniesieniu ręki. Starzec poczuł się całkiem swojsko.

Mówicie, żeście są z okolic Knoxville?, spytał wysoki.

A i owszem, odparł starzec, sklejjąc papierosa.

Mam w tamtych stronach siostrę. W życiu żem takich wrednych bachorów nie widział. Wyszła za chłopaka z Miodnego Kamieniołomu. Wiecie, gdzie to?

Ma się rozumieć, przytaknął starzec. Ja żem się rodził na Czerwonej Górze. Co niedziela po południu toilimy skórę chłopakom z Miodnego Kamieniołomu. Ot tak, dla wprawy.

Wysoki się uśmiechnął. To samo mi o was szwagier opowiadał, rzekł.

Teraz z kolei uśmiechnął się starzec. Nie napilibyście się czego o wczesnej porze?, wtrącił niższy.

Nie, chyba że wy chcecie się napić.

Niższy zniknął za drzwiami przybudówki i po chwili przyniósł z niej zakręcany słój. Ciekawe, czy to ten, którego szukał, powiedział, przechylając naczynie i obserwując łańcuszek wolno wznoszących się pęcherzyków powietrza. Zdjął przykrywkę i pociągnął długi haust, wlewając go sobie w chude żylaste gardło. Przełknął z namaszczeniem, przechylił głowę, jakby nasłuchując, i podał słój starcowi. To ten, oświadczył. Niezgarsza whisky, w sam raz do picia.

Starzec wziął od niego słój i upił spory łyk. W nogach czuł już jakąś ociężałość, więc troszkę uniósł jedną, a potem drugą, sprawdzając, ile ważą. Znowu nachylił sobie słój do ust, napił się i oddał naczynie temu samemu mężczyźnie. Fest whisky, jak się patrzy, powiedział.

Wyższy przejął słój, po czym zakręcił go i odstawił na podłogę. Niższy wyglądał przez okienko. Świta, powiedział. Wcześniejście wyszli, co?, dodał, zwracając się do starca.

Ten siedział z nogą założoną na nogę. Zamienił je miejscami i też spojrzął w okienko.

Ano niby wcześniej, przytaknął.

Przyszliście dzisiaj rano z Welland?

Nie, odparł starzec. Z Knoxville.

Znaczy się piechotą przez górę...

Przeszłem na przełaj, oświadczył starzec.

Tamci spojrzeli po sobie. Wyższy spytał po chwili wahania: Mówicie, że idziecie do Wiatrołoma?

Wybieram się, przytaknął starzec.

Po mojemu nie bardzo jest za czym tam chodzić, rzekł wysoki. Znałem w życiu paru ludzi, co bywali we Wiatrołomie, ale niejedno by oddali, żeby być gdzie indziej. Pamiętam, że jak mojemu staruszkowi

psy zapędzały się tam na noc, to je zostawiał, zamiast po nie iść. Gadał, że są we Wiatrołomie okolice, gdzie można przejść prawie kilometr i ani raz na ziemię nie stąpnąć, bo wszędzie nic tylko laurowe chaszczki i zwalone drzewa, a za każdym pnem grzechotnik... Ja sam nigdy żem we Wiatrołomie nie był.

Wy tam na długo?, spytał niższy.

Lecz zanim starzec zdążył odpowiedzieć, kobieta zajrzała przez uchylone drzwi i zawołała na śniadanie. Obaj mężczyźni natychmiast wstali i ruszyli do kuchni, ale nagle zatrzymali się, uświadomiwszy sobie, że starszy człowiek wciąż siedzi przy stole i niespiesznie dobiera słowa. Mieli zakłopotane miny chłopców, którzy z brudnymi rękami próbują się przekraść do stołu. Kiedy starzec wstał i przeszedł między nimi, ten niższy powiedział z czymś na kształt półśmiechu: Chyba żeśmy zapomnieli, jak trza się zachować, co?

E tam, gadanie, odparł starzec.

U podnóża góry znalazł się na rozległej, zarośniętej gęstym sitowiem polanie, przez którą spokojnymi zakosami toczył się płytki strumyczek. Piaszczyste dno upstrzone było cieniami jalców, a sześcioramienne gwiazdy nartników unosiły się na powierzchni jak świetliste krusze meduzy.

Starzec przykucnął, zaczerpnął garść wody i podniósł ją do ust, patrząc, jak jelce dryfują i migoczą. Zwiad minął go, zanurzył się głębiej i zaczął hałaśliwie chłeptać. Z łysiejących stawów skokowych ściekały mu strużki czerwonej gliny, rozpuszczając się w wodzie krwawym marmurem. Jelce czmychnęły na środek koryta, a z głazu po przeciwnej stronie odwinął się wąż wodny i spłynął ze słabym prądem – posuwiście, bez widocznego wysiłku, zdawałoby się, nieruchomy jak dźwięk fletu.

Starzec napił się, a potem oparł plecami o sanki. Cicho szumiała polana. Z lasu na zboczu góry odezwał się skalikurek i przy jego wołaniu, w którym były wszystkie letnie dni samotności i spokoju, stary człowiek zasnął.

A i owszem, powiedział sklepikarz. Tera chyba kojarzę, kto to taki. Wasz krewniak czy co?

Nie, odparł nieznajomy. Żaden krewniak. Mam tylko sprawę do niego.

Miał na sobie czyste ubranie z szarego drelichu, a na głowie porządny pilśniowy kapelusz, zsunięty z czoła. Huffaker zerknął ukradkiem przez okno na jego samochód, zaparkowany obok werandy. Był to zwykły czarny ford, jeden z najnowszych modeli.

Przybysz zauważył to spojrzenie i nieufny błysk w zmrużonych oczach sklepikarza.

Hmm, chrząknął Huffaker. Tak z marszu to nie powiem, gdzie go możecie znaleźć. Mieszka gdzieś tam, dodał, wskazując ogólnikowym gestem posępne wzgórze wokół doliny.

Handluje tutaj?, spytał nieznajomy.

No, właściwie to nie powiem, żeby handlował. Co to, to nie. W każdym razie nie stale. Widziałem go tu wszystkiego parę razy, a ostatnio kilka tygodni temu. Dziwny z niego starowina, chyba w ogóle ni ma pieniędzy.

No to co kupuje?

No, wziął trochu krzyżowej i worek mąki z kukurydzy. A ostatnią razą kawałek boczkusa.

Na kredyt?

No, nie. Ja tam mało komu borguję. On przynosi sang. Znaczy się korzenie żeńszenia. Miał też trochę gorzknika, ale on niewiele jest wart. Więc się z nim mieniam.

Na korzenie?

A i owszem, powiedział Huffaker. Wysłałem je do St. Louis. Tam gdzie i skóry.

Nieznajomy był chyba trochę zbity z tropu, ale już więcej o te sprawy nie wypytywał.

Wyście z tych stron?, zainteresował się sklepikarz.

Z okolic Maryville.

A!, powiedział Huffaker. Moje krewne tam mieszkają.

On ma jeszcze tego psa?

Znaczy się kto?

Ten stary... ten, co to...

Aha. A tak, był z nim pies. Stary gończy, co wygląda jak trzy ćwierci do śmierci, jak w ługu kapany.

Prawie całkiem wyliniał. Aż żal było patrzeć.

Znaczy, powiedział nieznajomy, nie wiecie, gdzie on mieszka?

Nie, ni mam pojęcia.

Tak czy owak dziękuję.

Ni ma za co. Zajdźcie jeszcze kiedy.

No i zaszedł. Zachodził codziennie przez tydzień.

Nazajutrz wczesnym rankiem siedział wśród niedzielnych bezbożnych obiboków, tuż poza kręgiem, który

utworzyli wokół wygasłego pieca, i samą swoją obecnością tak gasił ich wesołość, że wyglądali jak posepni uchodźcy oczekujący wiadomości o kolejnej katastrofie, komunikatu o powodzi, pożarze lub zarazie. Od czasu do czasu brał z szafki colę i popijał ją na stojąco, z dłonią na biodrze, patrząc na fantasmagorię towarów, które zwisały z belek stropu. To znów ponuro spoglądał w okno, za rzekę i wąski mostek – hen daleko, gdzie w głąb gór piał się szeroki zielony wąwóz.

W poniedziałek nie było go, kiedy Huffaker zszedł na dół, lecz gdy po pół godzinie sklepikarz wyszedł przed dom, żeby otworzyć kluczem dystrybutor paliwa, samochód nieznajomego stał na pochyłym zwirowanym podjeździe, a jego właściciel siedział na błotniku, mając na sobie wciąż to samo zmięte, lecz niezniszczalne ubranie, i popijał kawę z papierowego kubka. Za nim wznosiło się słońce, a na zachodzie pękał tuman mgły, ulatując ze zboczy i odstawiając laurowe bezdrzewia, aż płonęły wściekle zielonym blaskiem poranka. Nieznajomy znowu wpatrywał się w zarzeczne szczyty, jakby potrafił tymi swoimi szarymi jak łupek oczami z odległości co najmniej sześciu kilometrów dostrzec gdzieś na górskim zboczu starca z psem.

Huffaker puścił drzwi, tak że lekko trzasnęły, a wtedy tamten obrócił się w jego stronę. Sklepikarz powitalnym gestem podniósł dłoń, a nieznajomy skinął głową. Huffaker podszedł do dystrybutora i przekręcił klucz.

Znowuż się zapowiada śliczny dzień, co?, zawołał.

Na to wygląda, odpowiedział tamten. Dopił resztkę kawy i wyrzucił kubek, po czym zsunął się z błotnika i przeszedł w tę i z powrotem po żwirze, przeciągając się. Huffaker wrócił do sklepu.

Koło jedenastej mężczyzna wszedł do środka i znów skinął głową sklepikarzowi. Wziął paczkę herbatników i kawałek sera, a potem długo przyglądał się półce z ciastkami i w końcu wybrał słodką grahamkę. Położył to wszystko na ladzie, a Huffaker zaczął mozolnie rachować w bloczku, dodając na głos kolejne liczby.

I jeszcze liter mleka, powiedział mężczyzna.

Huffaker dopisał mleko do rachunku, podszedł do chłodziarki, przyniósł litrowy słoik z zakrętką i postawił go na ladzie. Klient przyjrzał się słoikowi, obracając go wokół jego własnej osi.

To mleko od pani Walker, uspokajającym tonem rzekł sklepikarz. Lepszego żeście w życiu nie pili, słowo daję.

Mężczyzna kiwnął głową i wyjął z kieszeni portfelik.

Czterdzieści pięć centów, powiedział Huffaker.

Klient zapłacił i wyszedł na werandę. Przysiadł, opierając się o narożny słupek, i zjadł drugie śniadanie. Potem długo siedział w kucki, paląc papierosy. W końcu odniósł słoik do sklepu i postawił na ladzie. Huffaker wyniósł go z powrotem na dwór i umył pod kranem, sterzczącym z bocznej ściany domu. W stronę sklepu zmiierzali jacyś klienci, więc zanim wrócił do środka, pomachał im ręką.

Po południu niezajomy znowu wszedł do sklepu i wypił coca-colę. Zanim wyszedł do samochodu, spytał Huffakera, o której zwykle przychodzi starzec.

Ten starowina?

Ten, o którego żem się was pytał.

Aha. Jak już, to przeważnie z rana. Ale za rzadko tutaj zagłada, żeby mógł powiedzieć, kiedy najpewniej da się go spotkać.

Światło wspinało się na wierzchołki najwyższych gór, a wśród ciszy świtu pierwsze ptasie głosy spływały jak woda na kamień. W lesie mgły bladły i rozpraszały się niczym wiekowe szare duchy, przy kołderkach z mchu drgała ciemna ziemia, a wzdłuż całej ścieżki leśne kwiaty, które stuliły się na noc, rozwijały zmięte liście. Ścieżką nadchodzili ci dwaj: wynędzniały pies ledwie się włókł w aureoli własnego nieprawdopodobieństwa, starzec zaś ostrożnie stapał po splekanych łupkach i kwarcach. Na ramieniu kołysał mu się w takt kroków czarodziejski kij, a w rękę niósł zwiotczałą, zatłuszczoną torbę z papieru, pełną osobliwie powykręcanych korzeni, przeznaczonych na handel. Przeszli przez szerokie osuwisko, inkrustowane słońcem i przewleczone strużką wody, ciekącą wąskim skalnym korytem w odcieniu ciemnej miedzi. Starzec przystanął, żeby cisnąć płytkę łupku w głąb wąwozu, w którym bezładnie leżały połamane drzewa. Pies popatrzył w dół, a potem rzucił starcowi pytające spojrzenie, jeszcze raz utkwiał wzrok w pustym wąwozie

i po chwili ruszył dalej, a starzec wziął kij i poszedł za nim. Jedna podeszwa prawie całkiem mu się urwała, więc kuśtykał, oszczędzając uszkodzony but, żeby zbyt nie nadwężyć szpagatu, którym go związał.

Przeszli przez osuwisko i zagłębili się w gęsty las, w którym słońce przesiewało się wysokimi wachlarzami wśród strzelistych pni, a na ziemi złocista zieleń przeplatała się z czernią. Starzec druzgotał kijem całe zastępy korzeniówek i szturchał zielone purchawki, żeby popatrzeć, jak buchają z nich trujące, zielonkawe obłoczki. W lesie panowała poranna wilgoć, a niekiedy dawał się słyszeć świst gałązki, z której zeskakiwała wiewiórka, potem zaś rozlegał się perlisty werbel kropli wody po liściach. Dwukrotnie spłoszyli cieciorniki, a gdy z gromkim furkotem wyfrunęły spomiędzy laurów, Zwiad nerwowo usunął się na bok.

Starzec szedł dawnym duktem przeciwpożarowym, wyciętym przez brygady Cywilnego Korpusu Roboczego. Z polany, na której zamieszkał, musiał najpierw wspinać się trzysta metrów stromym zboczem, lecz po dukcie szło się już łatwo, a gdyby nie uszkodzony but, osiągałby niezłe tempo. Od brodu, którym przeprowiał się przez rzekę, aby dojść szosą do sklepu na krzyżówkach (typowej budy z pijaną werandą, ogromnymi, po wielokroć ukamienowanymi tablicami reklamowymi napoju Nehi, wypaczonymi od niepogody listwami oraz ścianami z nie malowanych bali, szarych jak kamień), dzieliło go dziesięć kilometrów, ale tego dnia wyruszył zawczasu. Przez lukę między drzewami

hen, nisko widział dolinę, rzekę płynącą po jej dnie i kocioł w cieniu góry, w którym dym i piana kipiały, jakby ziemię znów ogarnęło niegdysiejsze wzburzenie. Czarna mgła leniwie osiadała w przecinkach i rowach niby płynąca lawa, a skalne palisady strzelały wwyż na urwistych obrzeżach doliny. Za nią zaś słońce okalało dalekie siwe kopuły, wznoszące się w blasku poranka. Sięgało aż na stok, na którym odpoczywał starzec, przebijało drobinki mgły, heraldyczne jak płatki śniegu, rozpędzając je w roziskrzony, rygorystyczny chaos, i dotykało drzew, prążkując je światłem i tkając wzory wśród z wolna prostujących się paproci, a jego dalekosiężny blask padał na mokre liście, znów kładąc na nich swój menniczny znak.

Bucior, kij i splekane poduszki łap chroboczą i szurają po cienkich jak muszle kamykach, aż wreszcie zatrzymują się tam, gdzie leży na grzbiecie zwinięty wąż, a nad nim bezszelestnie to składa się, to znów wybucha kwietna korona pikujących motyli, które wachlują jego płaski, trupio blade brzuch. Zwiad ostrożnie go obwąchuje, a motyle w powolnym wirze fruują wokół psiego łba, namaszczając go kwiecistym błogosławieństwem żyłkowanej arlekinady skrzydełek. Starzec kijem odwraca węża i widzi przykurzony, jakby dywanowy wzór na jego matowej skórze i czarny skrzep krwi w miejscu po odciętych grzechotkach.

Idą dalej, teraz już cicho stąpając po żyznym czarnoziemiu, pokrytym tu i ówdzie porostami, miękkimi jak stary zielony aksamit, po mokrej, gąbczastej glebie, przeplecionej ścięgami korzeni, i w ślad za cofającą się granicą cienia schodzą w dymiącą dolinę rzeki.

Huffaker twierdził potem, że tylko przypadkiem spoglądał z okna ku rzece akurat owego ranka, gdy nadszedł starzec, lecz w rzeczywistości patrzył w tamtą stronę nie mniej uważnie niż cierpliwy, małowówny przybysz w szarych, wyprasowanych drelichach. Ten bowiem wyczekiwał starca od tygodnia i oto ujrzał go na moście, z topornie wyrzezanym kijem i papierową torebką w ręku, z wiszącym z przodu u pasa zapleśniałym workiem, podobnym do szkockiej sakiewki, z ogromniałej i szmatławej. Z tyłu człapał wynędzniały pies, depcząc swojemu panu po piętach i od czasu do czasu zadzierając pysk, cały w szramach od ukąszeń, jakby coś bez żadnych złudzeń niezłomnie potwierdzał. Obaj szli po wyblakłym od niepogody, skąpanym w słońcu moście, dziarscy, a zarazem smutni jak okaleczeni żołnierze w drodze do domu. Huffaker wyszedł przed drzwi, a wtedy ten w drelichach, który właśnie bez pośpiechu nadchodził od strony samochodu, zgrzytając butami po żwirze, rzucił mu szybkie spojrzenie. Sklepiarz podszedł do pękniętego termometru, wmontowanego w wiszącą na rogu budynku tablicę z reklamą tabaki, i udał, że sprawdza temperaturę, po czym spojrzał na wznoszące się słońce, pociągnął nosem i wszedł z powrotem do środka. Starzec kroczył drogą, zbliżając się do sklepu. Ten w drelichach stał na werandzie, luźno zahaczywszy ręką o słupek, wsunął palec wskazujący do kieszonki na zegarek i wolno pogryzał słomkę, ze spokojną obojętnością zawodowego mordercy obserwując nadchodzącego.

A kiedy starzec wszedł na werandę, tamten powiedział:

Arthur Ownby.

Arthur Ownby wolno potoczył wzrokiem i zatrzymał na nim spojrzenie.

A i owszem, rzekł.

Wsiadajcie do wozu. Jedziemy.

Starzec znieruchomiał. Patrzył na nieznanego, a potem gdzieś w przestrzeń spokojnymi, mlecznoniebieskimi oczami, śledząc lot gołębia ku ziemi, po czym spojrzał nad pochyłymi łąkami w stronę zielonej góry i wąskich błękitnych szczytów, które strzelały w dalekie niebo, nieustannie pnąc się

wzwyż, niepowstrzymane żadną granią kształtów ani barw.

Słyszycie?

Starzec się obrócił.

Nie przeszkadza wam, że najpierw zahandluję?

Jesteście aresztowani. Niczym wam nie trza handlować.

Starzec daremnym gestem podniósł rękę, w której trzymał torebkę żeńszczenia, i znów zwrócił się twarzą w stronę sklepu.

Jedziemy, powtórzył ten w drelichach.

Ownby ze smętną miną zaczął schodzić z werandy, a pies beznamiętnie, cierpliwie zawrócił i poczłapał za nim, posłuszny krótkowzrocznemu, niemal bezwiednemu nawykowi, i tak doszli do samochodu w ślad za mężczyzną w krochmalonym, trzeszczącym ubraniu. Starzec niezdarnie wgramolił się na przednie siedzenie drzwiami, które otworzył przed nim agent. Już się zamykały, kiedy się zorientował, że pies został na zewnątrz, najwidoczniej nie objęty nakazem aresztowania, toteż gwałtownie uderzył ręką w zbliżającą się szybę i tapicerkę, zatrzymując drzwi. Agent spojrzął na niego pytająco.

Starzec nie wiedział, jak zacząć, więc prawie minutę przesiedział w milczeniu, majtając zuchwą w górę i w dół, jakby mu brakło tchu, toteż agent spytał:

No, o co chodzi?

Arthur Ownby wskazał skinieniem głowy sędziwego psa, który tkwił bez ruchu na żwirowanym podjeździe, patrząc ze zdumieniem na stojącą przed nim maszynę.

A co z nim?, spytał starzec.

A co ma być?

Nie wadzi wam, że pojedzie z nami?

Sprzeciwicie się aresztowaniu, Ownby. Siadajcie jak człowiek.

Agent trzasnął drzwiami, ale kij starca wystawał poza stopień nadwozia, więc drzwiczki odskoczyły, a laska pękła, odnosząc pyrrusowe zwycięstwo. Starzec wciągnął ją do samochodu i obejrzał dolną część, pochylając się nad sterczącymi w miejscu złamania wąsikami drewna. Ten w drelichach jeszcze raz z rozmachem pchnął drzwi, tym razem skutecznie: zatrzasnęły się starcowi przed nosem, aż prawie dech mu zaparło.

Agent zmierzał już ku drzwiom po stronie kierowcy, toteż starcowi pozostało niewiele czasu, zaczął więc szarpać za klamki, aż trafił na tę właściwą, znowu otworzył drzwi, wychylił się i zawołał psa, który stał o kilka kroków od niego i kołysał się to w przód, to w tył, zbity z tropu.

Hej, Zwiad, szepnął starzec. No dalej, włącz.

Hola!, zawołał agent. Co wy tu, do diabła, kombinujecie?

Pies postąpił o krok, lecz zaraz się cofnął. Agent przystanął w pół drogi między jednymi a drugimi drzwiami i zawrócił. Starzec wyprostował się i patrzył na niego.

Juzem wam raz mówił, rzekł agent, idąc żwawym krokiem i sięgając ręką do drzwi. Starzec odskoczył, spodziewając się, że znów się zatrzasną i go uderzą, ale raptem szeroko się otworzyły. Agent wsunął głowę do auta i spojrzął na starca, a jego twarz wyglądała jak gniewna antyczna maska.

Chcecie uciec?, spytał.

Nie, panie szanowny, odparł starzec. Chciałem tylko zabrać psa...

Tylko psa?! Agent odwrócił się i jakby dopiero teraz dostrzegł gończego. Mówili mi, żeście są wariat. Psiamać, nie możecie zabrać żadnego psa...

Sam nie da se rady, tłumaczył starzec. Za stary jest.

Ja nie rakarz, a to nie psia buda, tylko samochód, odrzekł agent. I nie przystali mnie tu, żebym woził jakiegoś zdychającego burka. A tera wsiadajcie i siedźcie, do jasnej cholery.

Powiedział to bardzo wolno, zrównoważonym tonem, a starzec dopiero teraz naprawdę się zaniepokoił. Jakoś jednak to ścierpiał, że drzwi znów się zamknęły, i nie wracał do tematu, póki agent nie obszedł samochodu i nie usiadł za kierownicą.

Nic by nie szkodziło, jak by się też przejechał, rzekł. Przecie nie mogę go tak zostawić.

Dziadku, powiedział agent. Radzę wam, siedźcie i ani pary z gęby, bo i tak już napytaliście se biedy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i pchnął do góry dźwignię skrzyni biegów, aż starcem targnęło w tył. Bałwan pyłu zakipiał przed nim i zaraz opadł, a pies stał na podjeździe w chmurze fruwającego żwiru. Nagle z głośnym warkotem wzięli długi zakręt, wyjechali na szosę i zaczęli się oddalać. Starzec w garści trzymał kij, a między kolanami brudną torebkę, i oglądał się na psa, który wciąż stał niby jakiś atawistyczny symbol albo czworonożny herold wszelkich niepojętych pytań, jakie trapiły kiedykolwiek ludzkość, ale w końcu podniósł łeb, żeby odrzucić fałdy skóry znad zamglonych ślepiów, i chwiejnie potruczał za samochodem.

Warn dmuchał w futro, tworząc w nim lejki, kosmate jak kwiaty ostu.

Nie, powiedział. Może z dziesięć dolarów. Popatrz się, dodał, znowu dmuchając. Za jasna. Trza złapać pierwszorzędną norkę, żeby zarobić dwudziestaka.

Chłopiec skinął głową.

Sierść wyłazi, powiedział Warn. O, tutaj. Oddał chłopcu norkę. Wytarosił ją jak diabli, co?

Chłopiec rzutem od dołu cisnął martwe zwierzątko z powrotem na półkę w drewnutni. Zlazł ze stosu polan i razem z Warnem wyszedł na dwór. Pod okapem unosiło się kilka os, które zwieszały długie łapki. Akacje miały już małe pączki. Wkrótce zostaną z niej same kości, ale on nie przyjdzie popatrzeć tak jak wtedy, kiedy wykopał polatuchę, którą wcześniej pogrzebał w słoiku, i okazało się, że za szkłem tylko kostki z resztkami futra walają się jak jakieś farfocle.

Poszli drogą w stronę domu Warna, bo na polach było jeszcze zbyt mokro, żeby dało się przejść, i minęli sklep.

Masz coś grosza?, spytał Warn.

Ni mam, odparł chłopiec. Jeszcze żem nie sprzedał skórek. A ty?

Też ni mam. Skórki żem sprzedał, ale nic mi nie zostało. Ledwo coś zarobię, to zara przeputam. Tylko żem se nowe buty do szkoły kupił.

Wiele żeś za nie dostał?

Za skórki? A bo ja wiem. Przeważnie po dwa dolary za sztukę. Za największego szczura dał mi chyba trzy, a niektóre podobno były młode, więc poszły tylko po dolarze. Miałem osiemnaście skórek, a dostałem chyba ze trzydzieści trzy dolary.

Powinnem zarobić sześć, powiedział chłopiec. Dwa jestem krewny.

Komu?

Sylderowi. Pożyczył mi na sidła, jak Gifford mi stare wziął. A przedtem żem w mieście podpisał papier, że je weznę i kupię, i dlatego w sklepie za te pierwsze policzyli mi taniej.

Jak będziesz tak dalej kombinował ze Sylderem, podpisywał w mieście papiery i pakował się w różne

takie gówna, to cię w końcu chycą za dupę i wsadzą do więzienia. I tak masz farta, że Gifford cię nie zgarnął.

Gifford to cykor.

O?, zdziwił się Warn. Nie wiedziałem, żeś mu napędził strachu.

Warn miał z tyłu domu własny pokój. Chłopiec usiadł na łóżku, a gospodarz zaczął szperać w górnej szufladzie staromodnej szafki krawieckiej. Wyłowił z niej składany nóż o zakrzywionym ostrzu, trzy groty od strzał, całą kolekcję kul do strzelby, które wskutek utlenienia przybrały odcień aksamitnej szarości, skalpel, kamienie, kilka dynamitowych

kapiszonów, rozmaite wędkarskie przybory, suszony żeńszeń, zwój miedzianego drutu... Przetrzęsając cały ten rozgardiasz, znalazł w końcu ciekawą broszurkę z oślimi uszami. Okładkę zdobił archaiczny, zrobiony bez wyczucia proporcji rysunek tuszem, przedstawiający rysia schwytanego w potrzask. Nad rysunkiem czarnymi literami naśladowującymi ręczne pismo wydrukowano: PUŁAPKI NA ZWIERZĘTA FUTERKOWE AMERYKI PÓŁNOCNEJ. Warn z uszanowaniem wziął znalezisko do ręki.

Mam ją od wujka Athera, powiedział. Coś w niej znajdziemy.

W rozdziale zatytułowanym *Pułapki na rysie i żbiki* znaleźli plan, którego pokretna przebiegłość podzielała im na wyobraźnię. Przynętę należało powiesić na gałęzi nad pieńkiem ściętego drzewa. Pułapkę zastawiało się na pieńku, więc gdy ofiara wspinała się na zadnie łapy (rysunek przedstawiał ogromnego kosmatego rysia, który stał właśnie w takiej pozycji, obwąchując przynętę), przednią łapę opierała o pieńek, wkładając ją prosto w potrzask (ten również narysowano, dla odmiany linią przerywaną), sprężony pod garścią liści.

Warn z uroczystą aprobatą pokiwał głową. To ten, powiedział.

Chłopiec uważnie przyjrzał się pułapce, a potem Warn schował broszurkę z powrotem do szafki.

Myślisz, że to naprawdę był ryś?

A jak nie on, to co?, spytał Warn. Jak się nie mylę, to żadne inne zwierzę w tych stronach ni ma ostrych pazurów.

Przydałoby się zarobić tego dziesiątaka, stwierdził chłopiec.

Sierżant dyżurny wpatrywał się w kanciastą postać Mariona Syldera z urazą, jakby czuł się wykorzystywany. Sylder patrzył na niego z czymś na kształt rozbawienia. Policjant znowu pochylił głowę nad papierami, poruszając ustami z cierpliwym obrzydzeniem. Po kilku minutach namysłu odłożył jedną z teczek do szuflady biurka i sięgnął po pióro. Nazwisko, powiedział, utkwivszy zmęczone, znudzone spojrzenie w kałamarzu.

Fred Long.

Marion Paris Sylder. Zawód.

Metalowiec.

Bez zawodu. Żonaty?

Nie.

Żonaty. Adres.

Czerwona Góra w Tennessee.

Droga numer dziewięć w Knoxville. Hmm... wiek.

Dwadzieścia.

...osiem. Karany?

Milczenie.

Karany?

Sierżant spojrział na Syldera, jakby zaskoczony jego widokiem. Karany?, powtórzył bez pośpiechu.

Znów nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Coś zabrzączało gdzieś daleko, w głębi budynku. Sierżant czekał. Po pewnym czasie ze znużeniem skinął głową siedzącemu na krześle przy drzwiach stójkowemu. Ten wstał i niespiesznie, jakby z pewną lakonicznością w ruchach podszedł do więźnia. Sylder obrócił się i spojrział na niego. Kiedy znów popatrzył na sierżanta, stójkowy szturchnął go pałką w żebra.

Au!, jęknął Marion.

Stójkowy zrobił skrzywdzoną minę.

Karany?, powtórzył sierżant, przeciągając sylaby i tłumiąc ziewanie.

Przecie wy i tak wszystko wiecie, odparł Sylder. Au!

Stójkowy wpatrywał się w niego z ochoczą miną, trzymając pałkę w pogotowiu.

Kara...

Nie, powiedział Sylder.

Niekarany.

Sierżant zamknął oczy i z wniebowziętą, pogodną miną rozparł się na krześle. Stójkowy wrócił na miejsce przy drzwiach. Od strony celi na tyłach budynku dolatywały strzępy piosenki, którą ktoś śpiewał smutnym głosem. Sierżant grzebał w papierach. Zewnętrznym korytarzem wracali policjanci, tupiąc nogami, szeleszcząc płaszczami przeciwdeszczowymi i przeklinając pogodę. Gdzieś zagrzecotała rura pieca.

Po dłuższej chwili sierżant znów spojrział na Syldera.

To by chyba było na tyle, powiedział. Zatrzymujemy was za nielegalne posiadanie nieopodatkowanego alkoholu. Ktoś tu do was zara przyjdzie trochu pogadać.

Kto taki?, spytał Sylder.

Niejaki Gifford. Szłyszeliście o nim? Strażnik!

Jako trzeci odwiedził Syldera chłopiec. Z poważną miną wytrzeszczył oczy, kiedy szyderczo uśmiechnięty strażnik otworzył przed nim drzwi celi.

Masz tu swojego wujka, powiedział klawisz. Mały koleżka przyszedł w gości.

Chłopiec wpatrywał się w siedzącego na stalowej pryczy mężczyznę. Strażnik podążył za jego spojrzeniem. Niezbyt dziarsko wygląda, co?, spytał. Jakby koty rozsądzał. Właż i się przywitaj. Rozwesel trochę nieboraka.

Chłopiec wszedł do celi. Sylder skupił na nim wzrok, zdołał się lekko uśmiechnąć i skinąć głową. Siemasz, gruby, powiedział. Drzwi zamknęły się z metalicznym brzękiem i strażnik odszedł, a stukobcas i dźwięklucz niosły się echem w korytarzu.

Siemasz, odparł chłopiec. Co ci się stało?

No, trochę żem się poróżnił z tymi panami o to, czy człowiek ma prawo wozić nieopodatkowaną whisky po drodze utrzymywanej z podatków, no bo jak nie zapłacił podatku od whisky, to mógł też stracić prawo do jeżdżenia drogami, których ta jego nieopodatkowana whisky nie pomaga utrzymać, a zresztą nawet jak by zapłacił podatek, to może i tak nie miałby prawa. Za takie coś chyba człowieka deportują.

Ja nie o tym, rzekł chłopiec. Rozwaliłeś się?

A... Nie... Znaczy się sam byłem zdrowo nawalony, ale wozu żem nie rozwalił. Ze zboląłą miną pomacał wielobarwne obrzmienia na policzku i czole. Nieźle mnie poobijali, co? Nasz wspólny znajomek

załatwił mi te ozdóbki... Diakon Gifford. Z dwoma kumplami, co mnie trzymali. Nawet nie bardzo miał do tego serce, póki zem go nie kopnął w jaja. Tera mają kłopot, żeby mi zesła opuchlizna, bo inaczej nie da rady pokazać mnie w sądzie. Parę zeber też mi złamali, ale o tym nie wiedzą. Dla mnie to jak as w rękawie. No, siadaj. Skrzywił się, spuszczać nogi z pryczy, żeby zrobić miejsce.

Chłopiec chwilowo nic więcej nie mówił. Usiadł na pryczy, nie spuszczać wzroku z Syldera. Po chwili rzekł:

A to sukinsyn.

Ech, westchnął Sylder.

Jak cię... Mówisz, żeś nie miał kraksy, więc jak cię...?

Złapali? Nie było trudno. I tak miałem wybór, bo mogłem skoczyć z mostu. Niektórzy wychodzą z tego żywi.

No więc?

Woda w benzynie. Chyba trochę za dużo napadało. Przynajmniej za dużo jak na tą zasraną nieszczelną beczkę starego Ellera. Skurwiel prędzej pójdzie do diabła, niż wyciągnie ode mnie pieniądze za tamto tankowanie. Wóz stanął w połowie mostu przy Henley Street.

Ojej.

Sylder oparł się plecami o betonową ścianę i wystukał palcem papierosa z paczki. Kiepski żart, nie?, powiedział.

Ja go załatwię.

Że co?

Załatwię sukinsyna.

Co? Tego starego pierdziela? A niech mnie szlag... Ooo, westchnął po chwili.

No tak, rzekł chłopiec. Diakona.

Sylder przestał się uśmiechać. Czekał no, powiedział. Nikogo nie załatwisz.

Ale jego tak, upierał się chłopiec.

Nie, rzekł Sylder. Patrzył twardym wzrokiem na chłopca, ten jednak wiedział, że ma rację.

Dlaczego?, spytał. Trzymaj się z daleka od Jeffersona Gifforda, i tyle. Słyszysz?

Myślisz, że się wpakuję, odparł chłopiec. Myślisz, że ja...

Uparty z ciebie gnojek, co? Słuchaj...

Sylder umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. Może szukał odpowiedniego słowa. Słuchaj, powtórzył. Co zaszło między nim a mną, tobie ani nikomu nic do tego. Więc piękne dzięki, ale nic żeś mi nie jest krewny, a ja nie żaden kaleka. Ze swoimi Giffordami radzę se sam. Jasne?

Chłopiec nie odpowiedział i chyba wcale nie słuchał. Sylder zapalił papierosa, przyglądając się młodemu. Ten obrócił się i spojrzał na niego, a potem jakby coś sobie przypomniał, bo sięgnął do kieszonki dzinsów, wyjął dwa złożone banknoty dolarowe i podał mu je.

Co to?, spytał Marion.

Dwa dolary, co ci je wiszę. Pożyczyłeś mi na sidła.

Nie.... zaczął Sylder, ale umilkł, patrząc na chłopca, który podawał mu dwa brudne papierki. Dobra, powiedział. Wziął pieniądze i wepchnął je do kieszeni koszuli. Dobra, jesteśmy kwita.

Chłopiec milczał chwilę, a potem rzekł:

Nie.

Co znaczy nie?

Wcale nie jesteśmy kwita. Bo może i bez ciebie żem stracił sidła, ale to żadna strata, bo tera znowuż żem zarobił

i kupił nowe, no i dobra... Ale ty żeś przeze mnie oberwał, a i może do więźnia też przeze mnie żeś trafił... więc jeszcze się rachunek nie wyrównał, w tej sprawie jeszcze nie jesteśmy kwita.

Sylder sięgnął po pieniądze, ale się rozmyślił i usiadł prosto, rozgniatając obcasem niedopałek. Potem spojrzął na chłopca.

Kwita czy nie kwita, jeden czort, powiedział. Mówię ci, trzymaj się z dala od Gifforda, i tyle. Posłuchasz się mnie?

Chłopiec milczał.

Przysięgniesz?, spytał Sylder.

Nie.

Marion wpatrywał w jego dziecinną, wojowniczo zaciętą twarz. Słuchaj, powiedział. Tyś się chyba uparł narobić mi jeszcze gorszych kłopotów, ty...

Ja nic nie...

Nie, zaczekaj, do cholery.

Chłopiec umilkł. Siedzieli, patrząc na siebie. Mężczyzna z twarzą spuchniętą jak od pszczelich żądeł pochylał się do przodu, chudy i ogromny, a chłopiec siedział, ledwie przycupnąwszy na brzeżku metalowego wyrka, jakby nie chciał zbytnio się rozsiadać tam, gdzie tyłu przed nim leżało na twardym.

Słuchaj, powtórzył Sylder, głęboko odetchnąwszy. Chcesz, żeby wszystko było kwita, no to dobra. Ja i Gif jesteśmy skwitowani.

Chłopiec ciekawie na niego spojrzął.

A żebyś wiedział, rzekł Sylder. Ja przywaliłem jemu, a on mnie. To chyba sprawiedliwie, co?

Chłopiec wciąż milczał ze spokojnym niedowierzaniem.

Nie, ciągnął Sylder. Nie zapomniałem, że siedzę we więźniu. Pewnie myślisz, że jak mnie przyskrzynił, to znowuż jest między nami nierówno, co? Właśnie, że nie. Taką ma robotę. Za to mu płacą. Żeby aresztował ludzi, co łamią prawo. A ja żem je łamał, i to zawodowo. Pochylił się i spojrzął chłopcu w twarz. W trzy godziny zarabiałem więcej niż robotnik w tydzień. Dlaczego? Może miałem cięższą robotę? Nie. Ale jak człowiek żyje z czegoś, za co koniec końców musi trafić do więźnia, to ma mieć zapłacone za odsiadkę, i to z góry, nie tylko za ten czas, kiedy łamie prawo, ale i za ten, który będzie musiał przetrzymać, jak już go drapną. No więc dostałem swoją dolę. I Gifford też dostał swoją. Nikt nic nikomu nie jest krewny. Jakby nie było Gifforda i prawa, tobym nie miał tej roboty przy szmuglu, a znowuż gdybym ja nie szmuglował, to Giffordowi nie daliby roboty przy aresztowaniu szmuglerów. No to kto komu jest krewny?

Minę miał prawie wściekłą, gdy tak stopniowo podnosił głos.

Ale tobie, dodał, zachciewa się, psiakrew, bohaterstwa. A ja ci mówię, że bohaterów już ni ma.

Chłopiec jakby się skurczył, rumieniąc się na twarzy.

Rozumiesz, co do ciebie mówię?, spytał Sylder.

Nigdy żem nie powiedział, że chcę być bohaterem, ponuro odparł chłopiec.

Nikt nigdy tak nie powiedział, rzekł Sylder. Ja w każdym razie nic żem nie zrobił, jak żeś to nazwał, przez ciebie.

Czego mi się nie podoba robić, tego i nie robię. Chcesz mi się przysłużyć, to trzymaj się z dala od Gifforda. I ode mnie też. Niepotrzebnie przyszłeś. Jeszcze mnie oskarżą o psucie małoletniego. Idźże już.

Oparł się plecami o ścianę i zapatrzył w pustkę. Po pewnym czasie chłopiec wstał, podszedł do drzwi i

spróbował, czy zamknięte, a Sylder nie zaszczycił go spojrzeniem ani słowem, tylko zawołał strażnika. Usłyszał, jak klawisz nadchodzi, brzęczy kluczami i ze zgrzytem otwiera celę. Potem zapadła cisza. Sylder podniósł wzrok. Chłopiec stał w drzwiach, na wpół zwrócony w stronę korytarza, i patrzył na niego z nikłym uśmiechem, zbity z tropu, jakby w obliczu niezbitego faktu próbował jeszcze nie wierzyć. Sylder podniósł rękę na pożegnanie. Drzwi zatrzasnęły się z głośnym brzękiem.

Marion usiadł prosto i prawie wstał z pryczy, mając ochotę zawołać chłopca, żeby mu powiedzieć: *To wszystko nieprawda, co żem ci nagadał. Same kłamstwa co do słowa. On też jest kawał drania i bandyty, a ty go zaszczel, jak masz ochotę, spał w jego własnym łóżku, zrób z nim, co chcesz, do cholery, bo on na dodatek jest zdrajca, a człowiek może ukraść z chciwości albo zabić w gniewie, ale ten drań sprzedaje własnych sąsiadów, czyli tak nisko upadł, tak głęboko się stoczył, jak mało kto.*

Miękko, z niespieszną gracją stawiała skórostopę łapki, tylne trop w trop za przednimi, z isticie kocia precyzją, jedwabistym ruchem, falując łopatkami i kołyszając zadem. Brzuch także lekko się kolebał, wychudły, lecz obwisły. Nisko spuszczone łebek sunął naprzód, prosto jak po niewidzialnej szynie. Ciągnął się jeszcze za nią lekki odór stęchlizny, zawleczony z wygodki, w której przespała cały dzień, niespokojna od skwaru, omdlewając w kącie wśród zakurzonych liści, nasłuchując suchego skrzybotu i szelestu karaluchów, wiercenia korników w szparach. Szła teraz przez poletko zarośnięte uschłymi chwastami, z których siał się rzadki pył kwiatostanów, ilekroć mimochodem się o nie ocierała. O zmierzchu wychynęła ze swojej nędznej siedziby, żeby kocia ścieżką przemierzyć wąskie półko.

Przedostała się przez gąszcz wiciokrzewu ciemnym tunelem, w którym ziemia była jeszcze wilgotna, a potem zeszła po nasypie do przepustu pod drogą i przemknęła przezeń na pole, stamtąd zaś do wyschłego wąwozu o dnie ze spękanej, skędzierzawionej gliny, jakby wysypanym skorupami potłuczonych naczyń, i skręciła w boczną odnogę rozlewiska, zarośniętą w tym miejscu mniszkiem i łopianem. Wiedziona ledwie wyczuwalnym zapachem nornicy lub ryjówki, dotarła do jamy w trawie. Rozdrapała ubite kłębowisko źdźbeł, aż się pod nią zapadło, i jeszcze je udeptała, zanim ruszyła dalej przez pole. Czmychały przed nią świerszcze, a pasikoniki z furkotem skakały z łodyg zielska. Górą bezszelestnie przemknął jakiś cień. Mogło to być stado ptaków, wracających skądś o tej późnej porze.

Blisko środka pola rósł samotny orzech włoski, wczepiony korzeniami w wapienne wypiętrzenie, które chroniło go dotąd przed toporem i pługiem. Kotka chwilę węszyła wśród głązów, falując jak łasica w ich miniaturowym labiryncie. Pachniało orzechami i wiewiórkami ziemnymi. Ale nic nie znalazła.

Kiedy wyszła spomiędzy wapiennych skał i spod korony drzewa, jakiś cień, niczym rozlewająca się coraz szerzej kałuża tuszu, wyrósł nad nią w ciemnościach z cichym sykiem piór, który ustał, gdy na wpół obróciwszy głowę, ujrzała rzecz nie do wiary, ogrom rozpostartych, wysklepionych skrzydeł, a wtedy znów się obróciła, już skamłając, bo sowa jak spadający kamień ugodziła ją w grzbiet.

Pan Eller zamknął za sobą lwiogłowe drzwi i zagrzechotał zasuwą, sprawdzając, czy trzyma. Potem sprawdził plecioną opaskę wokół portfela, który miał w bocznej kieszeni, poprawił na głowie słomkowy kapelusz i ruszył drogą pod górę do domu. Przy skrzynce pocztowej zatrzymało go cienkie, słabe zawrodozenie kota, które rozległo się jakby wprost nad nim. Rozejrzył się, ale w pobliżu nie było żadnych drzew. Pokręcił głową i ostrożnie poszedł dalej po wyboistym podjeździe. Znów dał się słyszeć koci wrzask, tym razem z większej odległości, jakby od strony szeregu sosen, rosnących za domem. Pan Eller tym razem nie przystanął, póki nie dotarł do

werandy – miejsca spoczynku, gdzie żarówka wytrwale rozsiewała mętne żółte światło.

Młody pracownik socjalny, od niedawna zatrudniony w biurze opieki społecznej powiatu Knox, otrzymawszy za pośrednictwem swojego biura wiadomość, że w więzieniu okręgowym osadzono leciwego i ubogiego obywatela, aby czekał tam na proces sądowy (postawiono mu szereg zarzutów, od zniszczenia własności państwowej aż po napaść z zamiarem zabójstwa), jął badać sprawę celem ustalenia, czy obywatel ten ma rodzinę, a jeśli nie, to któremu wydziałowi lub instytucji należy powierzyć opiekę nad nim. Gdy go wpuszczono do celi, w której trzymano owego starszego pana, pracownik socjalny zapytał:

Pan Ownby?

A i owszem.

Jestem przedstawicielem okręgowego biura opieki społecznej.

Opieki?

Tak. My... widzi pan, pomagamy ludziom.

Starzec zamyślił się nad tym, co usłyszał. Wyglądało na to, że niewiele uwagi poświęca chudemu młodzieńcowi, który przed chwilą przestąpił próg. W końcu podrapał się po brodzie i rzekł:

Ja tam nic ni mam. Chyba nie dam rady wam pomóc.

Pracownik przez moment usiłował zrozumieć tę odpowiedź, zaraz jednak przeszedł nad nią do porządku.

Potrzebne nam są tylko pewne informacje, powiedział.

Starzec obrócił się ku niemu.

A ktoś pan jest? Jeszcze jeden policaj?

Nie, zaprzeczył młodzieniec. Reprezentuję biuro opieki społecznej w sprawie... Polecono mi odwiedzić pana... żeby ustalić, czy nie możemy panu jakoś pomóc.

No, odparł starzec. Widzi mi się, że nie. Jestem, jakby to rzec, w drodze do Krzaczory.

Tak, powiedział pracownik socjalny. To znaczy... widzi pan, panie Ownby, istnieją pewne świadczenia, do których być może ma pan prawo. Wygląda na to, że nasz wydział od jakiegoś czasu pana zaniedbuje, więc chcielibyśmy uwzględnić pański przypadek w naszym... w naszym rejestrze, rozumie pan. Przyniosłem stosowne formularze i potrzebuję pańskiej pomocy, żeby je wypełnić.

Hmm, mruknął starzec.

Zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań?

Czemu nie, zgodził się starzec. Siadaj pan.

Dziękuję, odrzekł młodzieniec. Ostrożnie przysiadł na pryczy i rozpiął teczkę. Wsunął do niej rękę i wyjął plik formularzy przełożonych kalką. Przede wszystkim ustalmy, ile ma pan lat, powiedział swobodnym tonem.

Szczerze, to nie wiem.

Tak. Najmocniej przepraszam?

Znaczy się nie wiem na pewno. Nie wszystko akuratnie pamiętam.

A czy mógłby nam pan powiedzieć, kiedy się pan urodził?

Starzec jakoś dziwnie na niego spojrział. Jakbym to wiedział, odrzekł cierpliwie, to bym mógł wykankulować, ile mam lat. I wam też to powiedzieć.

Agent słabo się uśmiechnął. Tak. Oczywiście. To może chociaż w przybliżeniu potrafi pan obliczyć

swój wiek? Ma pan ponad sześćdziesiąt pięć lat?

Grubo.

No to mniej więcej ile?

Nie mniej więcej, tylko jedno z dwojga. Mam osmdziesiąt trzy albo osmdziesiąt cztery.

Pracownik socjalny zapisał to w odpowiedniej rubryce i przez chwilę z zadowoleniem wpatrywał się w formularz. Świetnie, powiedział. A gdzie pan obecnie zamieszkuje?

Jeżeli mam osmdziesiąt cztery, to dożyję stu pięciu, byle bym dociągnął do osmdziesiątki piątki.

Tak. No to gdzie pan...

A wyście kiedy się rodzili?

Pracownik socjalny podniósł głowę znad formularza. W dziewięćset trzynastym, odparł. Ale my...

A kiedy dokładnie?

W czerwcu. Trzynastego. Panie Ownby...

Starzec z zadumą zwrócił wzrok ku górze. Hmm, mruknął. To był piątek. Mogłście lepiej zacząć.

Wasz ociec

miał więcej jak dwajścia osiem lat, jakeście się rodzili?

Panie Ownby, bardzo pana proszę. Te pytania, wie pan...

Starzec umilkł, a gość przez dobrą minutę mu się przyglądał. Do rzeczy, powiedział w końcu. Pański obecny adres?

No, mieszkalem nad Rozwidlonym Potokiem, przy Rozstajnej Drodze, alem się wyniósł w góry. Mam tam chatkę.

Tam, czyli gdzie?

Nie wasze zmartwienie.

Ale my musimy mieć jakiś pański adres, panie Ownby.

No to piszcie Rozstajna Droga, odrzekł starzec.

Mieszka pan sam?

Sam ze Zwiadem. Znaczy się mieszkalem.

Ze Zwiadem?

Z psem.

Ankieter dalej pisał. Zapewne nie ma pan rodziny ani krewnych, domyślił się.

A jakże.

Ankieter spojrzal na starca. No to będą nam potrzebne ich nazwiska, powiedział.

Przeciem przytaknął, że ni mam nikogo, ze znużeniem odparł starzec.

Ankieter zadawał kolejne pytania, a starzec odpowiadał tak lub nie, a czasem udzielał nieco szerszych informacji. Palce prawej dłoni, którą oparł wnętrzem do góry na kolanie, na przemian prostowały się i zginały, jakby coś nimi ugniatał, żeby zmiękło. W końcu znieruchomiały, a on usiadł prosto, z zaciśniętą, drżącą pięścią, której żyły wyglądały jak stare niebieskie nici wprasowane w papierową skórę. Wyprostował się więc i przerwał rozmówcy własnym z kolei pytaniem:

Czego nie powiecie tego, coście tu przyszli powiedzieć? Czego mnie się zwyczajnie nie spytacie?

Najmocniej przepraszam?, zdziwił się wysłannik biura.

Po co żem to zrobił. Po co żem naderznął naboje i roszczelał w diabły ten wasz baniak? Skąd wyście są, co? Gadacie jak jakiś cholerny Jankes. Z czego żyjecie? Z wypytywania ludzisków?

Panie Ownby...

Panie-sranie. Mógłbym wam powiedzieć, po co zem szczelał, a i tak byście nie pojęli. Dobra, mnie tam za jedno. Możecie siedzieć i pytać się o różne głupoty. Ale nie wystarczy czegoś nie wiedzieć, żeby to coś się odstało. Stary jestem i nieraz bywało mi ciężko, więc Krzaczasta Góra chyba jeszcze nie będzie najgorsza ze wszystkiego, przez co przesłem.

Panie Ownby, niewątpliwie jest pan zdenerwowany, a ja zapewniam pana...

Ech, westchnął starzec.

Panie Ownby, zostało już tylko kilka pytań. Jeśli pan woli, mogę przyjść kiedy indziej. Mnie... Nam w biurze się wydaje...

Pewno, że możecie, odparł starzec. Przecie donikąd się nie wybieram. Oparł się plecami o mur i przesunął dłonią po oczach, jakby chciał zetrzeć z nich jakiś obraz. Potem już siedział bez ruchu, z dłońmi na kolanach, oparłszy kudłatą głowę o ceglana ścianę, jak dawniej cierpliwy i owiany aurą wypróbowanej, nienaruszalnej świętości, spoglądając wypłowiałymi niebieskimi oczami na wskroś rzędu klatek, poprzez las spoconych stalowych dybli, wśród których widać było sylwetki mężczyzn: jedni stali, inni zaś leżeli skuleni na siennikach. Starzec czuł, jak domyka się krąg lat, a jego samego ostatni odcinek zakrętu wiedzie z powrotem w pierwocinę wszechrzeczy, w pryzmatyczny strumień dźwięków i barw, w którym zanurzył się już niegdyś i teraz znów się zanurzał, wypadając poza obręb ludzkiego świata. Zanim młody człowiek pobierał formularze i upchnął je w teczce, starzec zamknął oczy, a wtedy gość półgłosem zawołał strażnika i zostawił więźnia samego.

Strażnik odprowadził ankietera korytarzem. Młodzieniec odzyskał już spokój. Ha, powiedział radośnie. Kawał starego zrzędlivego drania, co?

Ten starowina? Chyba tak. Tera jest dosyć spokojny, ale niełatwo go było posadzić.

Jak to?, spytał młody człowiek.

Ba, przecie on czterech ludzi postrzelił. Luther Boyd do tej pory skika o kulach.

Zabił kogoś?

Nie, ale nie można powiedzieć, że nie próbował. Uparty z niego staruch.

Tak, z zadumą rzekł młody. Niewątpliwie anomiczny typ.

Wredny jak żmija, powiedział strażnik. Uważaj pan na drzwi.

Pracownik socjalny podziękował sierżantowi dyżurnemu i przeszedł przez hol. Przerzucił teczkę do lewej ręki i osuszył chustką czoło. Bezszelestnie stąpił po przykrytych wyświechtanym dywanikiem kaflach posadzki, idąc z kocią gracją, smukły i delikatny.

Wiosenną porą można zobaczyć, jak krążą po całym terenie: jedni spacerują, inni siedzą – na przykład w pokosach, wyciętych przez monotonnie warczące kosiarki – i podnoszą rozrzucone stokrotki, białe i poszarpane, miękko upadłe w trawę. To wzbierają, to cichną długie monologi o wielkich czynach i ludziach oraz minionych szlachtetnych epokach. Kosiarki wracają w wojskowym szyku, wzdłuż parkanu, zagłuszając tę gadaninę.

Ceglane budynki na szczycie wzgórza pociemniały ze starości – złowrogie, lecz smutne niczym ruiny starej fortecy. Krewni powoli wychodzą z rozmównicy prosto w blade słońce. Gawędzą, przeżywając swoje ciche żale. Ci pensjonariusze, których nikt nie odwiedza, spiesznym krokiem chodzą to tu, to tam jak węszące setery, rozgestykulowani i pozbawieni celu.

Jeszcze inni spokojnie siedzą na trawie, pozostawieni samym sobie, jak dzieci przyglądając się wszystkiemu pogodnymi, poważnymi oczami. Tkliwe głosy nieustannie pieścą ich uszy, a smutek nie

ma do nich przystępu. Ten i ów z nadzieją macha ręką samochodom, którymi ludzie jadą na piknik albo nad wodę. Najstarszy siedzi nieco na uboczu, międląc w pożółkłych zębach żdźbło trawy i wspominając tamto lato.

Ceglastą czerwień pyłu górskiej drogi, haftowanej śladami jaszczurek, gdy szedł pod górę przez brzoskwiniowy sad, skwarny, bezwietrzny, klasztorny w ciszy bez ptaków, jeśli nie liczyć sępa, który wisiał w dymnoniebieskiej próżni cienistego zbocza, kołysząc się na podniebnych prądach, i zakręt drogi, poprzegradzanej kolcoroślą o jakby nawoskowanych, zielonych liściach, i zielony, trupi uśmiech, uwięziony w mrocznej wodzie zbiornika wśród brzoskwiń, i oślizgłe zieloną czaszkę ze zwiniętymi w oczodołach traszkami pod peruką z mchu.

Stary człowiek przystanął w drzwiach, lecz oddziałowy przeprowadził go przez nie jakby wbrew jego woli, trzymając za przedramię. Kiedy weszli do pokoju, starzec spojrział na chłopca spod zmrużonych powiek, jak gdyby raziło go odrobinę mocniejsze światło, od którego już odwykł. Wydawał się starszy, niż pamiętał go chłopiec. Powłóczył nogami w buciorach o cienkich jak papier podeszwach, szurając nimi po betonowej posadzce, gdy oddziałowy wciągał go do pokoju.

Podeszli do chłopca, który siedział i czekał. Bratanek do was przyszedł, głośno powiedział oddziałowy starcowi prosto do ucha. Pamiętacie go?

Starzec błysnął niebieskimi oczami jakby z głębin i zaraz spuścił powieki. Chyba tak, powiedział.

Oddziałowy pchnął go na trzcinowy fotel obok chłopca i zostawił ich samych. Wyszedł tymi samymi drzwiami, a

przenikliwy pisk jego gumowych podeszew stopniowo cichł w korytarzu. Starzec siedział w fotelu, wpatrując się w monotonną połąc pobielonego tynku.

Wujku Ather?

Starzec obrócił głowę. Chłopiec podał mu całą torbę tytoniu do zucia.

Przyniesłem wam tytuń, powiedział. Bukowy, taki jak lubicie.

Starzec powoli wziął podarunek i wsunął go za koszulę. Dziękuję, chłopcze. Bardzo ci wdzięczny.

Siedzieli w milczeniu. Pod oknem znów przejechały kosiarki. Ich warkot zabrzmiał głośniejsz, a potem ucichł. Śmiech i dalekie głosy, czyjś płacz, bardzo cichy, jakby płakało dziecko, któremu dokuczyła samotność.

Zdziebko się ociepla, co?, rzekł starzec.

U nas na górze trochę popadało, odparł chłopiec. Chyba w pozaprzeszłą niedzielę.

Tak, powiedział starzec. Widzi mi się, że w tym roku deszcz nie dopisze. Co miało popadać, to lunęło wszystko za jedną razą. Idzie gorąc. Nic się nie urodzi, nic nie uchowa. Siódmy rok, ot co.

Patrzył w podłogę między swoimi butami. Z szerokich cholewek wystawały bezwłose piszczele, blade i wyświecone jak drewno wyrzucone na brzeg. Od góry przysłały je nogawki spodni. Na starość to i człek rachować już nie musi, powiedział. Umi czytać znaki. Czuje je w sobie. Znałem kiedyś ślepego, co dużo rzeczy umiał przeczuć, zanim się

zdarzyły. Ale będzie skwar i susza. Poznać choćby po tym, że mróz trzymał do późna. Znaczy się mało co się ludziskom ulegnie, bo one myślą, że wszystko rośnie wedle pór roku, ale to nieprawda. Rośnie wedle pogody. Zwierzyna też, i nawet same ludzie, chociaż o tym nie wiedzą. Pamiętam, jak jednej zimy, a byłem wtedy całkiem młodziak, zima wcale nie przysłała. Mrozu ani ciut. Trza było widzieć, jak wszystko porosło. Taki rok zdarza się raz na siedem razy siedem lat, a ty będziesz stary tak jak ja tera, zanim się zdarzy następny.

Starzec urwał, wpatrując się w guzik u spodni. Po chwili rzekł:

Spodziewam się, że ten będzie zły. Przewiduję wielkie nieszczęście, zanim ten rok się skończy.

Kiedy chłopiec poprosił o wyjaśnienie, starzec wytłumaczył mu, że zarówno rok chudy, jak i rok obfitości zdarzają się raz na siedem lat. Po chwili zastanowienia chłopiec powiedział:

Znaczy się raz na czternaście lat, tak?

No, to chyba zależy, odparł starzec, od rachunku. Jak rachujesz same chude bez obfitych albo na odwrót, to pewnikiem zamiast siódmy, można powiedzieć czternasty. Niektóre ludzie pewnikiem tak to rozumia. Ja tam mówię siódmy rok.

Patrzył w ścianę nad rzędem trzcinowych foteli. Oddziałowy przeszedł przez pokój w towarzystwie dwojga młodych ludzi. Kobieta ocierała oczy żółtą koronkową chusteczką. Wyszli. Po chwili chłopiec powiedział:

Złapali Marionę Syldera.

Starzec obrócił głowę, aż lekko uniosły się jego jedwabiste, siwe włosy, jakby musnął je wiatr. A on co za jeden?, spytał.

Sylder. Ten... ten gościu, co woził Hobie'emu whisky. Złapali go z całym ładunkiem i wsadzili do Krzaczory.

Myślałem, że wołają go Jack, powiedział starzec.

Nie, Sylder. Marion Sylder. Przyjaźnilimy się.

Tak, rzekł starzec. Pamiętam, że go widział parę razy na górze. Miał czarny wóz. Zdaje mi się, że chyba nowy. Znaczy się zamkli go w Krzaczorze.

Na trzy lata. Za szmugłowanie whisky.

Żał słuchać, stwierdził starzec. W dzisiejszych czasach nikomu nie pobłazają. Tak, pamiętam tego chłopaka, chociaż nie wiem, czym go chociaż raz spotkał. Mam nadzieję, że wiedzie mu się lepiej niż mnie. Nijak nie mogę przywyknąć do tych wszystkich ludzi tutej. Miał taką minę, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale umilkł i spojrzał na chłopca, marszcząc szorstkie, krzaczaste brwi – z bólu, a może z gniewu. Spłowiawe ze starości oczy miały zielonobłękitny odcień, lecz wyzierała z nich zjadłość, a całe oblicze było sędziwe, pielgrzymie.

Jak długo będą was tu... trzymać?

Tutej?, spytał starzec, rozglądając się wokoło. Pewnikiem kawał czasu, synu. Nawet mi nie powiedziały, o com jest oskarżony ani nic, ale podejrzewam, że podług nich brak mi piątej klepki, ot co. Chyba wiesz, że to dom wariatów. Ni mam pojęcia, co ze mną zrobią, jak w końcu zobaczą, że nie żaden wariat. Poklepał się po koszuli, pod którą miał schowaną na piersi torbę z tytoniem. Jak się wiedzie młodemu Pulliamowi?

Wyniósł się na północ do swojej babki, odparł chłopiec. Mało kto jeszcze się ostał w sąsiedztwie.

Ano tak, zgodził się starzec. A udało mu się złapać norkę?

Nie. Za to ja że jedną złapał.

Złapałeś, tak? Ile żeś za nią dostał?

Nic że nie dostał. Ryś albo jaki inny zwierz dopadł ją i poszarpał.

Szkoda, rzekł starzec. A zastawiliście potrzask na te kocisko?

Zastawilimy z Warnem. Ale złapalim tylko wielkiego starego oposa.

Koty są szczwane, przyznał starzec. Pewnie mógł to tak samo być zwykły domowy kot. One rozeszarpią wszystko, co tylko znajdą. Takie już są. Domowe koty to bystrzaki. Bystrzejsze niż pies albo muł. Ludziska myślą, że one głupie, bo niczego nie idzie ich nauczyć, ale to tylko przez to, że samemu kotowi uczyć się nie chce. Za wielki z niego mądrala. Jeden mój znajomek miał kota, co umiał gadać.

Gadali se we dwóch całkiem jak ludzie. Tamtego kota to żem z daleka omijał. Wiedziałem, kto zacz. Nieraz tak bywa, że ciało umrze, a dusza na jakiś czas wcieli się w kota. Zwłaszcza jak ktoś się utopi albo go nie pochowają jak należy.

Ale najwyżej na siedem lat, znaczy się tera już by se poszedł, więc nie muszę więcej se nim zawracać głowy, tylko że nie powinien splotnąć, to nie powinno było się stać i może moja wina, żem do tego dopuścił, ale co się stało, to się nie odstanie, a on odeszedł. I jak Eller podobno słyszał ten jakiś głos i łamał se głowę, co to tak się drze, to pewnikiem był właśnie on, ale ja nikomu nie powiem, że zostawił kota i wszystko i wybrał się ani chybi do piekła, i mam tylko nadzieję, że nikomu już nigdy nie da znać o sobie. Czyli ten, kto go tam posłał, słusznie czy nie, też jest wolny przed Bogiem, bo jak minie siedem lat, to już nikt człeka nie nawiedzi, tak powiedział adwokat, a ja dziewięć lat żem się czaił, podług niego o dwa dłużej, niż było trza, ale tym razem jużem zanadto się zestarzał i mnie złapali.

Tak, powiedział. Ludziska wielu rzeczy nie wiedzą o takich sprawach. Koty to zagadka, zawsze tak było. Przerwał na chwilę i z rozmarzeniem przesunął dłonią po twarzy. Potem spojrzął na chłopca. Trochu żeś urósł, co?

Chłopiec potarł dłońmi kolana. Chyba tak, powiedział.

Mhm, mruknął starzec. Jak ci się zdaje, co z ciebie będzie?

Nie wiem, przyznał chłopiec. Chyba nic wielkiego.

Ba, powiedział starzec. Młodemu zawsze ciężko zacząć. Widzi mi się, że dzisiaj jest wiele sposobów, żeby zarobić pieniądze, nie tak jak za mojej młodości, bo wtenczas o gotówkę było trudno. Tera płacą nawet nagrody za znajdowanie nieboszczyków, taki jeden spod Knoxville nieźle na tym zarabia, że ich ściga drapaczem, jak już skoczą z mostu, bo tam co i rusz ktoś skacze. Podobno tak szybko wypływa łódka, że zawsze pierwszy dopada, tylko uważa, żeby aby nie zdążyć, zanim przestaną dychać. Przynajmniej tak żem słyszał.

Ale wcale żem tego nie zrobił dla własnej korzyści, bom wiedział, że musiałbym się czaić po krzakach, jakby wykryły, że to moja sprawka, a przecie się spodziewałem, że wykryją, i chociaż miałem swoje powody, nikt na świecie nie powie, żem to zrobił dla własnej korzyści.

Jak człowiek się starzeje, podjął, to rozumie, że bez wielu rzeczy całkiem sposobnie może się obejść, więc nie musi się trapić tym czy tamtym, tak jak młody. Prawie całe życie żem pracował i nigdy nic z tego nie miałem. Myślałby kto, że na starość człek ma prawo trochu wytchnąć, aż tu nagle widzi, że jeszcze to i owo musi zrobić, bo jak nie on, to nikt inny się tymi rzeczami nie zajmie. Jakby ludziska myśleli, że one same pójdą se precz. I nawet jak nie widać, żeby to była kupa roboty, to te sprawy potem już człowieka za sobą wloką, jakby poszczuł psa na króliki koło rogu płota i ani się obejrzał, a jeszcze przed nocą przeszedł za nim pół powiatu. A stare ludziska nijak się do czegoś takiego nie nadają. Lekko osunął się w fotelu i zmienił pozycję. Każdy jeden lubi spokój, dodał. Zwłaszcza na starość.

I nawet nie wie, że trza się nimi zająć. Ale wcale żem tego nie zrobił dla własnej korzyści. Nie po tom szczełał do tego baniaka. Przez siedem lat siedziałem cicho z powodu człowieka, którego wcale żem nie znał, ani nawet na oczy

nie widział, a po mojemu to ci jegomości nie mieli nic do roboty tam na górze, a skoro nie mogłem ich stamtąd przegnać, to chciałem im przynajmniej pokazać, że jest ktoś, kto wie, co knują. A chociażem zdawał se sprawę, że jak potrafią zbudować coś takiego, to odbudować też umieją, i tak swoje żem zrobił. Każdy jeden lubi spokój, a już najlepiej na starość.

Wolno wam tutaj żuć?, spytał chłopiec.

Pewnikiem nie wolno, odparł starzec. Ni mam zamiaru ich się pytać. Chapnę se prymkę, jak nikt nie

będzie się patrzył. Nie brak tu takich, co nie wahałoby się donieść na człowieka. To te lżej stuknięte. Prawdziwe wariaty by nie donieśli. Są tu i takie jak ja, co wcale nie powariowały, ale te też by raczej nie naskarzyły.

Ciekawe, skąd się tutaj wzięły, powiedział chłopiec.

Starzec przecesał włosy chudą, żylastą dłonią. A bo ja wiem, odrzekł. Tutejsze ludziska dziwnie se poczynają. Ale miałem się ciebie spytać, nie widziałeś aby mojego psa?

Nie, powiedział chłopiec. Nie widziałem go. Jak chcecie, mogę się przejść do waszego domu i go poszukać.

Jakbyś tam kiedy zaszedł, spróbuj go zawołać, chociaż nie wiem, co niby miałbyś z nim zrobić. Ni mam pieniędzy na żarcie dla niego i nie dałbym rady sam go zaszczelić, jakby już ni miał siły chodzić, ale ktoś inny mógłby...

Jak go zobaczę, to się nim zajmę, obiecał chłopiec. I ni ma mowy, żeby coś wam za to policzył.

Ha, westchnął starzec, znów splatając oparte na udach dłonie. Obaj podnieśli głowy i spojrzeli na pielęgniarkę, który przechodził przez pokój starannie odmierzoną krokiem, ciągnąc za sobą lekki odór dezynfekcji – zapach płynu do mycia, mocno woniącego sasafrasem. Przyniósł go z korytarza, w którym dwaj Murzyni właśnie myli podłogę, zaczynając od przeciwległych końców, zwróceniu do siebie plecami. Starzec i chłopiec słyszeli miarowe klaskanie mopów o listwę przypodłogową, rozlegające się na tle przeciągłego, pneumatycznego syku drzwi, a gdy te wreszcie się zamknęły, znów siedzieli wśród ciszy, w mocnym, a zarazem jakby zwiewnym słońcu, które wpadało do pokoju.

To nie był ten.

Od czego to?, spytał. Na szyi wisił mu stetoskop, sprzężycie podrygujący przy każdym ruchu.

A od postrzału, wyjaśnił starzec. Siedział półnagi, godnie wyprostowany na stole do badań, prawie sięgając stopami podłogi i patrząc prosto przed siebie, więc stażysta też milczał, obchodząc się z nim szorstko jak z kataleptykiem, wycieńczonym upływem lat, aż starzec spokojnie zapytał młodego lekarza, czy ten zamierza go zabić.

Co pan takiego zrobił? Dobierał się pan do kurnika?

Starzec nie odpowiedział. Wiem, że ona tu jest, powtórzył.

Nawet jeżeli, to nie chce cię widzieć.

Za to ja mam zamiar ją zobaczyć.

I wtedy lufa strzelby skróciła się i cofnęła, bo tamten oparł sobie kolbę o bark i przycisnął do niej policzek, a on wszedł prosto w czarny kłęb dymu, który bezszelestnie wykwił u wylotu lufy. Kula trafiła go w nogę, dźwięcznie i bezboleśnie utkwiała w ciele. Zrobił tą nogą jeszcze krok i runął naprzód, jakby wdepnął w dziurę, i dopiero wtedy usłyszał strzał.

Myślicie, że wróćcie w góry?, spytał chłopiec. Jak już... wróćcie?

Och, westchnął starzec. No... tak. Tak, pewnikiem wrócę. Myślałem, żeby może się wrócić tam w góry, gdzie tera mieszkam, ale jeszcze nie wiem. Jak człek tak mieszka na uboczu, a nie nawykł do samotności, to mu ona dokucza. Pewnikiem wrócę do starego domu, jeżeli się nie wzię i nie zawałił. Tak.

Zaszurał butami po podłodze. Padł na nie jakiś cień, więc starzec podniósł głowę i zobaczył, że chłopiec wstał. Idziesz?, zapytał.

Tak, odparł chłopiec. Trza wracać.

Hmm. Dziękuję za tytuń.

Ni ma za co.

Hmm.

Jeszcze kiedyś przyjdę.

Nie, powiedział starzec.

Tak. Przyjdę.

Hmm.

Chłopiec przystanął w drzwiach i podniósł rękę. Starzec odprawił go machnięciem dłoni i został sam.

Wróciły kosiarki. Po pewnym czasie wrócił też oddziałowy i go zabrał.

Znów stał przed gmachem sądu, a skwar i siarczana mgielka tak jak poprzednio wisały nad pojazdami nieruchomym, dusznym baldachimem. Wyjął z kieszeni dolara, rozprostował go na dłoni i potarł drugą, żeby wygładzić zmarszczki. Czyli zostałyby mu dwa dolary i reszta z pięćdziesięciu centów, bo dostał pięć i pół za skóry, z czego dwa dał Sylderowi, a teraz miał się rozstać z tym dolarem, chociaż do niedawna nawet nie wiedział, że jest go komuś winien. Z banknotem w ręku ruszył chodnikiem pod górę, przeszedł pod łukiem, mijając niezmordowanego żołnierza z brązu, i wkroczył w świeży cień kasztana. Wbiegł po wydeptanych schodach z ziarnistego piaskowca i wszedł do holu, skręcił w lewo i tak jak wtedy podszedł do długiego blatu, za którym stały biurka. Zastał tam tylko jedną kobietę, ale nie tę, co poprzednio. Pisała na maszynie, której klekot niósł się po pustej sali. Stał przy blacie, przyglądając się maszynistce. Po chwili zakasłał. Kobieta przestała pisać i spojrzała na niego. Ty do mnie?, spytała.

Tak, psze pani.

Jej ręce zawisły nad maszyną. Patrzył na nią. Spuściła dłonie na uda i obróciła się z krzesłem twarzą do niego. Milczał, a ona wstała i wolno podeszła do blatu, poprawiając okulary.

Czym mogę służyć?, spytała.

Ja w sprawie nagrody, psze pani. Za jastrzębia.

Aha. Czyli masz jastrzębia.

Patrzyła na niego z góry.

Nie, psze pani, jużem wam go dał. Trzymał w ręku dolara i teraz niepewnie nim pomachał, zastanawiając się, czy to możliwe, że cena poszła w górę. Chciałem go odkupić, jeśli to nie kłopot, dodał.

Kobieta zmarszczyła brwi, aż utworzyła się między nimi drobna fałdka. Odkupić?, powtórzyła. Chcesz dostać z powrotem tego swojego jastrzębia?

Tak, psze pani, odparł. Jeśli to nie kłopot.

A kiedy go tu przyniosłeś?

Spojrzał w sufit, a potem znów na kobietę. Niech no pomyślę, rzekł. To chyba było jakoś w sierpniu, ale mógł też być początek września.

Mój Boże, synu, westchnęła kobieta. Myślałeś, że on tu jeszcze leży? Od sierpnia zeszłego roku? Przecież...

A co z nimi robicie?, spytał, wciąż jeszcze przekonany, że ptaki gdzieś się przechowuje, bo muszą przecież mieć jakąś wartość albo zastosowanie współmierne do sumy jednego dolara: sam ich zgon nie mógł chyba być aż tak cenny.

Pewnie palimy je w piecu, odparła kobieta. Przecież nie da się ich tu trzymać. Po pewnym czasie byłoby je troszkę czuć, nie uważasz?

Palicie je?, zdziwił się. W piecu?

Tak sędzę, powiedziała.

Potoczył wokoło niezdecydowanym spojrzeniem, a potem znów popatrzył na kobietę, wciąż nie opierając się o

blat ani nawet go nie dotykając. I zamykacie ludzi we więźniu i ich bijecie, powiedział.

Co takiego?, spytała, pochylając się ku niemu.

A starych do domu wariatów.

Synu, jestem zajęta, więc jeśli masz jeszcze jakąś inną sprawę...

Znowu wygładził rozpostartego na dłoni dolara, wykonał nim kilka niezdecydowanych ruchów w stronę kobiety i wreszcie pchnął go ku niej po blacie. Ma pani, powiedział. Załatwione. Nie mogę wziąć dolara. Źle żem zrobił, ptak nie był na sprzedaż. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Ty!, zawołała. Chodź no tu! Wracaj natychmiast, nie możesz...

Ale on nie usłyszał dalszego ciągu, bo był już za progiem i gnał długim korytarzem w stronę szeroko otwartych drzwi, przy których wiszące na ścianie afisze i obwieszczenia marszczyły się od wiatru, aż wybiegł z powrotem w rozżarzone majowe południe.

Chłopiec wyjechał, zanim tamci przybyli z Knoxville – siedem lat po pochówku, siedem miesięcy po kremacji – i przesiali popioły (wiosenne deszcze ubiły z nich gęstą zupe, która zdążyła tymczasem z powrotem wyschnąć, zakrzepnąć i zaskorupieć). Przesiali je, znajdując zwapniałe drzazgi i odłamki kości, szarobiałe i kruche jak sam popiół, i przeżartą, poznaczoną krętymi ścieżkami robactwa czaszkę, tak wydrażoną i wypaloną, że osiągnęła lekkość i spoistość wysuszonej tektury, a spróchniałe zęby grzechotały w szczękach. Znaleźli też mosiężny suwak od spodni, stopiony, zniekształcony przez żar, pokryty grubą warstwą matowozielonej mazi.

I tyle. Zajęło im to cztery godziny. Dwaj policjanci z szacunkiem odnosili się do lekarza sądowego, odkurzając chusteczkami do nosa pojedyncze okruchy i podając mu je, on zaś wkładał wszystkie po kolei do czystego woreczka z białego płótna.

Pan Eller odgryzł drobnymi zębami kawałek prymki aromatyzowanego tytoniu, a resztę zawinął z powrotem w celofan i schował do górnej kieszeni. No i czaszka, powiedział. Od żaru wytopiły się zębów wszystkie blomy.

Dobra. No i czaszka. Johnny Romines przestał skręcać papierosa i machnął lewą ręką, w której go trzymał, prosząc tytoniem. No bo ciekawym, czy chłopak wiedział o sprawie, czy nie, i czy mógł wiedzieć, że to jego tatko?

Nie wiem, przyznał pan Eller. Przy mnie nigdy o tym nie mówił. Zresztą wyjechał w maju albo w czerwcu, a oni tu zjechali dopiero na czwartego sierpnia. Po mojemu to chyba tylko stary wiedział.

Stary Ownby? On to zrobił?

Nie, odparł pan Eller. Oczywiście mogą chcieć wszystko na niego zwalić, żeby se oszczędzić fatygi z tropieniem kogo innego.

Ale to on o tym opowiadał?

O ile wiem, on.

Johnny Romines polizał i skleił bibułkę. Myślicie, że to był on?, spytał.

Znaczy się jego tatko? Nad tym można by se głowę łamać. Pani Rattnerowa twierdzi, że to był on, a chłopak według niej pojechał szukać sprawcy. Podobno wszystko jej się ukazało we śnie. W widzeniu, jak to ona mówi.

Ciekawe, czy miała jakieś widzenie o tym, że był poszukiwany w trzech stanach, wtrącił Gifford.

Pan Eller obrócił się w stronę konstabla.

Nie, powiedział. Raczej nie. Zresztą po mojemu to niepotrzebne jej żadne takie widzenie. Dobra z niej

chrześcianka, niezależnie za kogo się wydała z braku pomysłu.

Konstabl spojrział na sklepikarza.

Tak samo i chłopak, dodał pan Eller.

Mniejsza o chłopaka, odparł Gifford. Mam z nim i tak trochu do pogadania.

No to najpierw będziecie musieli go znaleźć.

Kto mógł to zrobić?, spytał Johnny Romines. Znaczy się, kto go tam zrzucił. Myślicie, że ktoś tutejszy?

No chyba, że nie z Nowego Jorku, odrzekł konstabl, po czym zagadnął pana Ellera: A wiecie, co się okazało z tą wydumaną płytką, co ją niby od wojny miał w głowie?

No, co się okazało?

Że jej wcale nie było. I co na to Rattnerowa?

Pewnikiem nigdy jej przez myśl nie przeszło, żeby się go o nią pytać. Jak jej raz powiedział, że ma płytkę, ni chwili nie wątpiła ani się nie zastanawiała. Ani czy to jego wzięli i zsykali do woreczka, jak już raz postanowiła, że jedno albo drugie to prawda. Pan Eller wciągnął policzki, zbierając w ustach ślinę, i bezdźwięcznie splunął konstablowi przed nosem prosto do puszki po kawie. Ale chyba powinniście o tym powiedzieć swojemu koledze, dodał.

Znaczy komu?

Legwaterowi.

On nie jest moim kolegą, odparł Gifford. I nikomu nie muszę nic mówić, chyba że wedle własnego uznania.

Pan Eller odprowadził wzrokiem przelatującą muchę, jakby rozważał jakieś mało znane zagadnienie z dziedziny

dynamiki lotu. No, pewnikiem macie rację, rzekł pojednawczym tonem. Byle tylko nie napytał se biedy.

Gifford podejrzliwie zmrużył oczy. Że co? Niby w jaki sposób?

A bo obozuje tam na górze. Z łopata i sitem.

Tu i ówdzie rozległy się pokastywania. Jakaś skrzynka po mleku zaskrzypiała, osiadając pod ciężarem.

Hmm, stęknął Gifford, z wystudiowaną swobodą odsuwając się od lady, o którą się dotąd opierał. Z wypchanej kieszeni zręcznie wyłowił papierosa. A co on tam robi?, spytał.

Pan Eller odczekał, póki nie rozbłysła potarta o ładę zapałka. Dopiero wtedy powiedział: Po mojemu to szuka platyny. Chyba że przesiewa popiół, żeby z niego zrobić mydło.

Legwater spędził na górze trzy dni, zanim ktokolwiek zdołał podejść do niego wystarczająco blisko, by mu powiedzieć, że się myli, bo ten człowiek wcale nie miał w głowie platynowej płytki, a on tylko traci czas i wszystko od początku jest nieporozumieniem. Pierwszego wieczoru rozpałił ognisko i siedział przy nim ze strzelbą opartą o drzewo, popijając kawę z turystycznego kubka, kiedy na polanę po drugiej stronie ogniska wyszedł chwiejnym krokiem gończy pies i stanął, kotłując ślepym łbem niczym niedźwiedź i zadzierając pysk, żeby wywęszyć z wiatru jakąś poszlakę.

Ha!, krzyknął Legwater i zerwał się na nogi, aż kawa chlusnęła z kubka. Ha! zawołał raz jeszcze, podszedł do

drzewa i porwał za strzelbę, lecz zanim zdążył porządnie wycelować, pies znikł, bezszelestnie wchłonięty przez ciemność. Legwater złożył się do strzału, mierząc lufą w noc, i nacisnął spust, a potem długo wsłuchiwał się w narastające echo huku. W końcu wrócił do ogniska, podniósł upuszczony kubek, przykucnął, oparłszy strzelbę o kolano, i nalał sobie z garnka kawy do pełna. Wciąż nasłuchiwał, ale nie

zdołał złowić uchem żadnego dźwięku. Odstawił garnek na niewielki krąg z kamieni, który sam ułożył, i ostrożnie dotknął ustami gorącej krawędzi kubka. Pies więcej się nie pojawił. Legwater dopił kawę, rozpostarł na ziemi koce, znów nabił broń i poszedł spać.

Nad ranem obudził się, szybko usiadł i się rozejrzał. Było jeszcze ciemno, a ogień dawno wygasł. Wszędzie panował mrok i ta szczególna cisza, która sama zdaje się nasłuchiwać – astralne milczenie, w którym planety zderzają się ze sobą bezdźwięcznie, w wymiarze całkowicie niedosiężnym dla ucha. Nasłuchiwał. Nad czarnymi rzędami drzew wysklepiało się bezchmurne, zimno rozgwieżdżone niebo pełni lata. Położył się, patrząc w gwiazdy, i po pewnym czasie zasnął.

Zanim znów się obudził, weszło słońce. Leżał jeszcze na plecach, a nad nim w niezgłębionej błękitnej pustce kołował jastrząb. Legwater wstał i przeszedł się po polanie, sztywny i niewyspany. Uzbierał w lesie naręcze suchych gałęzi, połamał je, przydeptując butem, po czym rozpałił ognisko i podgrzał kawę. Kiedy zawrzała, usiadł, dmuchając w pełny kubek i przekładając go z ręki do ręki, gdy już zanadto parzył albo zaczynało go swędzieć kolejne miejsce ukąszone przez komara. Na drzewie w pobliżu koców wisiał wojskowy plecak. Legwater wyjął z bocznej kieszeni kilka zimnych placków i zjadł je. Potem wziął się do roboty.

Popiół w zbiorniku miał ponad trzydzieści centymetrów głębokości i pokrył cienką warstwą najbliższą okolicę. Legwater pracował przez cały dzień: wybierał łopatą stopy popiołu, a potem wyłaził na górę i przesiewał go przez czworokątne sito. Późnym popołudniem na polanę wyszło kilku chłopców. Stanęli, przyglądając mu się. Tak pilnie pracował, że ze zbiornika wznosiły się szare chmury popiołu. Chłopcy zaczęli robić uwagi. Spiorunował ich wzrokiem, nie przerywając pracy. Wytrwale przesiewał popiół, uważnie oglądając zwęglone kawałki cedru. Wśród chłopców rozległy się chichoty. Ignorował je, pracując z urzędową miną, ale nic mu to nie dało.

Może i złote zęby też tam są, śpiewnie zawołał któryś chłopiec. Rozległ się chóralny śmiech, wnet jednak ucichł. Legwater wyprostował się i wściekle łypnął w stronę gapiów. Było ich pięciu. Stali na samym skraju polany, uśmiechnięci od ucha do ucha. Wziął łopatę i zszedł z powrotem na dno. Od czasu do czasu wyglądał ponad krawędź, żeby sprawdzić, co oni tam knują, ale gdzieś chyba za trzecim razem jeden zagulgotał jak indyk i wszyscy ryknęli śmiechem, więc przestał wychylać głowę i starał się nie patrzeć w ich stronę, tylko dalej kopał. Po pewnym czasie w pobliżu zbiornika coś stuknęło. Wyrzał, ale chłopców już nie było. Wtem w popiół u jego stóp z miękkim pacnięciem upadło jabłko. Przerwał pracę i wyciągnął szyję. Oczywiście zaraz drugie jabłko wylądowało w popiele. Zapamiętał, skąd nadleciało, wyskoczył ze zbiornika, porwał strzelbę i żwawym krokiem ruszył w kierunku, z którego rzucono jabłkiem. Zatrzeszczały chaszczce. Ktoś krzyknął: Chodu, chłopaki, chodu! On was zaszczeli i oskalpuje. Drugi dorzucił: Jak któryś ma srebrne blomy, to umarł w butach. Legwater stanął. Wszystko stopniowo cichło. Od strony drogi biegnącej w dół zbocza dochodziły jeszcze piskliwe śmiechy i gwizdy. Wrócił do pracy. Nim zapadła noc, zamienił się w pierzasty, szary posąg. Twarz, włosy i ubranie miał w jednym kolorze. Pluł gęstą, szarą flegmą. Nawet drzewa wokół zbiornika trochę pobladły i jakby niszczały.

Pies wrócił po zapadnięciu ciemności. Legwater usłyszał, jak zwierzę człapie wśród liści, przystaje i rusza dalej, powłócząc łapami. Zjadł już resztę zapasów i tak go ssało w żołądku, że nie mógł zasnąć. Trzymał broń w pogotowiu, czekając, aż pies wejdzie w krąg światła. Nie doczekał się. W końcu zasnął ze strzelbą na kolanach. Był bardzo zmęczony.

Kiedy rano poszedł do zbiornika, najpierw spostrzegł starą kozią czaszkę, której puszkę mózgową wypchano cynfolią. Wyrzucił ją ze wstrętem i znów zaczął kopać.

Późnym popołudniem trochę zapomniał o głodzie i na tyle już oczyścił zbiornik, że w jednym końcu ukazał się goły beton, szerniały i oskorupiony bliżej nieokreśloną spalenizną, która łuszczyła się, gdy ją skrobał łopata, a spod niej prześwitywało coś zielonego.

Kopał teraz szybciej, bliski rozpaczy, bo przesiał już prawie cały popiół, gdy nagle pojawił się Gifford, mocno zdyszany po marszu pod górę. Legwater przerwał pracę i patrzył, jak przez polankę idzie konstabl w butach oblepionych gliną, ze zmarszczonym czołem i płonącą twarzą. Kiedy Gifford stanął nad zbiornikiem, Legwater podparł się łopata i spojrzał na niego, zadzierając głowę. Pewnie przyszłeś po swoją dolę?, spytał. Jak zem już odwalił...

Dureń, powiedział Gifford. A niech cię diabli, ale z ciebie dureń. Stał na betonowej obmurówce, patrząc z góry na pełnomocnika od zwierząt, wychudłego i przypudrowanego popiołem niby jakaś nieziemska zjawa, a potem spojrzał na stosy popiołu, sito, koce, plecak i strzelbę.

Tak uważasz?, spytał Legwater.

Nie uważam, tylko wiem. On nie był żaden bohater wojenny. Nie wiadomo, czy to w ogóle on, ale nawet jeżeli, to nie miał żadnej... niczego mu nie wprawili w głowę.

Sam sprawdzę, odparł Legwater, pochylając się z łopata.

Gifford przyglądał mu się, stojąc po zawietrznej dla ochrony przed pyłem. Po kilku minutach pełnomocnik od zwierząt wyskoczył ze zbiornika i przesywał świeżo wydobyty popiół na sito, a potem zaczął nim potrząsać. W oczach płonęła mu gorączka, tak że wyglądał jak szalony mędrzec wieszczący z popiołów, aby w obłądnym pośpiechu odczytać los całych galaktyk, zanim łada chwila rozsypią się w proch. Konstabl zapalił papierosa i oparł się plecami o drzewo.

Legwater wybrał ze zbiornika jeszcze dwie kupki popiołu i przesiał je, a gdy znów zeskoczył na dno, Gifford usłyszał, jak skrobie, ale tym razem już nie kopał. Konstabl podszedł i spojrzał. Legwater łąził na czworakach po odsłoniętym dnie, uważnie je oglądając, a tu i ówdzie skrobał czubkiem łopaty. W końcu przestał i popatrzył w górę. Kłamał, sukinsynek, powiedział. Sam se ją wziął, pierdolony kłamczuszek.

Chodźmy, Earl.

Własnego tatka, ciągnął pełnomocnik od zwierząt.

Gifford ruszył długim krokiem w stronę drogi, przejęty widocznym wstrętem. Przy jabłonkach zatrzymał się i obejrzał. Legwater stał w zbiorniku i pustym wzrokiem patrzył przed siebie. Z daleka widać było tylko jego głowę.

No, powiedział konstabl.

Legwater ani drgnął.

Hej!, krzyknął Gifford.

Legwater obrócił się i tępo na niego spojrzał. Miał niedowierzającą, nijaką minę, częstą u ludzi dotkniętych tragedią, katastrofą lub stratą.

Chcesz, żebym cię podwiózł, czy nie?

Pełnomocnik od zwierząt wygramolił się ze zbiornika i ruszył w stronę konstabla, a potem rzucił się biegiem, wielkimi susami, wlokąc za sobą podskakującą na wybojach łopata. Gifford odczekał, aż Legwater podbiegnie całkiem blisko, i dopiero wtedy kazał mu wrócić po strzelbę i sprzęt obozowy.

Zeszli razem na dół drogą przez sad, człapiąc w czerwonym pyłe. Konstabl szedł tym swoim nieco zawadiackim krokiem. Legwater – zmizerowany i tak utrudzony, że prawie mu się dymiło z czarnych,

niewyspanych oczu, ze strzelbą i łopata, które zwisały mu z obu chudych łapsk – wyglądał jak ponury upiór. Gifford bez większego trudu niósł jego plecak i koce, niekiedy popatrując nań z ukosa – czasem litościwie, a czasem ze wzgardą. Milczeli, póki nie zobaczyli gończego – bardzo blisko szosy, na ostatnim zakręcie nad bramą. Doścignęli go i przez tych kilka minut, w ciągu których dane mu było oglądać psa żywego, Gifford zdumiewał się jego zachowaniem. Zwierzę szło bowiem wyjeżdżonymi koleinami z jakąś niezwykłą delikatnością, niby tresowany pies-linoskoczek, tak wysoko zadzierając łeb, że nos prawie pionowo mierzył w niebo, więc konstabl odruchowo spojrział w górę, ciekaw, jaka też groźba stamtąd nadciąga. Łopata z głuchym brzękiem odskoczyła od nawierzchni, a Gifford obejrzał się akurat w porę, żeby jeszcze zobaczyć, jak Legwater wzdryga się, kopnięty kolbą, po czym sam konstabl też się wzdrygnął od huku wystrzału. Obrócił się na pięcie i ujrzał, że pies rzuca się naprzód, wciąż wysoko zadzierając łeb, skręca i osuwa się bokiem w pył drogi.

Szyby w nielicznych okienkach były wybite i tylko tu i ówdzie w ręcznie wyciętej framudze tkwił szczerbaty skrawek lub rożek. Na szerokich deskach poddasza gonty leżały pokotem i jedynie wiatry mieszkwały w tym domu.

Po podwórku terkotały wirujące sylwetki liściastych derwiszów, a dęby pochylały się i skrzypiały, szarpane wiatrem, i nawet włogawy dom, rozpięty między kamiennymi kominami, zdawał się nieco uginać. Drzwi stały otworem, a wiatr hulał po saloniku, szeleścił nawianymi liśćmi na podłodze w kuchni i kołysał pajęczynami w narożnikach okien. Przybysz nie wszedł na poddasze. Pokoje na dole były zakurzone, puste i zupełnie obce. Tylko strzępy ubrań wydawały się poniekąd znajome. Wyszedł z powrotem na podwórko i chwilę spokojnie posiedział pod jednym z drzew. Popatrzył, jak jakiś wodny ptak sunie poniżej linii cienia, przecinającej zbocze góry, a jego wygięte skrzydła chwytają blask skośnych promieni słońca, potem zaś kreśli szeroki łuk, nieruchomo szybując tuż nad drzewami ku stawowi, wracając do ciepłych czarnych wód. Patrzył, jak ptak ląduje.

Cóż to za dźwięk złowił uchem? Wysokie, przenikliwe rzenie pióra, przelotny cień, nic więcej. Żyłki światła przebijały przez chmury, mrocznie nawarstwione na zachodzie. Stare suche liście trzeszczały, wątle i zwiędłe jak głosy starców, i sztywno opadały, kołysząc się niczym ścienione przez czas muszelki w drodze ku morskemu dnu, bądź też wirowały – pozawijane starożytne pergaminy, na których nie widniał żaden komunikat.

Młody Rattner dopalił papierosa i wyszedł z powrotem na drogę. Przejechał nią leciwy Murzyn, który drzemał na wysokim koźle fury, uśpiony klaskaniem wyboistego asfaltu pod kopytami muła, podkutego połówkami podków. Wysokie koła kolebały się i chwiały z obu jego stron, rysując chaotyczne parabole ruchem monety puszczanej w wirujący, stopniowo wygasający taniec, jakby wcale nie były przymocowane do wozu, tylko czystym trafem toczyły się, połączone z nim kwadratową symetrią. Rattner przeszedł na drugą stronę drogi, ustępując miejsca pojazdowi, ten zaś minął go pomału, mozolnie, jakby dźwigał brzemię osobliwej, niesprawiedliwie ciężkiej powagi. Sterany muł o powycieranej sierści, wóz, woźnica... wszystko to telepało się, jadąc pod górę z grzechotem i skrzypieniem obluźowanych dzwon, które raz po raz zachodziły na szprychy... migotało wśród fal gorąca, wznoszących się z nawierzchni, i rozpuszczało się w bladej, spękanej fatamorganie.

Poszedł za nimi ku rozstajom. Na szczycie wzgórza przystanął i obejrzał się za siebie. Zobaczył dach domu, ciemnozielony od mchu, i zionące w nim czarne dziury w zapadniętych miejscach. Ale to i tak nigdy nie był jego dom.

Wieczór. Okryci ziemską skorupą umarli z wolna toczą codzienną trasą ziemskie koło i nie burzy im spokoju zaćmienie, asteroida ani rozprysła w proch supernowa. Ich kości plami pleśń, a komórki szpiku krucho kamienieją. Umarli o palcach w oplocie korzeni toczą koło, w całkowitej jedni z Tutem i Agamemnonem, z nasieniem i z tym, co nienarodzone.

To tak, jakby znaleźć w gazecie własne nazwisko, pomyślał, czytając napis:

MILDRED YEARWOOD RATTNER

1906-45

Gdybyś je uciskał,

A one wołać będą do mnie,

Na pewno wysłucham ich wołania.

Exodus*

* Druga Księga Mojżeszowa, 22,23, za: Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu z Apokryfami, nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990 (przyp, tłum.).

na kamieniu, który przez te trzy krótkie lata zdążył już przybrać szary, ponadczasowy wygląd. Pokryły go porosty i sieć drobnych, brązowych rozłogów, a zardzewiały druczany okrąg krzywo się o niego opierał poplamionymi, zmiętymi strzępami listowia. Rattner wyciągnął rękę i lekko poklepał kamień, jakby chciał przywołać tym gestem jakiś obraz, wskrzesić w sobie poczucie więzi z nazwiskiem, miejscem – urojonymi, a mimo to prawdziwymi i trwałymi wspomnieniami, w których różne twarze nierozzerwalnie stapiały się ze sobą. Dotknął kamienia z wrytym napisem, mniej rzeczywistego niż zapach drzewnego dymu albo smak wina, którym częstował go starzec. A jemu już nie zależało na tym, żeby odróżnić zdarzenia od marzeń.

Mokre nogawki spodni lepiły mu się do kostek. Siedząc na kwadratowej płytce z marmuru, zdjął but i obmacał skarpetkę, sprawdzając, czy zawilgła, jakby był pierwszym lepszym strudzonym podróżnym. Zza wysokich traw i szczątków parkanu ze spiczastych żelaznych prętów pstryknęły światła na skrzyżowaniu. Spomiędzy drzew po prawej wyjechał samochód i po chwili stanął. Siedziało w nim dwoje ludzi. Kobieta spojrzała na Rattnera ponad ramieniem mężczyzny, do którego zaraz coś powiedziała. Spojrzeli oboje. Światła się zmieniły. Pomachał tym dwojgu ręką i wtedy mężczyzna odwrócił się, zobaczył zielone światło i ruszył, lecz biały owal twarzy kobiety wciąż zwrócony był ku Rattnerowi, więc młody znów jej pomachał, akurat gdy samochód zniknął za żywopłotem, wzbijając kołami fontannę rozpylonego błota.

Siedział tam jeszcze przez pewien czas, z roztargnieniem gładząc się po stopie i cicho pogwizdując. Od zachodu jednolita płachta chmur naganiała wieczór. Rozjarzyły się już świetliki. Włożył but, wstał i ruszył przez mokrą trawę w

stronę płotu. Robotnicy już poszli, zostawiając po sobie trociny i wióry, a biała powierzchnia pieńka sączyła z gęstniejącego zmierzchu resztki światła. Słońce przedarło się przez ostatnią warstwę chmur i na chwilę skąpało we krwi ociekające wodą drzewa, oblało kamienie półprzejrzystą falą barw, jakby powietrze zamieniło się w wino. Przeszedł przez wyrwę w parkanie, minął potargane żelazne sztachety i wyszedł na drogę biegnącą ku zachodowi. Wciąż lekko mżyło, a ciemniejące miedze wysysały dzień, heraldyczne, uskrzydłone płomieniem – pierzchający sługusi, rozsypujący własne cienie w kilwaterze słońca.

Już odeszli. Uciekli, wygnani w śmierć lub na obczyznę, straceni, zgubieni. Słońce i wiatr wciąż wędrują nad ową krainą, aby palić i kołysać drzewa, trawy. Żaden awatar, potomek ni ślad nie pozostał po

tym ludzie. Na ustach obcej rasy, która dziś tam mieszka, jego imiona są mitem, legendą, prochem.